

Child Lee

PŁONAĆCE ECHO

2000

Poprawił:



Nic nie pali równie
bezlitośnie jak słońce
w zachodnim Teksasie,
chyba, że śmiertelna
nienawiść.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Obserwatorów było trzech, dwóch mężczyzn i chłopiec. Nie korzystali z lornetki, ale z teleskopu. Chodziło o odległość. Od celu dzieliło ich półtora kilometra, tak ukształtowany był teren. Schowali się w najbliższej bezpiecznej kryjówce. Krajobraz był nizinny, lekko pofalowany, trawę, skały i ziemię słońce wypaliło na kolor khaki. Schronili się w rozległym zagłębieniu, spalonym na popiół rowie, który powstał w innym klimacie przed milionami lat, za czasów deszczy, paproci i wartkich rzek.

Mężczyźni leżeli na brzuchach w kurzu, poranne słońce prażyło w plecy, nie odejmowali teleskopów od oczu. Chłopak wiercił się na kolanach, to sięgając po wodę z turystycznej lodówki, to zapisując coś w notesie. Przed świtem przybyli tu z daleka zakurczonym pick-upem, z pustkowiecia na zachodzie. Zarzucili brudny brezent na samochód i podeszli na skraj rowu, w chwili, gdy słońce zaczęło się wyłaniać zza czerwonego domu półtora kilometra dalej. Był piątek, spędzali tu już piąty poranek z rzędu, niewiele odzywali się do siebie.

- Godzina? - spytał jeden z mężczyzn nosowym głosem.

Chłopak spojrział na zegarek i odpowiedział:

- Szósta pięćdziesiąt.

- Zapala światło w kuchni.

Chłopak zapisał. „6.50. Zapala światło w kuchni”.

- Sama? - spytał.

- Jak zwykle - odparł drugi mężczyzna, mrużąc oczy. „Służąca szykuje śniadanie, zanotował chłopak. Cel nadal w łóżku”. Słońce wznosiło się na niebie centymetr po centymetrze. Dopiero siódma rano, a już było upalnie. Przed ósmą zrobi się skwar. Przed dziewiątą żar będzie się lał z nieba, wyciskając z ludzi siódme poty. A oni mieli tu spędzić caluteńki dzień aż do zmierzchu, kiedy w końcu będą mogli wymknąć się niepostrzeżenie.

- Odsłaniają się zasłony w sypialni - powiedział drugi mężczyzna. - Wstała.

Chłopak zapisał: „7.04. Odsłaniają się zasłony w sypialni”. Z oddali usłyszeli, jak włącza się pompa.

- Bierze prysznic - rzekł mężczyzna.

Chłopak zanotował: „7.06. Cel bierze prysznic”.

Mężczyźni dali chwilę odpocząć oczom. I tak się nic nie wydarzy w czasie kąpieli.

Pompa wyłączyła się po sześciu minutach. Chłopiec zaraz zapisał: „7.12. Cel wychodzi spod prysznica; 7.15, prawdopodobnie ubiera się; 7.20, prawdopodobnie schodzi na dół i je śniadanie”.

- Zaczekajcie - powiedział mężczyzna. - Stawiam jeden do, dziesięciu, że wyjdzie z domu i pójdzie do stajni.

Nikt nie zamierzał się zakładać, bo do tej pory cztery razy na cztery to właśnie zrobiła, a obserwatorom płaci się głównie za dostrzega nie prawidłowości.

Wyszła w niebieskiej bawełnianej kraciastej sukience, która sięgała jej do kolan i odsłaniała gołe ramiona. Włosy miała związane z tyłu głowy. Wciąż były mokre po kąpieli.

Chłopiec zapisał: „7.29. Cel w stajni”.

- Nadjeżdża jej autobus - zauważył mężczyzna po prawej. W odległości wielu kilometrów na południe drogę spowijały tumany kurzu.

Chłopak zanotował: „7.32. Cel wychodzi ze stajni”.

- Pokojówka stanęła w drzwiach - powiedział mężczyzna po prawej. Cel zatrzymał się przy kuchennych drzwiach i wziął od służącej pudełko z lunchem. Był to plastikowy niebieski pojemnik z postacią z kreskówki na jednym z boków. Przystanąła na chwilę. Jej skóra była

zaróżowiona i wilgotna od upału. Nachyliła się, żeby podciągnąć skarpetki i wyszła przez bramę na pobocze drogi. Autobus szkolny zwolnił i przystanął, drzwi się otworzyły, obserwatorzy wyraźnie usłyszeli ich stuk, który na chwilę zagłuszył warkot silnika na wolnym biegu. Cel położył pudełko z lunchem na stopniu, chwycił się lśniących poręczy i wspiał do środka. Drzwi się zamknęły i obserwatorzy ujrzeni, jak jej blond główka kiwa się w oknie. Po chwili autobus odjechał. Chłopak zanotował: „7.36. Cel w autobusie do szkoły”.

Zamknął notatnik, a obserwatorzy opuścili teleskopy.

Siódma trzydzieści osiem. Piątkowy ranek.

O SIÓDMEJ trzydzieści dziewięć, prawie pięćset kilometrów na północny wschód, Jack Reacher opuszczał motelowy pokój przez okno. Jeszcze przed minutą był w łazience i mył zęby. A minutę wcześniej otworzył drzwi, żeby sprawdzić temperaturę o poranku. Zostawił drzwi otwarte. W łazience znajdowało się zamocowane na wysięgniku lustro do golenia. Całkiem przypadkiem kątem oka dostrzegł w lustrze czterech mężczyzn wysiadających z wozu policyjnego i zdążających do biura motelu. Łut szczęścia, jasne, ale do faceta tak czujnego, jak Jack Reacher, szczęście uśmiecha się częściej niż przeciętnie.

Na wozie widniał napis: POLICJA MIEJSKA, poniżej fantazyjny emblemat, a pod nim: LUBBOCK, TEKSAS. Wszyscy czterej odziani w mundury, mieli pistolety, pałki oraz kajdanki. Trzech widział pierwszy raz, ale czwarty wydał mu się znajomy - wysoki grubas z wyželowaną blond czupryną nad nalaną, czerwoną twarzą. Nalana, czerwona twarz była częściowo zasłonięta przez aluminiową szynę, pieczołowicie przylepioną plastrem do rozkwaszonego nosa. Prawa ręka podobnie opatrzona, z szyną oraz bandażami chroniącymi złamany palec.

Jeszcze poprzedniej nocy facet był cały i zdrowy. Reacher nie miał zielonego pojęcia, że jest gliniarzem. Wyglądał na barowego rozrabiakę. Reachera przyciągnęła do baru muzyka, ale zespół okazał się kiepski, więc siadł jak najdalej od niego, na barowym stołku, i oglądał rozgrywki futbolu amerykańskiego, wciśnięty obok grubasa. Kiedy znużył go sport, obrócił się i rozejrzał po sali.

Grubas weinał ociekające tłuszczem skrzydełka kurczaka. Tłuszcz skapywał mu z brody i palców na koszulę. Wedle barowej etykiety, nie należy się gapić na taki widok, a sąsiad przyłapał na sobie wzrok Reachera.

- Na mnie się gapisz? - burknął.

- Nie - odparł Reacher.

- Lepiej pilnuj własnego nosa, chłoptasiu.

Reacher odwrócił się do niego. Nie szukał wcale zaczepki, chciał tylko sprawdzić, z kim ma do czynienia. Ponieważ życie nas nieustannie zaskakuje, wiedział, że pewnego dnia stanie oko w oko z facetem równym sobie. Kiedy jednak spostrzegł, że jeszcze nie nadszedł ten dzień, po prostu się uśmiechnął.

Facet dźgnął go paluchem.

- Mówiłem ci, żebyś się na mnie nie gapił - warknął i znów go dźgnął. Palec jak serdelek ociekał tłuszczem. Na koszuli Reachera po jawiła się wyraźna plama.

- Przestań - ostrzegł go Reacher. Facet dźgnął ponownie.

- Bo co?

Reacher spojrział w dół. Teraz miał już dwie plamy.

- Głuchy jesteś? Mówię, żebyś przestał.

- Chcesz mi przeszkodzić?

- Nie - odparł Reacher. - Po prostu trzymaj ręce z dala ode mnie.

Grubas uśmiechnął się.

- Jesteś wrednym śmieciem.

- Mów co chcesz - powiedział Reacher. - Tylko mnie nie tykaj.

- Bo co? Co mi zrobisz?

- Jeśli dotkniesz mnie choćby jeszcze raz, to przekonasz się na własnej skórze.

Rzecz jasna, facet dźgnął go ponownie. Reacher złapał go za paluch i wyłamał w stawie. Ponieważ był już niezłe wkurzony, nachylił się i uderzył go bykiem prosto w głowę. Cios był gładki i dokładny.

Grubas obalił się na podłogę, a Reacher przewrócił go na plecy, pchnąwszy jego cielsko podeszwą. Trącił go czubkiem buta pod brodę, by odchylić głowę, a tym samym udrozić drogi oddechowe. Ratownicy nazywają to pozycją bezpieczną. Dzięki niej osoba nieprzytomna się nie zadławi.

Nie śpiesząc się, Reacher zapłacił za siebie, wrócił na piechotę do motelu i nie myślał o grubasie aż do chwili, gdy ujrzał go w łazienkowym lusterku ubranego w mundur. Zaczął gorączkowo myśleć. Co robić? Rozwścieczony policjant pragnący odwetu może napytać niezłej biedy. Na pewno trzeba się liczyć z szeroko nagłościonym aresztowaniem. Może jeszcze jakieś rozrywki typu: czterech na jednego w ukrytej celi na posterunku. Potem różne trudne pytania, bo Reacher nie zwykł nosić przy sobie żadnego dowodu tożsamości, nie miał zresztą z sobą nic prócz szczoteczki oraz kilku tysięcy dolarów w gotówce w kieszeni spodni. Uznają go za podejrzanego typka. Na pewno oskarżą o napaść na stróża prawa. W Teksasie to pewnie poważne przestępstwo. Jak spod ziemi pojawią się różni świadkowie, którzy pod przysięgą zeznają, że wyjątkowo brutalnie zaatakował Bogu ducha winnego policjanta. Może dostać od siedmiu do dziesięciu lat w jakimś pieskim więzieniu.

Wrzucił, więc szczoteczkę do kieszeni, wygramolił się przez okno i ruszył najbliższą ulicą. Szedł tak długo, aż skrył się za jakimś niskim budynkiem. Rozejrzał się za autobusami. Nie było żadnych. Za taksówkami. Znów bez powodzenia. Wystawił do góry kciuk, obliczając, że ma dziesięć minut na znalezienie łaskawego kierowcy, bo kiedy przeszukają motel, bez gadania zaczną kraść po mieście.

ZABÓJCÓW było troje: dwóch mężczyzn i kobieta. Zespół profesjonalistów z innego stanu, z siedzibą w Los Angeles, a skontaktować się z nimi można było przez pośrednika w Dallas. Mokłą robotą zajmowali się już od dziesięciu lat i znali dobrze swój fach.

Podróżowali zawsze oddzielnie. Jedno z nich jechało samochodem, dwoje leciało, ale zawsze różnymi trasami. Samochód prowadził jeden z mężczyzn. Wynajęli go, jak zwykle, w LAX - głównym lotnisku Los Angeles, ze względu na największy przepływ klientów na świecie. Prawo jazdy oraz karta kredytowa potrzebne do wypożyczenia wozu były prawdziwe, wydane legalnie w jakimś odległym stanie na nazwisko fikcyjnej osoby. Kierowca przystanął na chodniku, a następnie wmieszał się w tłum pasażerów, zdążających po odbiór swoich bagaży, by stać się tylko jedną z setek twarzy. Był niewielkiego wzrostu, miał ciemne włosy, niczym nie zwracał na siebie uwagi, ciągnął torbę na kółkach, taką samą jak wszyscy.

Wypełnił odpowiednie formularze i zgłosił się po samochód. Jechał w przepiękającym słońcu, w tym czterdzieści minut po autostradzie, by się upewnić, że nikt go nie śledzi. W końcu wjechał do zachodniej dzielnicy Hollywood i zatrzymał samochód przed garażem w uliczce za sklepem z bielizną. Nie wyłączając silnika, otworzył garaż i zamienił torbę na kółkach na dwie ogromne walizy z czarnego nylonu. Jedna była bardzo ciężka i właśnie, dlatego nie leciał, tylko jechał samochodem. W środku były rzeczy, które nie nadawały się do kontroli na lotnisku.

Zamknął garaż i ruszył na zachód drogą prowadzącą do Teksasu, która zajmie mu całe dwa dni. Choć nie był palaczem, po drodze wciąż zapalał papierosy i strzepywał popiół na podłogę oraz tablicę rozdzielczą. Firma wynajmująca samochody będzie musiała porządnie odkurzyć wóz i wyszorować winyl, zacierając w ten sposób wszelkie ślady.

Drugi mężczyzna też był w drodze. Wyższy i potężniejszy od pierwszego, miał jaśniejsze włosy, choć również zupełnie nie zapadał w pamięć. Dołączył na LAX do tłumu wracającego z pracy i kupił sobie bilet do Atlanty. Gdy doleciał na miejsce, wymienił portfel na jeden z pięciu zapasowych, więc zupełnie inny mężczyzna kupił bilet do Dallas-Fort Worth.

Kobieta wyruszyła dzień później z LAX. Była to jej przywilej jako dowódcy zespołu. Była w średnim wieku, miała średni wzrost i przeciętne blond włosy. Nie wyróżniała się niczym, prócz tego, że mordowała ludzi. Posługując się fałszywą MasterCard, kupiła bilet i wsiadła do samolotu mniej więcej wtedy, gdy kierowca podróżował już dołą.

Kierowca dotarł do Dallas-Fort Worth pod koniec drugiego dnia i zostawił wóz na długoterminowym parkingu przy lotnisku. Zabrał walizki i pojechał autobusem wahadłowym z lotniska do wypożyczalni Hertz. Wybrał firmę Hertz, bo mieli na składzie fordę, a jemu potrzebna była crown victoria.

Wypełnił formularze, posługując się dokumentami wystawionymi w Illinois, i odebrał samochód - nie grzeszącego urodą fordę crown victoria, w kolorze stalowoniebieski metallic. Wrzucił torby do bagażnika i pojechał do motelu położonego przy drodze prowadzącej z Fort Worth do Dallas. Zameldował się, legitymując tymi samymi

dokumentami wystawionymi w Illinois, zjadł coś i położył się spać. Spotkał się z dwójką partnerów przed motelem dokładnie w tym samym momencie, gdy Jack Reacher wystawił kciuk ponad sześćset kilometrów dalej w Lubbock.

REACHER złapał stopa w trzy minuty. Co dziwniejsze, kierowcą okazała się kobieta.

Od dwudziestu pięciu lat często podróżował autostopem i, o ile dobrze sobie przypominał, trzy minuty to najkrótszy czas, jaki mu upłynął między uniesieniem kciuka a wejściem do zatrzymanego samochodu. Nie był wcale eleganckim drobnym mężczyzną, schludnym i wzbudzającym zaufanie. Tylko olbrzymem o wzroście sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów, potężnej budowy ciała, o wadze prawie sto dziesięć kilogramów. Był zwykle zapuszczony nieogolony włosy miał w wiecznym nieładzie. Ludzie obchodzili go szerokim łukiem, tym bardziej, więc zaskoczyły go owe trzy minuty.

A do tego za kierownicą siedziała kobieta.

Biegł właśnie na południowy zachód, jak najdalej od motelu, zamroczony upałem, desperacko wyciągając do góry kciuk, kiedy ona zjechała z drogi i opuściła szybę w oknie od strony pasażera.

- Dokąd? - spytała.

- Dokądkolwiek - wypalił i natychmiast pożałował.

Człowiek nie potrafiący określić celu podróży robi jeszcze gorsze wrażenie. Myślą, żeś włóczęga i nabierają podejrzeń. Ale ona tylko kiwnęła głową.

- Nie ma sprawy - powiedziała. - Jadę przez Pecos.

- Świetnie.

Otworzył drzwi i wsiadł do środka. We wnętrzu panował przyjemny chłodek. Klimatyzacja chodziła na pełnych obrotach, skórzane siedzenie przypominało w dotyku gładką bryłę lodu. Zamknęła z powrotem okno guzikiem od swojej strony, kiedy tylko zatrzasnął drzwi.

- Dzięki - powiedział. - Jestem pani niezwykle wdzięczny.

Wjechała na drogę bez słowa. Reacher obejrzał wnętrze samochodu. Dwudrzwiowy cadillac, długości łodzi, niezwykle szykowny. Na tylnym siedzeniu leżała torebka oraz niewielka otwarta aktówka, w której piętrzyły się papieryska.

Ustawiając sobie fotel, obrzucił spojrzeniem kobietę, nie patrzył jednak zbyt nachalnie. Była niewielkiego wzrostu, szczupła i drobnokoścista o ciemnej karnacji. Ważyła jakieś czterdzieści pięć kilo i mogła mieć ze trzydzieści lat. Długie czarne i falujące włosy; bielutkie zęby widoczne w napiętym półuśmiechu. Meksykanka, domyślił się. Miała na sobie bawełnianą sukienkę bez rękawów w jakiś delikatny wzorek. Niby nic specjalnego, ale pewnie kosztowna. Ręce oraz nogi ciemne i gładkie.

- Dokąd pan jedzie? - spytała. Po chwili milczenia uśmiechnęła się.

- Już o to pytałam. Nie wydawał się pan specjalnie zdecydowany.

Miała czysty akcent amerykański. Raczej zachodni niż południowy. Obie ręce trzymała na kierownicy, więc dostrzegł pierścionki na jej palcach. Cieniutka obrączka oraz platynowe cacko z wielkim brylantem.

- Wszystko mi jedno - powiedział Reacher. - Każdy cel podróży mi odpowiada.

Zamilkła i znów się uśmiechnęła.

- Czy ucieka pan przed kimś? Czyżbym przygarnęła groźnego zbiega?

- Zwiedzam - odpowiedział. - Jak turysta.

- Nie wygląda pan na turystę. Turyści noszą dresy z poliestru i poruszają się autobusami - rzekła, znów się uśmiechając.

Do twarzy jej było z tym łagodnym uśmiechem - pewna siebie, opanowana i wytworna.

Nagle uświadomił sobie, że odpowiada jej półsłówkami, ma kilkudniowy zarost i wygniecioną koszulę.

- Mieszka pani tu w okolicy? - zagadnął.

- Na południe od Pecos - odparła. - Pięćset kilometrów stąd. Już panu mówiłam, że tam właśnie zmierzam.

- Pani rodzina pochodzi z Pecos?

- Nie. Z Kalifornii. Przyjechałam do Teksasu przed siedmiu laty, po ślubie.

- Czy pani rodzina od dawna mieszka w Kalifornii?

Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Na pewno dłużej niż jakikolwiek Kalifornijczyk.

Zostawili za sobą granice miasta i wyjechali na płaskie pustkowie. Termometr na desce rozdzielczej wskazywał, że na zewnątrz panowała temperatura 43 stopnie.

- Jest pani adwokatem? - spytał po chwili milczenia.

Przez moment była zdziwiona, ale domyśliła się, kiedy spostrzegła w lusterku swoją aktówkę.

- Nie - odparta. - Jestem klientką adwokata.

Rozmowa znów utknęła w martwym punkcie. Kobieta wydawała się lekko spięta, co go speszyło.

- Kim jeszcze pani jest?

- Czyjaś żoną i matką. A także córką i siostrą, jak sędzę. A kim pan jest?

- Nikim specjalnym - odparł Reacher. - Byłem czyimś synem, bratem i narzeczonym.

- Jak to był pan?

- Rodzice umarli, podobnie jak brat, a dziewczyna mnie rzuciła.

- Och, tak mi przykro.

- Było, minęło - powiedział. - Nie jest aż tak źle.

- Nie czuje się pan samotny?

Wzruszył ramionami.

- Lubię samotność.

- Dlaczego opuściła pana dziewczyna?

- Pojechała pracować w Europie.

- Rozumiem. A pan nie chciał przeprowadzić się razem z nią?

- Chyba nie - odparł. - To by wymagało ustatkowania się.

- A pan się nie chce ustatkować?

Potrząsnął głową. - To nie tak. Wręcz przeciwnie. Całe życie służyłem w wojsku, tułałem się po świecie i chyba dojrzałem do czegoś innego.

Po chwili spytała:

- Jak to jest całe życie służyć w wojsku?

- Mój ojciec też był zawodowym żołnierzem. Dojrzałem w bazach wojskowych na całym świecie, a kiedy dorosłem, już tam zostałem na dobre.

- Ale skończył pan swoją przygodę z wojskiem.

Kiwnął głową.

- Jestem doskonale wyszkolony i nie mam się gdzie podziać.

Zauważył, że zamyśliła się nad jego odpowiedzią. Wdusiła mocniej pedał gazu, możliwe, że zupełnie nieświadomie. Miał niejasne odczucie, że jej zainteresowanie jego osobą nabierało rozpędu, podobnie jak samochód.

FORD produkuje model Crown Victoria w Kanadzie, prawie wszystkie egzemplarze kupuje policja, także korporacje taksówek oraz firmy wynajmu samochodów. Rzadko nabywają ten model osoby prywatne, tak więc podświadomie na widok takiego wozu, nie pomalowanego na żółty taksówkowy kolor czy też bez czarno-białych napisów: POLICJA na wszystkich drzwiach, odnosimy wrażenie, że jest to nie oznakowany wóz detektywa, FBI lub służb specjalnych. Właśnie to nam podpowiada podświadomość, wrażenie to można dodatkowo wzmocnić.

Na pustkowiu, w połowie drogi do Abilene, wysoki jasnowłosy mężczyzna zjechał z autostrady w opuszczonej, pokrytej kurzem dróżkę. Wyłączył silnik i otworzył bagażnik. Niższy mężczyzna o ciemnych włosach wyciągnął ciężką walizę i położył na ziemi. Kobieta rozpięła zamek błyskawiczny i podała blondynowi tablice rejestracyjne z Wirginii. Wyjął z walizy śrubokręt, zdjął z obu stron wozu tablice teksańskie i przykręcił na ich miejsce te wydane w Wirginii. Kobieta sięgnęła do walizy po anteny - w sumie cztery sztuki - do radia CB oraz telefonów komórkowych, kupione tanio w sklepie Radio Shack w Los Angeles. Anteny komórkowe przyczepiono przyssawkami do tylnej szyby. Kiedy bagażnik zamknięto, przyczepiła anteny CB na wieku. Miały magnesy u podstawy i nie biegły od nich żadne kable. Były po prostu na pokaz.

Niższy mężczyzna siadł za kierownicą, wjechał z powrotem na autostradę i sunął z tą samą szybkością. Crown victoria, gładkie stalowe felgi, gąszcz anten, tablice z Wirginii. Może to samochód FBI z trójką agentów jadących na pilne wezwanie.

- CZYM się pan zajmował w wojsku?
- Kobieta zadała standardowe pytanie.
- Byłem gliną - odpowiedział spokojnie Reacher. - W zandarmerii wojskowej.

- Był pan dobrym gliną? - spytała z nieskrywanym zainteresowaniem.

- Chyba tak. Zostałem w końcu majorem, przyznano mi nawet kilka medali.

Po chwili zapytała:

- To czemu pan zrezygnował?

- Jestem ofiarą redukcji etatów. Z końcem zimnej wojny postanowiono zmniejszyć armię, więc nie było już potrzeba tylu gliniarzy.

Kiwnęła głową.

- Podobnie jest z miastem. Jeśli liczba ludności maleje, wydział policji ma coraz mniej ludzi. Mieszkam w bardzo małym miasteczku - ciągnęła. - Echo, na południe od Pecos. Zwykła dziura. Dlatego na zwano ją Echo. To z mitów greckich. Echo była młodą dziewczyną za kochaną w Narcyzie. On jednak kochał tylko siebie, więc zaczęła znikać po trochu, aż w końcu ostał się sam głos. Dlatego miasteczko nazwano Echo. U nas nie ma nawet komisariatu. Hrabstwo ma tylko szeryfa. Wyczuł coś w jej głosie.

- Czy to stanowi problem? - spytał.

- Społeczność w naszym hrabstwie jest w zasadzie biała - odparła. - Tak więc mogą być kłopoty, gdy kogoś przycisnie sytuacja.

- A kogoś przycisnęła sytuacja?

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Od razu widać, że był pan gliną. Zadaje pan tyle pytań.

Nie odzywała się przez jakiś czas, prowadziła tylko samochód, śniade ręce zaciśnięte lekko na kierownicy, jechała dość szybko, ale nie pędziła. Spoglądał na nią kątem oka. Była ładna, ale coś ją wyraźnie gnębiło.

- Jak było w wojsku? - spytała w końcu.

- Inaczej - odparł. - To odrębny świat. Niezwykle uregulowany, ale jakby wyjęty spod prawa. Brutalny i niecywilizowany.

- Jak Dziki Zachód - zauważyła. - Pewnie podobało się tam panu.

Kiwnął głową.

- Po części.

Po chwili milczenia spytała:

- Czy może mi pan zdradzić swoje nazwisko?

- Reacher - przedstawił się.

- A mogę panu zadać pytanie natury osobistej?

Kiwnął głową.

- Czy zabijał pan ludzi, panie Reacher? W wojsku?

Znów kiwnął głową.

- Kilku.

Zamilkła, jakby układając w myślach pytanie.

- W Pecos jest muzeum Dzikiego Zachodu - powiedziała. - Niedaleko od niego znajduje się grób Clay Allisona. Słyszał pan o nim?

Reacher potrząsnął głową.

- Mówili o nim Rewolwerowiec Dzentelmen. Ma ładny nagrobek z napisem: „Robert Clay Allison 1840-1887”. Jest też na nim inskrypcja: „Nigdy nie zabił człowieka, który na to nie zasłużył”. Co pan o tym myśli?

- Całkiem ładna inskrypcja - przyznał Reacher.

- W starej gazecie jest jego nekrolog - ciągnęła. - Trzymają go w szklanej gablocie. „Wiele surowych wyroków wymierzył w imię dobra, tak jak je pojmował”.

- Ładny nekrolog.

- Chciałby pan mieć taki sam?

- Może jeszcze nie teraz - odparł Reacher.

Uśmiechnęła się.

- Raczej nie. Ale czy chciałby pan koniec końców zasłużyć na taki nekrolog?

- Bywają gorsze rzeczy - powiedział. - Niech mi pani powie, dokąd to zmierza?

- Ta droga? - spytała nerwowo.

- Nie, nasza konwersacja.

Jechała jeszcze przez chwilę, a potem nagle zjechała na pokryte pyłem pobocze.

- Nazywam się Carmen Greer - odezwała się. - I potrzebuję pańskiej pomocy.

ROZDZIAŁ DRUGI

NIE wzięłam pana przypadkowo - wyznała Carmen Greer. Jej twarz nie wyrażała absolutnie nic.

- Więc po co? - zainteresował się Reacher.

- Szukałam kogoś takiego jak pan - odparła. - Wcześniej zabrałam już ponad dziesięciu innych autostopowiczów. Właśnie tym zajmuję się od miesiąca. Jeżdżę po zachodnim Teksasie, rozglądając się za facetami, których trzeba podwieźć.

- Dobra, Carmen - przerwał jej. - Wyjaśnij mi, co jest grane.

Zamilkła na chwilę.

- Potrzebuję twojej pomocy - powtórzyła.

- Widzisz mnie pierwszy raz w życiu.

- Faktycznie - odparła. - Ale ty się doskonale nadajesz.

- Niby, do czego?

- Czy miałeś do czynienia z adwokatami? - spytała. - Najpierw trzeba im słono zapłacić, a potem mówią, że nie mogą nic zrobić w twojej sprawie. W zeszłym miesiącu zatrudniłam czterech, ale mało mnie nie puścili z torbami.

- Przecież masz cadillaca.

- To samochód teściowej. Pożyczyła mi.

- Masz pierścionek z wielkim brylantem.

Posmutniała.

- Prezent od męża - wyjaśniła.

Spojrzał na nią.

- To czemu on ci nie pomoże?

- Nic z tego - odparła. - Szukałeś kiedyś prywatnego detektywa?

- Nigdy nie potrzebowałem takich usług. Sam byłem detektywem.

- Pojechałam aż do Austin. Facet powiedział, że może mi pomóc, ale potrzebuje sześciu ludzi i zaśpiewał dziesięć tysięcy dolarów na tydzień.

- No i co?

- Poczulałam się przyparta do muru. Wpadłam w rozpacz. I wtedy przyszedł mi do głowy ten pomysł. Pomyślałam sobie, że jeśli będę zabierała autostopowiczów, w końcu któryś z nich okaże się odpowiednim człowiekiem, gotowym mi pomóc. Starannie dobierałam sobie pasażerów. Zabierałam tylko brutali i zbirów.

- Wielkie dzięki, Carmen - rzucił Reacher.

- Nie zrozum mnie źle - poprosiła. - Nie mam nic złego na myśli.

- Ale po co się narażałaś?

- Musiałam zaryzykować. Miałam nadzieję, że może trafię na kowboja z rodeo albo robotnika z pól naftowych. Jakiegoś bezrobotnego, nieokrzeseanego twardziela, który chętnie zarobi parę groszy, bo nie mogę zbyt wiele zapłacić. Co w tym złego?

- Tymczasem, Carmen, cała ta historia wygląda mi naprawdę mało zachęcająco.

Znów zamilkła.

- Z każdym rozmawiałam - podjęła za chwilę - ale żaden nie wydał mi się odpowiedni. Dopiero ty się nadajesz. Jesteś moją ostatnią deską ratunku. Były gliniarz wojskowy, bez zobowiązań - nie mogłam trafić lepiej.

- Ale ja nie szukam pracy, Carmen.

Kiwnęła głową radośnie.

- Domyśliłam się. Tym lepiej. To będzie czysta sprawa, prawda? Pomoc dla samej pomocy. Żadnego wyrachowania. Do tego twoja przeszłość. Zobowiązuje cię.

Utkwił w niej wzrok.

- Wcale nie.

- Byłeś żołnierzem - przypomniała. - A także policjantem. Twoim obowiązkiem było pomagać ludziom. Właśnie tym zajmują się gliny, prawda?

- Jeśli szukasz gliniarza, zgłoś się do szeryfa.

Potrząsnęła głową.

- Nie. Nie mogę.

Reacher już nic nie powiedział. Zaczęła szybko mrugać, jakby się miała zaraz rozplakać. Jakby gorzko rozczarowana nim, a może samą sobą.

- Pewnie myślisz, że jestem postrzelona.

Obrócił głowę i dokładnie się jej przyjrzał. Silne szczupłe nogi; mocne szczupłe ramiona; kosztowna sukienka. Miała zadbane, ładnie uczesane włosy oraz wypielęgnowane, pomalowane paznokcie. Inteligentna twarz elegantki, zmęczone oczy.

- Ale nie jestem - powiedziała i spojrzała na niego.

Było coś takiego w jej twarzy. Może to wdzięk. A może rozpacz czy desperacja.

- Marzyłam o tej chwili od miesiąca. Plan był szalony i pewnie myślisz, że mi rozum odjęło.

Długo nic nie mówił. Mijały minuty. Myślał o Lubbock. Mógł sobie teraz siedzieć u boku jakiegoś sympatycznego tirowca i słuchać razem z nim w radiu rock and rolla. Ale równie dobrze mógł siedzieć posiniaczony i pokrwawiony w celi na komisariacie, z aktem oskarżenia i terminem rozprawy.

- Zaczniemy jeszcze raz - zaproponował. - Opowiedz mi wszystko. Najpierw jednak napiłbym się kawy. Czy jest tu gdzieś w okolicy lokal, gdzie podają dobrą kawę?

- Chyba tak - powiedziała. - O ile sobie przypominam, jakąś godzinę drogi stąd.

- Więc jedźmy tam na małą czarną.

DZIEWIĘĆDZIESIĄT kilometrów na południowy zachód od Abilene, przy nieuczęszczanej bocznej drodze, crown victoria czekała spokojnie na poboczu. Kierowca odgiął maksymalnie lusterko, by mieć przed oczami całą drogę z tyłu. Widział wszystko jak na dłoni na odległość co najmniej półtora kilometra, aż do miejsca, gdzie asfalt zlewał się z niebem w srebrzystym połyskującym mirażu. Kierowca nie spuszczał z oczu tego blasku w oddali, oczekując, aż przetnie go niewyraźny zarys sylwetki samochodu.

Wiedział, jaki to ma być samochód. Byli dobrze poinformowani. Miał się pojawić biały mercedes, a za jego kierownicą mężczyzna podążający na spotkanie, na które musiał się stawić. Znali godzinę spotkania, wiedzieli, gdzie ma się odbyć, tak więc po prostych wyliczeniach mieli jasność, że godzina zero już blisko.

- Bierzmy się do roboty - odezwał się kierowca.

Wziął od kobiety czapkę baseballową, jedną z trzech, które kupili od ulicznego sprzedawcy pamiątek na Hollywood Boulevard. Była granatowa z białym napisem FBI naszytym z przodu. Kierowca naciągnął daszek nisko na czoło i nie spuszczał lusterka z oczu.

- W samą porę - powiedział.

Biały kształt ukazał się na horyzoncie i mknął ku nim jak ryba, która wyskoczyła z wody. Zarys nabrał ostrych kształtów i zbliżał się

szybko. W końcu biały mercedes przejechał obok nich z rykiem silnika, crown victoria ruszyła za nim. Zabójcy znów byli w swoim żywiole.

Kierowca mercedesa zauważył za sobą w lusterku migające światła forda. Dwie osoby w czapkach z daszkiem na przednich siedzeniach. Spojrzał na szybkościomierz, który wskazywał sto czterdzieści pięć. Oblał się zimnym potem, poczuł klucie w klatce piersiowej. „Cholera”. Zdjął nogę z gazu, zastanawiając się nad taktyką. Pokora? A może: „Nie wiecie, kim ja jestem!”.

Ford zrównał się z nim. Kiedy zwolnił, zobaczył trzy osoby, w tym jedną kobietę. Samochód był uzbrojony w gąszcz anten. Nie mieli jednak koguta ani syreny. To nie byli chłopcy radarowcy. Kierowca dał mu znak, żeby zjechał na pobocze. Kobieta przycisnęła legitymację do szyby. Pięciocentymetrowe litery: FBI. Na czapkach też napisy FBI. Rozluźnił się trochę. FBI nie zatrzymywało za szybką jazdę. To musi być coś innego. Może jakaś kontrola ze względów bezpieczeństwa. Zatrzymał pojazd, wóz FBI stanął tuż za nim.

- Pan Eugene? - odezwała się kobieta. - Al Eugene, zgadza się?

Kierowca mercedesa otworzył drzwi i wysiadł.

- Czym mogę pani służyć?

- Czy może nam pan poświęcić pięć minut? - poprosiła. - Niedaleko przy drodze czeka zastępca szefa FBI, chce z panem mówić. To pilna sprawa, jak sądzę, bo inaczej nie niepokoiłobyśmy pana, coś niezwyklej wagi, ponieważ nie chciano nam nic powiedzieć.

Eugene spojrział na zegarek.

- Jestem umówiony na ważne spotkanie - wyjaśnił.

Kobieta kiwnęła głową.

- Wiemy, proszę pana. Pozwoliliśmy sobie zadzwonić w pańskim imieniu i przełożyć owo spotkanie na później.

Eugene wzruszył ramionami.

- Czy mogę zobaczyć pani legitymację?

Kobieta podała mu etui. Po zewnętrznej stronie pod mlecznym plastikiem widniała legitymacja FBI ze zdjęciem kobiety. Podobnie jak większość Amerykanów, Eugene nigdy nie widział legitymacji FBI.

Był przekonany, że właśnie patrzy na pierwszą w życiu.

- Gdzieś przy tej drodze? - spytał. - To pojedę za waszym wozem.

- Pojedzie pan naszym samochodem - wyjaśniła kobieta. - Po drodze jest punkt kontrolny i niezbyt przyjaznym okiem patrzą tam na cywilne wozy. Przywieziemy tu pana z powrotem.

Eugene znów wzruszył ramionami.

- W porządku.

Ruszyli do crown victorii. Kierowca otworzył przed Eugene'em drzwi dla pasażera z przodu.

- Proszę, niech pan wsiada - powiedział. - Uznano pana za VIP a gdybyśmy posadzili VIP-a na tylnym siedzeniu, nieźle byśmy za to oberwali.

Eugene zajął miejsce z przodu. Mężczyzna zamknął za nim drzwi i siadł za kierownicą. Wysoki blondyn oraz kobieta zajęli tylne siedzenia. Crown victoria wjechała na asfalt. Przyspieszyli do około dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Nad drogą pięć czy sześć kilometrów przed nimi unosił się tuman kurzu. Kierowca zwolnił, szukając skrętu, który wypatrzył pół godziny wcześniej. W końcu go dostrzegł, przejechał przez pobocze po drugiej stronie jezdni, minął zagłębienie terenu, przez które droga biegła jak grobla. Potem zjechał na prawo i zatrzymał się tuż za krzakami na tyle wysokimi, by skryć samochód. Mężczyzna oraz kobieta na tylnym siedzeniu wyjęli pistolety, nachylił się do przodu i przyłożyli lufy do karku Eugene'a.

Kierowca spokojnie wysiadł z pojazdu i podszedł do drzwi pasażera z pistoletem w dłoni. Otworzył je i przyłożył lufę Eugene'owi do gardła.

- Wsiadaj - rozkazał. - Tylko spokojnie.

- Co? - Tylko tyle zdołał z siebie wydusić Eugene i wysiadł.

- Odejdź od samochodu - poleciła kobieta.

Eugene rozejrzał się dookoła, na ile śmiał obrócić głowę, i odszedł od samochodu. Jeden krok, dwa, trzy. Kobieta kiwnęła głową.

- Al! - zawołała.

Obaj jej partnerzy odskoczyli wielkimi susami na boki. Eugene odwrócił głowę w stronę kobiety, która go zawołała po imieniu. Przestrzeliła mu prawe oko. Runął na ziemię jak długi, z rozrzuconymi beładnie kończynami.

Mężczyźni zaciągnęli ciało Eugene'a w krzaki. Znaleźli wśród nich wąską szczelinę w wapieniu, pęknięcie w skale, w które można włożyć bokiem nieboszczyka. Tak manewrowali zwłokami, aż w

szczelinie znalazła się noga oraz ręka, za które je trzymali. Wtedy puścili trupa. Zakleszczył się między skałami dwa metry niżej.

Plamy krwi już zaczęły przysychać. Nagarnęli na nie nogami ziemię i zamietli miejsce zajścia gałęzią jadaloszynu, żeby zatrzeć ślady butów. Wsiadli do crown victorii, kierowca cofnął się, zawrócił obok krzaków, przejechał przez obniżenie terenu, wjechał pod górkę i znalazł się z powrotem na drodze.

- MAM córkę - powiedziała Carmen Greer. - Chyba ci już zresztą mówiłam.

- Powiedziałaś tylko, że jesteś matką - zauważył Reacher.

Kiwnęła głową, trzymając w dłoniach kierownicę.

- To słodka dziewczynka. Ma sześć i pół roku. Nazwali ją Mary Ellen. W zdrobnieniu Ellie.

- Niby kto ją nazwał?

- Rodzina mojego męża. Greerowie, klan od dawna mieszkający w hrabstwie Echo.

- Oni nazwali twoją córkę?

- Znalazłam się w dość niezręcznej sytuacji. Jesteśmy niecałe siedem lat po ślubie. Dodaj sobie dwa do dwóch, a zrozumiesz, czemu niewiele miałam do powiedzenia w tej sprawie.

- Jacy oni są?

- Łatwo zgadnąć - powiedziała. - Z dziada pradziada Teksaszczyki, od dawna potentaci naftowi, choć przetrwonili wiele pieniędzy, nie mało im jeszcze zostało. Ojciec zmarł jakiś czas temu; matka wciąż żyje; mają dwóch synów. Mój mąż to ten starszy, ma na imię Slup, tak jak jednomasztowy żaglowiec.

- Slup? - zdumiał się Reacher. - A jak ma na imię ten drugi? Jacht? Holownik? A może liniowiec?

- Robert - odparła. - Mówią na niego Bobby.

- Slup - powtórzył Reacher. - Pierwsze słyszę.

- Poznałam go w Kalifornii - wyjaśniła. - Studiowaliśmy razem na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles.

- A więc z dala od rodzinnego gniazda - zauważył Reacher.

- Właśnie. Dochodzę do wniosku, że tylko tam los mógł nas złączyć.

Przerwała na chwilę i zmrużyła oczy w blasku słońca, wypatrując czegoś w oddali.

- Oto nasz bar - powiedziała. - Dadzą nam kawy.

Bar stał samotnie przy drodze pośrodku czterystu metrów kwadratowych klepiska, które służyło za parking. Reacher otworzył drzwi auta. Buchnął w niego żar jak z pieca. Zaczekał na Carmen, a następnie ruszył pół kroku za nią, by móc się jej przyjrzeć. Pochyliła głowę, jakby nie chciała, żeby ktokolwiek ją oglądał. Brzeg sukienki opadł przyzwoicie na wysokość kolan. Szła z niezwykłą gracją, jak tancerka, prościutkie plecy, gładko wygolone nagie łydki.

Wewnątrz baru panował chłodek. Reacher zaprowadził Carmen do boksu po przeciwległej stronie sali. Poślizgnął się na lepkiem winylu i odchylił głowę, by owiał go zimny strumień powietrza z sufitu. Kiedy Carmen usiadła naprzeciwko, po raz pierwszy spojrzał jej prosto w oczy. Miała zjawiskowe ciemne oczy z długimi rzęsami oraz wysokie kości policzkowe, które okalały gęste kruczoczarne włosy, połyskujące granatowo w świetle. Usta jak pączek róży, delikatnie umalowane szminką. Jedwabista gładka skóra w kolorze słabej herbaty lub ciemnego miodu pulsowała wewnętrznym blaskiem. Była znacznie jaśniejsza niż ogorzale ramiona Reachera, jednak to on był biały, a ona kolorowa.

- Do kogo podobna jest Ellie? - spytał.

- Do nich.

Kelnerka przyniosła wodę z lodem, przygotowała ołówek i bloczek, zadarła brodę, ale nie odezwała się ani słowem. Carmen zamówiła mrożoną kawę, Reacher zaś gorącego szatana.

- Wcale nie wygląda na moją córkę - powiedziała Carmen. - Różowitka skóra, blond włoski, jest trochę pyzata. Za to ma moje oczy.

- Szczęściara z tej Ellie - zauważył Reacher.

Uśmiechnęła się przelotnie.

- Dzięki. Pragnę, by szczęście nadal jej dopisywało.

Kelnerka przyniosła napoje i odeszła bez słowa.

- Prosiłeś, żebym zaczęła od początku - odezwała się Carmen - niech, więc tak będzie. Musisz zrozumieć, że kiedyś kochałam Słupa. Był taki silny i przystojny, wciąż uśmiechnięty. Poza tym byliśmy młodzi, w Los Angeles wszystko wydaje się możliwe.

Zamilkła, wyluskując z opakowania słomkę.

- Chcę ci wyjaśnić, skąd pochodzę - ciągnęła. - Nie byłam jakąś tam zahukaną Meksykanką, która martwiła się, że rodzina białych nie zechce jej przyjąć do swojego klanu. Niepokoiłam się, czy moja rodzina zaakceptuje tego gringo. Pochodzę z Nepa, gdzie nasza rodzina posiada czterysta hektarów ziemi pod uprawę winorośli; mieszkamy tam od wieków; byliśmy zawsze najbogatszymi ludźmi, jakich znałam. Najbardziej wykształconymi. Zatrudnialiśmy do roboty białych. Niepokoiłam się, więc, co rodzina powie na to, że wychodzę za jednego z nich.

Popijał kawę.

- I jak zareagowali?

- Oszaleli z wściekłości. - Wypiła łyk kawy. - Byłam w ciąży, co tylko pogorszyło sprawę. Moi rodzice to niezwykle religijni ludzie, więc ostatecznie wyrzekli się mnie.

- I co zrobiłaś?

- Wzięliśmy ślub. Przez kilka miesięcy mieszkaliśmy w Los Angeles, ukończyliśmy studia, nie przenosiliśmy się do ósmego miesiąca ciąży. Słup nie mógł jednak znaleźć pracy. W końcu zauważyłam, że niespecjalnie się stara. Wcale nie zamierzał się nigdzie zatrudnić. Cztery lata studiów potraktował jak jedną wielką zabawę, w końcu postanowił wrócić na łono rodziny i przejąć interesy tatusia. Byłam przeciwna. Wydawało mi się, że powinniśmy stanąć na własnych nogach, zacząć wszystko od podstaw - nowe pokolenie z dwóch różnych rodów. Poświęciłam wiele dla naszego małżeństwa i uważałam, że on też powinien się wyrzec pewnych rzeczy. Okropnie się kłóciliśmy. Nie mogłam pracować w tak zaawansowanej ciąży, więc nie miałam swoich pieniędzy. W końcu doszło do tego, że nie stać nas było nawet na czynsz, przyjechaliśmy więc tu, do Teksasu, i zamieszkaliśmy w ogromnym starym domiszczu wraz z jego rodzicami i bratem, gdzie tkwię do dziś.

- I co dalej? - dopytywał Reacher.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Czułam się tak, jakby ziemia się pode mną rozstąpiła, bym wpadła w piekielną otchłań. Przez całe życie traktowano mnie jak księżniczkę, a tu nagle zaczęto mną pomiatać jak szmatą. Nienawidzili mnie, bo byłam kolorową dziwką, która uwiodła im ukochanego

synalka. Byli dla mnie do obrzydzenia uprzejmi, jak się domyślam, chcieli, żeby Słup zmądrzał i sam mnie porzucił.

- On cię jednak nie rzucił.

Spuściła wzrok.

- Nie - przyznała. - Nie rzucił mnie. Za to zaczął mnie bić. Pierwszy raz uderzył mnie, kiedy byłam w ciąży z Ellie. Walnął mnie w twarz, aż pękła mi warga. Ale natychmiast zaczął się kajać. Sam mnie zawiózł na pogotowie, a przez całą drogę błagał, żebym mu przebaczyła i nikomu nie mówiła o tym, co się stało. Ponieważ naprawdę było mu wstyd, przyjąłem przeprosiny. Nie miałam kiedy z nim spokojnie porozmawiać, ho natychmiast po przyjeździe do szpitala zaczęłam rodzić i odwieziono mnie na porodówkę. Następnego dnia na świat przysła Ellie.

Reacher obserwował jej twarz,

- I co było potem?

- Przez tydzień panował spokój. Ale znów zaczął mnie bić. Zbyt wiele uwagi poświęcałam dziecku, nie miałam ochoty na seks, bo bolały mnie szwy. Oznajmił mi, że po ciąży utylam i zbrzydłam. Sprawił, że w to uwierzyłam. I wierzyłam bardzo długo. Przez dwa lub trzy lata wciąż uważałam, że to była moja wina i starałam się poprawić.

- Co na to jego rodzina?

Odsunęła od siebie na wpół wypitą szklanę.

- Nic o tym nie wiedzieli - powiedziała. - Wkrótce zmarł jego ojciec, co zaogniło sytuację. Był jedynym sensownym członkiem rodziny. Teraz została już tylko matka i brat. On jest wstrętny, a z niej praw dziwa jęzda. Wciąż nic nie wiedzą. Bije mnie w tajemnicy przed nimi. Dom jest prawie wielkości bloku mieszkalnego. To wszystko bardzo zagmatwane. Duma nie pozwala Słupowi przyznać się do błędu, że oni mieli rację, a im bardziej mnie nie trawia, tym usilniej on udaje, że mnie kocha. Wodzi ich za nos. Kupuje mi prezenty. Słyszeli, że marzę o koniu, więc kupił mi wierzchowca, by pokazać im, jaki jest wielkoduszny - naprawdę jednak jazda konna to doskonałe wytłumaczenie moich siniaków. Każe mi mówić, że spadłam. Wiedzą, że dopiero zaczynam. A to wiele tłumaczy w kowbojskiej okolicy - siniaki i połamane kości.

- Łamał ci kości?

Kiwnęła głową.

- Żebra. Lewą rękę. Obojczyk. Szczękę. Musiałam sobie wstawić trzy sztuczne zęby.

- Czemu wciąż mieszkasz z nimi? Czemu nie rzuciłaś tego wszystkiego w diabły?

Westchnęła i odwróciła głowę.

- Nie umiem tego wyjaśnić - wyszeptala. - Nie wiesz, jak to jest. Brakowało mi wiary w siebie. Właśnie urodziło mi się dziecko i nie miałam grosza przy duszy Ani złamanego szeląga. Nie miałam przyjaciół. Obserwowali mnie przez cały czas. Nawet rozmowy telefoniczne odbywały się pod ich bacznym okiem.

Nie odezwał się. Podniosła oczy i spojrzała na niego.

- Nie mogłam odejść, porzucając Ellie. Słup zaproponował mi, że jeśli dziecko zostanie z nim, dostanę odprawę i będę mogła pojechać gdziekolwiek zechcę. Nie potrafiłam zdobyć się na taki krok, więc wciąż mnie bije. Dzień w dzień.

Spojrzał na nią, przyglądał się jej dłoniom, ramionom, szyi, twarzy. Dekolt sukienki przesunął się, przez co dostrzegł niewielkie zgrubienie na obojczyku. Kiedyś był złamany, nie ma wrażliwości. Ale siedziała prosto jak struna, z wysoko uniesioną głową i buńczucznym błyskiem w oku, taka postawa świadczyła o czymś.

- Codziennie cię bije?

Zacisnęła powieki.

- Nieomal codziennie. To znaczy nie dosłownie. Ale zwykle trzy, cztery razy w tygodniu. Mnie się wydaje, że codziennie.

Nie odzywał się przez dłuższą chwilę, patrząc jej prosto w oczy.

- Zmyślasz - orzekł.

Carmen odwróciła się w stronę okna. Czerwone plamy pojawiły jej się na policzkach. Złość, pomyślał. A może zakłopotanie.

- Czemu tak sądzisz?

- Dowody rzeczowe - odparł. - Nie masz żadnych siniaków na ciele. Masz nietkniętą skórę. Poruszasz się bez kłopotu, nic cię nie boli. Nie jesteś zeszywniała ani obolała.

Kiwnęła głową.

- Bił mnie pięć lat, jak ci mówiłam. Ale potem się skończyło, półtora roku temu. Musiałam opowiedzieć ci wszystko od początku, bo chciałam, żebyś mnie wysłuchał.

Spojrzał jej prosto w twarz.

- No dobrze, przecież słucham.

- Ale czy mi pomożesz?

- Niby, w czym?

Nie odezwała się. Wobec tego spytał:

- Jak to odczuwałaś? Bicie. Fizycznie.

Zamyśliła się.

- To zależy od części ciała.

Kiwnął głową. Wiedziała na podstawie doświadczeń, że w różnych miejscach odczucia są różne.

- Brzuch - powiedział.

- Dużo wymiotowałam, także krwią.

Znów potakująco skinął głową. Wiedziała, jak to jest otrzymywać ciosy w brzuch.

- I co takiego się wydarzyło? Czemu przestał?

Zawiesiła głos, jakby przełęczona, że ktoś może na nią patrzeć.

- Wyjdźmy stąd - poprosiła. - Czeka nas długa droga.

- Mam z tobą jechać?

- Myślałam, że pojedziesz. Błagam, me odmawiaj mi, Reacher.

Przynajmniej wysłuchaj mojej opowieści do końca i wówczas podejmiesz decyzję. Mogę cię zostawić w Pecos, jeśli nie będziesz chciał jechać ze mną do Echo.

- Okay - zgodził się.

- Dzięki - powiedziała.

Nie odezwał się.

ROZDZIAŁ TRZECI

JECHALI długim prostym odcinkiem pustej drogi, słońce unosiło się wprost nad ich głowami. Kierujemy się na południe, jest mniej więcej dwunasta, domyślał się Reacher. Od czasu do czasu pojawiały się przy drodze billboardy reklamujące stacje benzynowe i miejsca noclegowe, od których dzieliło ich jeszcze wiele kilometrów.

- Jesteś głodny? Jeśli zrezygnujemy z postoju, uda mi się zabrać Ellie ze szkoły - powiedziała Carmen. - Nie widziałam jej od wczoraj.

- Wszystko mi jedno - odparł Reacher.

Wdusiła odruchowo gaz, cadillac mknął teraz sto trzydzieści kilo metrów na godzinę.

- Czy już mi wierzysz? - spytała.

Zerknął na nią. Trzynaście lat pracował jako detektyw i instynkt nie pozwalał mu w nic wierzyć.

- Co takiego stało się półtora roku temu? - ponowił pytanie. - Czemu przestał?

Chwyciła mocniej kierownicę.

- Trafił do pudła.

- Za znęcanie się nad tobą?

- W Teksasie? - Roześmiała się z goryczą. - Od razu widać, że jesteś tu pierwszy raz. Teksańczyk nigdy nie podniesie ręki na kobietę. Wszyscy to wiedzą. Jeśli więc latynoska zdzira zarzuciłaby coś takiego swojemu mężowi, niechybnie trafiłaby do domu bez klamek.

- Więc co przeszkobił?

- Nie płacił podatków federalnych - wyjaśniła. - Zarobił mnóstwo pieniędzy, handlując dzierżawami pól naftowych w Meksyku, ale nie zgłosił dochodu do urzędu skarbowego.

- Można za to pójść do paki?

Skrzywiła się.

- Robią wszystko, żeby delikwent nie poszedł siedzieć. Najchętniej przyjmą spłatę w ratach, ale Słup jest wyjątkowo uparty. Ukrywał wszystko aż do procesu, a potem odmówił spłacenia długu. Wszystkie pieniądze ulokował w rodzinnych rachunkach powierniczych, nie mogli mu, więc ich odebrać. Chyba porządnie się na niego wściekli.

- Więc stanął przed sądem?

Kiwnęła głową.

- Federalna rozprawa z wszelkimi szykanami. Miejskowa klika przeciwko Ministerstwu Skarbu. Adwokat Słupa to jego najlepszy kumpel z liceum, a drugi, który jest prokuratorem okręgowym hrabstwa Pecos, doradzał im, jaką obrać strategię. Na nic się to jednak zdało, bo urząd skarbowy postawił się. Groziło mu od trzech do pięciu lat. Sędzia skazał go na najniższy wyrok: trzydzieści miesięcy w więzieniu gdzieś pod Abilene. Nazywają je Club Fed. Siedzą tam same oprychy. Trzydzieści miesięcy to dwa i pół roku, ale zakładam, że wyjdzie wcześniej, bo pewnie się tam dobrze sprawuje.

Reacher kiwnął głową.

- Pewnie tak.

- A więc dwa i pół roku, a ja zmarnowałam pierwsze półtora.

- Masz jeszcze cały rok. To mnóstwo czasu.

- Powiedz mi, co mogę zrobić - poprosiła. - Musimy ustalić, jakie działania należy podjąć. Na razie teoretycznie, jeśli chcesz.

Wzruszył ramionami. potem spojrział na to z jej punktu widzenia. Z jego perspektywy rozwiązanie było aż nazbyt oczywiste.

- Musisz stąd wyjechać - zawyrokował. - Musisz mieć dom i pieniądze na utrzymanie. W jakimś wielkim mieście. Oto twoje rozwiązanie. Są specjalne schroniska, organizacje.

- Jak do nich dotrzeć? Nie mam grosza przy duszy.

- Dość szykownie się ubierasz jak na biedaczkę.

- Katalog wysyłkowy - oświadczyła. - Prawnik Słupa podpisuje czeki, więc mam co na siebie włożyć. Ale nie dysponuję żadną gotówką.

- Możesz sprzedać brylant.

- Już próbowałam - wyznała. - Nie jest prawdziwy. Nierdzewna stal i oszlifowany cyrkon. Jubiler roześmiał mi się w twarz. Jest wart najwyżej trzydzieści dolców.

Nie odzywał się przez kolejne półtora kilometra szybkiej jazdy na południe.

- Ale w domu muszą być jakieś pieniądze - orzekł. - Mogłabyś ukraść.

- I stałabym się podwójną uciekinierką - zauważyła. - Zapominasz o statusie prawnym Ellie. W tym cały sęk. Zawsze był to problem. Ona jest także dzieckiem Słupa. Jeśli wywiozę ją za granicę stanu bez jego zgody, stanę się porywaczką. Odszukają mnie, zabiorą córkę i wsadzą mnie do paki.

- Nie wyjeżdżaj, więc poza granicę stanu. Zostań w Teksasie. Możesz pojechać do Dallas.

- Nie zostanę w Teksasie.

Słychać było stanowczość w jej głosie. Reacher nie odezwał się.

- To nie takie proste - tłumaczyła. - Matka Słupa śledzi mnie z jego polecenia. Jeśli pewnego dnia znikną pieniądze oraz Ellie, już po kilku godzinach zawiadomi szeryfa, który z kolei zadzwoni do FBI.

- Musi być jakiś sposób.

Zerknęła na dokumenty prawnicze w aktówce na tylnym siedzeniu.

- Jest mnóstwo sposobów - rzekła. - Postępowanie prawne, warunki, ochrona sądowa, najróżniejsze triki. Prawnicy są jednak powolni jak zółwie i kosztowni, a ja nie mam pieniędzy. I kółko się zamyka.

- Masz rację - przytaknął.

Coś zahuczalo na tablicy rozdzielczej. Pomarańczowa lampka w kształcie dystrybutora paliwa zaczęła migać obok szybkościomierza.

- Jedziemy na rezerwie - oznajmiła.

- Niebawem będzie stacja Exxon. Widziałem billboard. Za dwadzieścia kilometrów.

- Mnie potrzebny jest Mobil - odparła. - W schowku na rękawiczki jest karta na stację Mobila. Nie mam czym zapłacić w Exxonie.

- Nie masz nawet forsy na benzynę?

Pokręciła głową.

- Skończyła się. Tankuję teraz na konto teściowej w Mobilu. Rachunek przyjdzie do niej dopiero za miesiąc.

Kierowała jedną ręką, ponieważ drugą sięgnęła do tyłu po torebkę. Rzuciła mu ją na kolana.

- Sam sprawdź - powiedziała.

- Nie przystoi grzebać w torebce damy.

- Ale ja ci pozwalam - nalegała. - Chcę, żebyś zrozumiał.

Z ociąganiem otworzył torebkę. Znalazł w niej szczotkę do włosów, całki do paznokci oraz chudy portfel.

- Zajrzyj - kazała.

W przegródce znalazł banknot jednodolarowy. To było wszystko. Jeden dolar. Żadnych kart kredytowych. Prawo jazdy wydane w Teksasie ze zdjęciem, na którym miała wystraszoną minę. W przezroczystej kieszonce fotografia dziewczynki z połyskującymi blond włosami i żywymi oczami.

- To Ellie - wyjaśniła.

- Uroczą dziewczyneczka.

- Prawda?

- Gdzie spałaś zeszłej nocy?

- W samochodzie.

- Jadłaś coś?

- Nie muszę jeść.

Zwolniła, może żeby oszczędzić paliwo.

- Zapłacę za benzynę - zaoferował. - Przecież w końcu jestem twoim pasażerem.

- No dobrze - przyjęła propozycję. - Pozwolę ci zapłacić. Ale tylko dlatego, żebyś mogła pojechać po Ellie.

Znow wduśła pedał gazu.

- Zatrzymaj się - rozkazał nagle.

- Po co?

- Rób, co mówię

Zerknęła na niego zdezorientowana, ale zjechała z drogi.

Odpiął pas, zerknął w dół i oderwał kieszeń w swojej koszuli.

- Co masz na sobie? - spytał.

- Co? O co ci chodzi?

- Powiedz mi dokładnie, w co jesteś ubrana.

Oblała się rumieńcem.

- Mam tę sukienkę - wyliczała - bieliznę oraz buty.

- Pokaż buty.

Zdjęła i podała mu obuwie. Sprawdził je dokładnie. Nie znalazł niczego. Rozpiął koszulę, zdjął i podał jej.

- Teraz wysiądę z samochodu - powiedział - i odwrócę się plecami. Rozbierz się do rosołu i włóż moją koszulę. Zostaw ubranie na siedzeniu i wyjdź z wozu.

- Czemu?

- Jeśli chcesz, żebyś ci pomógł, to rób, o co proszę.

Wysiadł z samochodu i odszedł kawałek. Upał był straszny. Czuł, jak słońce pali mu skórę na ramionach. Po chwili usłyszał trzask otwieranych drzwi. Kiedy się odwrócił, zobaczył, jak wychodzi bosa w jego koszuli, która była na nią sporo za duża.

- Teraz odejdź i zaczekaj.

Odeszła trzy metry, on zaś wrócił do samochodu. Na siedzeniu leżało równiutko złożone ubranie. Jeszcze raz przeszukał torebkę i aktówkę. Nie znalazł nic szczególnego. Wytrząsnął sukienkę, biustonosz oraz figi. Nic w nich nie było schowane. Przeszukał resztę samochodu. Zajęło mu to dwadzieścia minut. Zajrzał we wszystkie możliwe zakamarki. Pod maskę, pod siedzenia, do bagażnika,

dosłownie wszędzie. Niczego jednak nie znalazł, a dałby sobie głowę uciąć, że żadnemu cywilowi nie udałoby się przed nim niczego ukryć w aucie.

- W porządku - zawołał. - Ubieraj się.

Zaczekał odwrócony plecami, póki nie usłyszał jej za sobą. Trzymała w ręku jego koszulę. Wziął ją od niej i włożył.

- Po co to wszystko? - spytała.

- Teraz mogę ci pomóc - oznajmił. - Bo w końcu ci uwierzyłem.

- Czemu?

- Faktycznie nie masz żadnych pieniędzy. Nikt nie oddał się samochodem pięćset kilometrów od domu bez grosza przy duszy, chyba że znalazł się w poważnych tarapatach. A ktoś w opałach zasługuje na pomoc.

Pochyliła lekko głowę, jakby powiedział jej komplement. Albo odwrotnie, sama chciała mu się przypochlebić. Wsiadli z powrotem do samochodu, a ona szybko wjechała na szosę.

- Więc mamy cały rok - skonstatował. - To mnóstwo czasu. Za rok możesz być na drugim końcu świata. Zacząć wszystko od początku, prowadzić nowe życie. Czy mam ci w tym pomóc? W ucieczce?

W oddali pojawiły się jakieś budynki. Chyba stacja benzynowa.

- Utwierdź mnie, że nie popełniłam błędu - rzekła - że rok to wystarczająco dużo. Że nie ma powodu się spieszyć.

- Jasne - przytaknął. - Rok wystarczy. Nie ma pośpiechu.

ZATANKOWALI ponad siedemdziesiąt litrów benzyny, za które Reacher zapłacił tyle, co za noc w motelu. Podał należność przez swoje okno i zostawił dolara napiwku. Uznał, że benzyniarz na niego zasłużył. Termometr na tablicy rozdzielczej wskazywał temperaturę na zewnątrz 44 stopnie.

- *Gracias, señor* - powiedziała Carmen. - Dzięki.

- Nie ma sprawy - odparł Reacher. - *De nada, señorita*

- Mówisz po hiszpańsku?

- Raczej nie - odparł. - Służyłem na całym świecie, więc znam po kilka zwrotów w wielu językach. Ale tylko tyle. Inaczej jest z francuskim. Całkiem nieźle mówię w tym języku. Moja mama była Francuzką. Paryżanką.

- Jesteś, więc w połowie cudzoziemcem - zauważyła.

- Czasem mam wrażenie, że więcej niż w połowie.

Uśmiechnęła się jakby z niedowierzaniem i wjechała na szosę.

- Powinieneś mnie tytułować *señora*. Jestem mężatką.

- Faktycznie - powiedział. - Chyba jesteś.

Nie odzywała się przez ponad kilometr. Potem z rozmysłem wzięła głęboki oddech.

- Problem w tym - powiedziała - że nie mam całego roku.

- Dlaczego?

- Bo przed miesiącem jego kolega prawnik zjawił się u nas w domu i oświadczył, że szykuje się jakiś układ. Podejrzewam, że Slup wsypie swoich współpracowników w zamian za wcześniejsze wyjście z więzienia. Pewnie ten jego drugi kumpel forsuje to w biurze prokuratora okręgowego.

- Cholera - zaklął Reacher.

Carmen kiwnęła głową.

- Kiepska sprawa. Zwlekałam zbyt długo.

Reacher skinął głową.

- Na jakim są etapie?

- Decyzja już zapadła - powiedziała cicho.

- Kiedy mają go wypuścić?

- Dziś jest piątek. Chyba nie wypuszczają nikogo w weekend.

Więc pewnie w poniedziałek. Boję się.

- Może się zmienił - podsunął Reacher. - Więzienie odmienia ludzi.

Mówił bez sensu. Wyraźnie widział to po jej minie. Ponadto z doświadczenia wiedział, że na pewno nie stają się tam lepsi.

- Nie. Jestem w poważnych opałach, Reacher. Uwierz mi.

Było w jej głosie coś niepokojącego.

- Dlaczego? Bo to ja go wydałam urzędowi skarbowemu - wyjaśniła.

- Jakim sposobem?

- Po prostu do nich zadzwoniłam. Numer można znaleźć w książce telefonicznej. Mają cały wydział do zbierania informacji od współ małżonków. To jeden z ważniejszych sposobów na łapanie krętaczy. Zwykle dzwonią tam rozwodzący się małżonkowie.

- Czemu więc się z nim nie rozwiodłaś? - spytał. - Mąż w więzieniu to niezły pretekst. Można by go oskarżyć o porzucenie.

Zerknęła na aktówkę leżącą na tylnym siedzeniu.

- To mi nie rozwiązuje problemu z Ellie. Sytuacja jeszcze bardziej by się pogmatwała. Wszyscy baliby się, że opuszczę stan. Słup mógłby sądowo nakazać mi podanie swojego nowego adresu zamieszkania, a ja nie miałabym wyjścia.

- Mogłabyś zostać w Teksasie - powtórzył.

Kiwnęła głową.

- Wiem, wiem. Ale nie mogę. Po prostu muszę stąd wyjechać, Reacher. Zostałam tu tak bardzo skrzywdzona, że muszę opuścić to miejsce. Nie tylko Słupa.

Wzruszył ramionami.

- W czym mam ci w takim razie pomóc? W ucieczce?

Nie odezwała się. Zadumał się nad tym, jak określiła mężczyzn, wśród których szukała swojego zbawcy. Bezrobotni kowboje z rodeo, zbiry. Mężczyźni zdolni do wielu rzeczy, ale czy potrafiliby przechytryć ścigając ją FBI? Trafił się jej jak ślepej kurze ziarno.

- Musisz działać szybko - zawyrokował. - Zostały tylko dwa dni, nie mamy czasu do stracenia. Odbierzemy Ellie, zawrócimy samochód o sto osiemdziesiąt stopni i ruszymy z kopyta. Może najpierw udamy się do Vegas.

- I co tam zdziałamy?

- Skombinujemy ci jakieś dokumenty. W mieście takim jak Vegas znajdziemy jakieś lokum, choćby tymczasowo. Mam trochę pieniędzy. Mogę postarać się o więcej, jeśli będzie trzeba.

- Nie mogę przyjąć od ciebie pieniędzy - zaproponowała. - To nie byłoby fair.

- Fair czy nie fair, potrzebujesz forsy. Możesz mi oddać później. Powinnaś wrócić do Los Angeles. Zmienić nazwisko i zacząć wszystko od nowa.

- Nie. Nie mogę uciec. Nie chcę być zbiegiem - powiedziała. - Nie chcę zostać nielegalną imigrantką. Cokolwiek złego można o mnie powiedzieć, nigdy nią nie byłam. Nie zamierzam tego teraz zmieniać. Nie chcę tego robić Ellie. Zaslługuję na lepszy los.

- Obie zasługujecie na lepszy los, ale musisz podjąć jakieś konkretne działanie.

- Mam obywatelstwo - tłumaczyła. Zastanów się tylko, co to znaczy dla kogoś takiego jak ja. Nie zamierzam się go wyrzec.

- Masz więc jakiś inny plan?

Ty jesteś moim planem - odparła.

Kowboje, zbiry, były gliniarz wojskowy o wzroście sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów i wadze sto dziesięć kilogramów.

- Chcesz, żebym był twoim ochroniarzem? - zgadywał.

Nie odpowiedziała.

- Carmen, przykro mi, że znalazłaś się w takiej sytuacji - powiedział. - Naprawdę. Ale nie mogę być twoim gorylem.

Znów ani słowa. Na autostradzie pojawił się rozjazd.

- Nie bądź śmieszna - ciągnął. - Mogę mu dać ostrzeżenie. Wystraszyć go. Ale co będzie, jak odejdę? Przecież wcześniej czy później to nastąpi, Carmen. Nie lubię tkwić w jednym miejscu.

Przejechała obok zielonej tablicy informacyjnej z napisem: PESOS 120 KILOMETRÓW.

- Nie chcę ochroniarza.

Spojrzał na nią. Z jej twarzy nie dało się nic wyczytać.

- Więc kim mam być?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Niby czego?

Otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Przelknęła głośno ślinę i nie odzywała się. Przyglądał się jej. Kowboje, zbiry, były policjant wojskowy. Napis na grobie Claya Alisona, jego nekrolog w gazecie.

- Rozum ci odjęło - powiedział nagle. - Mowy nie ma.

- Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Pragnę jego śmierci - rzekła. - To mój jedyny ratunek. A on zasłużył na śmierć.

- Powiedz, że żartujesz.

- Wcale nie żartuję. Chcę, żeby zginął.

Potrząsnął głową.

- Nie ma mowy. To absurd.

- Chciałam postępować zgodnie z prawem - rzekła. - Rozmawiałam z czterema adwokatami i każdy z nich powiedział, że ze względu na Ellie nie wolno mi się ruszać z miejsca. Chciałam, więc zapewnić sobie ochronę. Udałam się do firmy ochroniarskiej w Austin, powiedzieli, że potrzeba będzie sześciu ludzi, co wyniesie dziesięć tysięcy dolarów tygodniowo, a więc właściwie równało się to odmowie. Chciałam działać zgodnie z prawem, Reacher, ale nie udało się.

Obserwował autostradę. Panował na niej duży ruch.

- Więc kupiłam pistolet - oznajmiła.
- Świetnie - skomentował.
- I naboje. Wydałam na to całą gotówkę, jaką miałam.
- Nie jestem odpowiednim facetem.
- Czemu? Przecież już zabijałeś ludzi. W wojsku.
- To nie to samo. Tu chodzi o morderstwo z zimną krwią.
- Czy nie przysięgałeś, że będziesz chronił ludzi?
- Nie o to chodzi.
- Błagam cię, Reacher. Przeanalizowałam najróżniejsze możliwości. Ty jesteś moją ostatnią deską ratunku.
- Zrozum, nie zamierzam zabijać faceta, którego nawet nie widziałem na oczy.
- Ale on mnie bije, Reacher - jęknęła. - Brutalnie. Kopie mnie. Lubi to. Śmieje się, kiedy mnie katuje. Żyję w ciągłym strachu.
- Zgłoś się więc na policję.
- Do policjanta. Jest tylko jeden. Nie uwierzyłby mi, a nawet gdybym go przekonała, nie kiwnąłby palcem. Męska solidarność.
Reacher nie odezwał się.
- Jestem w rozpaczliwej sytuacji. Jesteś moją jedyną szansą. Błagam cię. Dlaczego nie chcesz mi pomóc? Bo jestem Meksykanką? Pomógłbyś białej kobiecie? Na przykład swojej dziewczynie? Założę się, że jest biała. Pewnie blondynka, nie myślę się?
- Zgadza się, jest blondynką.
- Gdyby bił ją jakiś facet, na pewno byś go zabił.
No jasne, pomyślał.
- To nie to samo - rzekł.
- Jak ma na imię? - spytała. - Twoja dziewczyna.
- Jodie.
- Okay, wyobraź sobie, że Jodie okłada codziennie jakiś sadystyczny maniak. Ona ci o tym mówi. I co robisz?
Zabiłbym go, pomyślał. Kiwnęła głową, jakby czytała w jego myślach.
- A mnie nie chcesz pomóc. Zrobiłbyś to dla białej, ale nie dla mnie.
Miała rację. Zabiłby dla Jodie Garber, ale nie dla Carmen Greer. Dlaczego? Bo tego nie można robić na siłę. Morduje się w afekcie. Jeśli nie ma emocji, nic z tego. Taka jest prawda. Robił to już wiele razy.

Ludzie z nim zadzierali i dostawali za swoje. Jeśli krzywdzili Jodie, to tak jakby robili krzywdę jemu. Bo Jodie była nim. A przynajmniej kiedyś była. Czego nie można powiedzieć o Carmen Greer.

- To nie ma nic wspólnego z kolorem skóry - rzekł cicho.

- Więc o co chodzi?

- Jodie znam, a ciebie nie.

- No, to mnie poznaj - zaproponowała. - Mamy dwa dni. Niebawem poznasz moją córkę. Poznasz moją rodzinę.

Nic nie powiedział.

- Czego ty chcesz, Reacher? Seksu? W porządku.

- Zatrzymaj wóz - rzekł krótko.

- Dlaczego?

- Bo mam tego powyżej uszu.

Wdużyła mocno pedał gazu. Samochód wyrwał do przodu. Spojrzał za siebie na nadjeżdżające samochody i szarpnięciem przeczucił dźwignię sterowania przekładnią automatyczną na bieg jałowy. Silnik zawył, a samochód zaczął się toczyć rozpędem. Złapał kierownicę lewą ręką i mocując się z jej silnym uchwytem, skierował samochód na pobocze. Opony zachręściły na żwirze. Samochód wyhamował. Wysiadł. Poczul skwar, jakby znalazł się w piecu. Zatrzasnął drzwi i odszedł.

ROZDZIAŁ CZWARTY

PRZESZEDŁ ledwie dwadzieścia metrów, a pot ciekł z niego ciurkiem, zdążył już pożałować swojej decyzji. Był na odludziu, bez transportu, przy autostradzie przelotowej, po której najwolniejsze po jazdy jechały setką. Nie ma mowy, żeby ktoś się zatrzymał. Były 44 stopnie. Nie miał wody. Może tu wyzionąć ducha jak nic.

Przeszedł jakieś pięćdziesiąt metrów i przystanął. Odwrócił się i wystawił do góry kciuk. Beznadzieja. W ciągu pięciu minut udało mu się zwrócić na siebie uwagę jednej osoby - kierowca ciężarówki zatrąbił na niego.

Po chwili zauważył cadillaca, który toczył się poboczem ku niemu. Podszedł do samochodu, kiedy przystanąła. Opuściła szybę od strony pasażera.

- Przepraszam - powiedziała. - Wsiadaj.

Wsiadł.

- Głupio mi, że zaproponowałam ci seks - zamruczała pod nosem. - Ale wydawało mi się, że wszyscy faceci, których wcześniej zabierałam, właśnie tego chcieli.

- Poszłabyś z nimi do łóżka, żeby zamordowali twojego męża?

Kiwnęła głową.

- A jak inaczej miałabym zapłacić?

Nie odezwał się.

- Wysadzę cię w Pecos - zapowiedziała.

Nie odezwał się, a potem potrząsnął głową. Przecież musiał się gdzieś podziąć. Kiedy się żyje na drodze, każde miejsce jest tak samo dobre.

- Nie. Pojadę z tobą, Carmen - oznajmił. - Pomieszkam u ciebie kilka dni. To, że nie zastrzelę twojego męża, nie znaczy, że nie pomogę ci w inny sposób. Jeśli dam radę. O ile nadal chcesz mojej pomocy.

Chwila wahania.

- Tak. Nie zmieniłam zdania.

- Chciałbym też poznać Ellie. Na zdjęciu wygląda na wspaniałą dziewczynkę.

- Bo jest wspaniała.

Carmen odwróciła głowę w lewo i patrzyła na jadące samochody. Czekwała na większy odstęp między nimi. Kiedy minęło ją sześć wozów, wjechała z powrotem na autostradę i dodała gazu. Całą drogę do Pecos pędziła sto trzydzieści kilometrów na godzinę.

Po godzinie, gdy do Pecos było już blisko, Carmen skrzyła na południe w jakąś drożynę prowadzącą przez całkowite pustkowia.

- Piękna okolica - zauważył Reacher.

Faktycznie było tu ładnie. Droga wiała się wśród kanionów z czerwonej skały, którymi w zamierzchłych czasach potoki spływały do Rio Grande. Majestatyczne nagie góry wznosiły się przed nimi, a nad wszystkim rozciągało się bezkresne niebo w technicolorze. Reacher miał wrażenie, że na tysiącach kilometrów kwadratowych tego odludzia panuje absolutna cisza.

- Nie znoszę jej - odparta.

- Gdzie będę mieszkał?

- Chyba w baraku. Zatrudnią cię do koni. Możesz powiedzieć, że jesteś kowbojem.

- Nie mam zielonego pojęcia o koniach.

Wzruszyła ramionami.

- Może nie zauważą. Są jak ślepcy, nie widzą choćby tego, że mało mnie nie zatłukł na śmierć.

W końcu wjechali na długą, stromą pochyłość i raptem w dole, aż po horyzont rozpostarł się zupełnie płaski krajobraz. Droga opadała jak poskręcana, wypłowiła wstążka, a w odległości trzydziestu kilometrów krzyżowała się z inną. Przy odległym skrzyżowaniu stało kilka niewielkich budynków.

- Hrabstwo Echo - powiedziała. - Jak okiem sięgnąć i jeszcze dalej. Wskazała na kłęb pyłu w oddali na drodze.

- To pewnie autobus szkolny. Musimy gnać do miasta, w przeciwnym razie Ellie wsiądzie do niego i nici z naszego spotkania.

Wdusiła gaz, zjeżdżając w dół.

Z bliska wioska wyglądała biednie i przygnębiająco. Po prawej na południowo-zachodnim krańcu usytuował się bar. Po drugiej stronie na ukos szkoła. Prócz tego stały tu jeszcze cztery inne betonowe budynki, wszystkie parterowe, przed każdym wąziutki, nierówny podjazd. Domy mieszkalne, domyślał się Reacher. Na podwórkach walały się śmieci, dziecięce rowerki i rozklekotane auta podparte ceglami.

Carmen przejechała obok szkoły i nawróciła. Stała tak, że szkolna brama znalazła się przy oknie Reachera.

Autobus nadjechał z mozołem z północy i zatrzymał się po swojej stronie ulicy. Drzwi szkoły otworzyły się i dzieci wysypały się gęsiego. W sumie siedemnaścioro, policzył Reacher. Ellie Greer miała na sobie niebieską sukienkę. Poznał ją dzięki zdjęciu, a także po tym, jak Carmen odetchnęła z ulgą na jej widok i sięgnęła do klamki.

Obiegła samochód od strony maski i pospieszyła na spotkanie córki po ścieżce z ubitej ziemi, która zastępowała chodnik. Mocno przytuliła dziewczynkę. Reacher widział, że Ellie się śmieje, a w oczach Carmen pojawiły się łzy. Kobieta otworzyła drzwi samochodu i Ellie wgramoliła się prosto na fotel kierowcy, po czym znieruchomiała na widok nieznanego.

- To jest pan Reacher - wyjaśniła Carmen. - Mój znajomy.

- Dzień dobry - odezwała się Ellie.

- Cześć, Ellie - powitał ją Reacher.

Dziewczynka przeskoczyła na tylne siedzenie, a Carmen wsiadła do środka.

- Straszny upał, mamó - żaliła się Ellie. - Chodźmy na mrożoną colę. Do baru.

Reacher zobaczył, jak Carmen uśmiecha się i już ma się zgodzić, gdy spostrzega swoją torebkę i przypomina sobie, że został jej tylko jeden dolar.

- Świetny pomysł - podchwycił. - Chodźmy do baru. Ja funduję.

Carmen rzuciła mu spojrzenie, niezadowolona z tej swojej od niego zależności, ale przejechała przez skrzyżowanie i zatrzymała się przed barem obok stalowoniebieskiej crown victorii. Pewnie nieoznakowany wóz policji stanowej albo z wypożyczalni, pomyślał Reacher.

W barze nie było nikogo prócz, jak się domyślił, pasażerów crown victorii - trójki przeciętnych miejscowych typów, dwóch mężczyzn i kobiety. Kobieta, blondynka, wyglądała nawet nieźle. Jeden z facetów niski i ciemnowłosy, drugi wysoki blondyn. A więc crown victoria nie była radiowozem, tylko pochodziła z wypożyczalni. Może to jacyś handlowcy w drodze z San Antonio do El Paso? Odwrócił wzrok i pozwolił się poprowadzić Ellie do boksu po przeciwnej stronie sali. Wskoczyła na winylowe krzeselko i siadła na nim okrakiem.

Reacher zajął miejsce po przeciwnej stronie stołu, przyjrzeni się sobie bez zażenowania. Nie był pewien, co zobaczyła, on natomiast ujrzał ożywioną wersję zdjęcia z jej matczynego portfela. Gęste włosy w kolorze piasku, związane w kucyk, osobliwe ciemne oczy, mały perkaty nosek. Skóra jak różowy, wilgotny aksamit.

- Gdzie chodziłeś do szkoły? - spytała ciekawie.

- Chodziłem do wielu szkół - odparł. - Często się przeprowadzałem. Co kilka miesięcy szedłem do nowej budy.

Zamyśliła się. Nie zadawała więcej pytań. Rozważała plusy i minusy takiej sytuacji.

- Jak potrafiłeś połączyć się w nowych miejscach? Na przykład, jak pamiętałeś, gdzie są toalety?

- W młodości ma się doskonałą pamięć. Dopiero z wiekiem zaczyna szwankować.

- Ja też czasem zapominam - przyznała. - Nie pamiętam już, jak wyglądał mój tato. Siedzi w więzieniu, ale chyba niedługo go wypuszczą.

- Chyba tak.

Carmen przysunęła się blisko Ellie i objęła ją ramieniem. Podeszła kelnerka z bloczkiem i ołówkiem w pogotowiu.

- Prosimy trzy mrożone cole - dziewczynka powiedziała głośno i wyraźnie.

- Już się robi, kotku - rzekła kelnerka i odeszła.

Reacher przypomniał sobie, że pierwszą mrożoną colę pił w barze „PX” w Berlinie. Był gorący letni dzień, pamiętał żar na swojej skórze i bąbelki, które mu poszły nosem.

- To głupie - zauważyła Ellie. - Przecież to nie cola jest mrożona, tylko kulka lodów. Powinni to nazwać mrożone lody.

Reacher uśmiechnął się. Pamiętał, że w jej wieku też przychodziły mu do głowy takie pomysły.

- Dzięki - powiedziała Carmen.

Wzruszył ramionami.

- Nie ma za co. To nowe doświadczenie. Chyba jeszcze nigdy nie kupowałem dziecku mrożonej coli.

- A więc, najwyraźniej nie masz dzieci.

- Zawsze byłem od tego jak najdalszy. Niewiele wiem o dzieciach.

- Pobądź z nami dzień lub dwa, a Ellie nauczy cię więcej, niż chciałbyś wiedzieć. Zresztą już chyba widzisz, co z niej za ziółko.

Dopili colę i wyszli na skwar. Crown victoria już odjechała. Podeszli do cadillaca i Ellie wgramoliła się na tylne siedzenie. Carmen uruchomiła silnik, wróciła na skrzyżowanie i skierowała się stamtąd prosto na południe. Przemierzali sto kilometrów.

Niewiele obiektów mijali po drodze. Kable wysokiego napięcia biegingy jednostajnie między zniszczonymi słupami stojącymi na poboczu. Od czasu do czasu widać było pompy do ropy naftowej oraz wieże wiertnicze po zachodniej stronie drogi. Po wschodniej zaś wiele kilometrów kwadratowych porastał jadaloszyn, a od czasu do czasu pojawiały się szerokie połacie porośnięte bujną trawą.

Co piętnaście, dwadzieścia kilometrów mijali bramy wjazdowe na rancza, od których biegły długie i wąskie drogi gruntowe z ubitej ziemi. Niektóre z zabudowań było widać z okien samochodu.

- Posiadłość Greerów zaczyna się od tego miejsca - rzekła w pewnej chwili Carmen. - Po lewej stronie. Kolejna droga będzie nasza. Za jakieś trzynaście kilometrów.

W oddali, na tle nieba, widniał las urządzeń wiertniczych, otoczonych maleńkimi chatkami i porzuconymi maszynami.

- To Greer Trzy - wyjaśniła Carmen. - Wielkie pole. Kiedyś dziadek Słupa zbił na nim majątek.

Reacher zauważył, jak ogrodzenie z drutu kolczastego przechodzi nagle w niedorzeczny płot z kołków, który biegł niecały kilometr aż do bramy wjazdowej na ranczo. Za bramą widać było budynki: ogromne, stare, piętrowe domiszcze z długimi parterowymi skrzydłami, a dookoła jakby w beładzie stodoły i szopy. Wszystkie budynki i ogrodzenie pomalowano na zmatowiały czerwony kolor.

Zwolniła i wjechała w bramę. Wysoko nad ich głowami widniał napis: CZERWONY DOM.

- Witaj w piekle - powiedziała.

Czerwony Dom miał ganek z szerokich desek i drewniane kolumny, na łańcuchach wisiał bujak, dalej stał garaż, do którego drogę tarasował radiowóz szeryfa hrabstwa Echo.

Ellie wyskoczyła z samochodu i pobiegła przez podwórko. Carmen odpięła pasy, postawiła stopy na ziemi i stanęła, w ślad za nią wysiadł Reacher. Drzwi domu otworzyły się i mundurowy wyszedł na ganek. Był to oczywiście szeryf. Miał jakieś sześćdziesiąt lat i nadwagę, siwe włosy pozlepiane jak skorupa. Nosił czarne spodnie i białą mundurową koszulę z epoletami. Skierował się w stronę radiowozu, ale przystanął na widok Carmen.

- Pani Greer - powiedział takim tonem, jakby chciał jej dać do zrozumienia, że coś przeszkobiła.

- Co się stało?

- Rodzina pani powie - odparł szeryf. - Jest tak gorąco, że nie chce mi się wszystkiego powtarzać dwa razy.

W tym momencie jego spojrzenie spoczęło na Reacherze.

- Kim pan jest? - spytał.

- Wyjaśnię to rodzinie - powiedział Reacher. - Jest tak gorąco, że nie chce mi się wszystkiego powtarzać dwa razy.

Gliniarz spojrział na niego przeciągle ze spokojem, wsiadł do radiowozu i odjechał. Reacher pozwolił, by osiadł mu na butach wzniesiony przez niego pył, i obserwował, jak Carmen znów wsiada do cadillaca i wjeżdża do garażu. Stały tam już dwa pick-upy i jeep cherokee. Jeden z pick-upów był nowy, drugi zaś nie miał powietrza w oponach i wyglądał, jakby nikt nim nie jeździł od przynajmniej dziesięciu lat. Za budynkiem ubita droga zakręcała i nikła w bezkresnej pustyni.

- Trzymaj się mnie - powiedziała. - Musimy ci załatwić pracę.

- Okay - zgodził się.

Zaprowadziła go do frontowych drzwi i zapukała.

- Musisz pukać? - zdziwił się Reacher.

Kiwnęła głową.

- Nie dają mi kluczy.

Drzwi się otworzyły. Stał w nich mężczyzna ubrany w niebieskie dżinsy i biały podkoszulek. Wyglądał na dwadzieścia parę lat, miał kwadratową twarz i plamistą cerę, na głowie miał czerwoną czapkę baseballową włożoną daszkiem do tyłu. Był zwały, a młodzieńcze mięśnie zaczęły już obrastać tłuszczem. Cuchnął potem i piwem.

- To Bobby - przedstawiła go.

Spojrzał na Reachera.

- Kim jest twój znajomy?

- Nazywa się Reacher. Szuka pracy.

- No, to wchodźcie do środka - powiedział Bobby.

Zniknął w mroku. Carmen ruszyła za nim, trzy kroki w tyle. Wchodziła do własnego domu, jakby tu była gościem. Reacher trzymał się blisko niej.

- Brat Słupa - szepnęła.

Kiwnął głową. Hol zagracony był kosztownymi bibelotami, wszystkie jednak wyglądały na stare, jakby pieniądze skończyły się kilkadziesiąt lat temu. Na jednej ze ścian wisiało wielkie lustro. Naprzeciwko stał stojak z sześcioma sztucerami myśliwskimi. Stojak odbijał się w lustrze i miało się wrażenie, że hol pełen jest broni.

Weszli do salonu, wielkiego czerwonego pokoju ze stołem i ośmioma krzesłami o zaokrąglonych oparciach. Na jednym z krzesel siedziała kobieta po pięćdziesiątce, ubrana w obcisłe dżinsy i bluzkę z frędzlami. Miała fryzurę jak młoda kobieta, włosy ufarbowane na kolor marchewkowy, zaczesane zalotnie nad szczupłą twarzą. Wyglądała jak dwudziestolatka, która postarzała się w wyniku jakiejś rzadkiej choroby Spojrzała na przybysza.

- Nazywa się Reacher - Carmen go przedstawiła. - Szuka pracy.

- Co potrafi? - Miała chropawy głos.

- Zajmował się końmi. Potrafi podkuwać kopyta.

Reacher wyglądał przez okno, kiedy Carmen zmyślała androny na temat jego umiejętności. Najbliżej konia znalazł się kiedyś, przechodząc koło stajni w starszych bazach wojskowych, gdzie wciąż trzymano te zwierzęta do uroczystości galowych. Kobieta uniosła dłoń.

- Nazywam się Rusty Greer - powiedziała. - Witamy na rancho Czerwonego Domu, panie Reacher. Może znajdzie się tu dla pana jakieś zajęcie. Jeśli jest pan pracowity i uczciwy.

- Czego chciał szeryf? - spytała Carmen.

- Zaginął adwokat Slupa. Jechał właśnie do federalnego więzienia na widzenie ze Slupem. Nie dotarł do celu. Stanowa policja znalazła jego samochód porzucony przy drodze. Nieciekawie to wygląda.

- Al Eugene?

- A niby ilu adwokatów ma Slup?

- Może popsuł mu się samochód - podsunęła Carmen.

- Gliny sprawdzały - odparła Rusty - Działa bez zarzutu.

- Czy to coś zmienia? - spytała Carmen. - To znaczy, czy Slup wraca do domu?

Carmen kiwnęła nieznacznie głową, jakby się bała, co usłyszy w odpowiedzi.

- Nie masz się, czym martwić - odparła Rusty z uśmiechem. - Slup będzie z nami już w poniedziałek. Zaginięcie Ala niczego nie zmienia.

Carmen wysiliła się na uśmiech.

- To dobrze.

- Też się cieszę - rzekła jej teściowa. - A gdzie jest córeczka Slupa? Służąca przygotowała już jej kolację, więc zaprowadź małą do

kuchni, a po drodze możesz pokazać panu Reacherowi, jak trafić do baru.

ROZDZIAŁ PIĄTY

CHŁOPAK zapisał całą nową stronę w notesie. Mężczyźni uzbrojeni w teleskopy relacjonowali mu dokładnie przebieg zdarzeń. Przybycie szeryfa, powrót Latynoski z dzieciakiem w towarzystwie nieznanego, wyjazd szeryfa, wejście Latynoski i nowego gościa do domu, a potem długo, długo nic.

- Kto to? - spytał chłopiec.

- Diabli wiedzą - odparł jeden z mężczyzn.

„Bardzo wysoki, potężny, kiepsko ubrany, trudno określić wiek”, zapisał chłopak. A potem dodał: „Nie jest kowbojem, ma złe obuwie. Czyżby kłopoty?”.

PIĘTROWY barak stał na skarpie. Na parterze były rozsuwane drzwi. W środku stał kolejny pick-up. Na końcu pomieszczenia drewniane schody prowadziły w górę przez prostokątne wycięcie w suficie.

Reacher wszedł po schodach na pierwsze piętro. Na górze było wciąż gorąco, barak nie miał klimatyzacji. Na końcu odgrazono kawałek, domyślił się, że to łazienka. Poza tym była tu otwarta przestrzeń. Na przeciw siebie stało szesnaście łóżek - osiem po jednej i tyle samo po drugiej stronie, obok nich szafki.

Dwa łóżka najbliższej łazienki były zajęte. Na każdym leżał na pościeli kurdupłowaty, żyłasty mięśniak. Obaj mieli niebieskie dżinsy, wymyślne buty i gołe torsy. Odwrócili się ku schodom, kiedy Reacher pojawił się na piętrze.

Odслужиł cztery lata w West Point, a potem spędził trzynaście w wojsku, a więc miał w sumie siedemnaście lat doświadczeń, co do wchodzenia do nowych koszar. Należało po prostu wejść, zająć wolne łóżko i nic nie mówić. Skłonić kogoś innego, by się pierwszy odezwał. W ten sposób poznajemy miejscową hierarchię, nie zdradzając własnej pozycji.

Podszedł do drugiego łóżka od schodów, bo tu, jak przypuszczał, będzie chłodniej. W wojsku miałby plecak, który położyłby na łóżku, by zaznaczyć swoje terytorium. Tu jednak mógł co najwyżej wyjąć z kieszeni składaną szczoteczkę i położyć ją na szafce przy łóżku. To tylko symbol, któremu brakowało mocy, miał jednak tę samą wymowę: Teraz tu mieszkam, tak samo jak wy. Czy macie na ten temat coś interesującego do powiedzenia?

Jeden z facetów uniósł się na łóżku.

- Dostałeś robotę?

- Chyba tak - odparł Reacher.

- Jestem Billy - przedstawił się facet.

Drugi uniósł się na łokciach.

- Josh - powiedział.

Reacher skinął głową.

- Nazywam się Reacher. Miło was poznać.

- Ta Meksykanka cię przywiozła? - spytał Josh.

- Pani Greer - sprostował Reacher.

- Pani Greer to Rusty - poprawił go Billy. - Ona ciebie na pewno nie przywiozła.

- Pani Carmen Greer - uściślił Reacher.

Billy nie odezwał się. Josh się tylko uśmiechnął.

- Po kolacji chcemy gdzieś sobie wyskoczyć - rzekł Billy. - Do baru, dwie godziny na południe. Możesz z nami pojechać, żebyśmy się lepiej poznali.

Reacher potrząsnął głową.

- Może innym razem, kiedy już coś zarobię. Lubię w takiej sytuacji płacić za siebie, sami rozumiecie.

Billy kiwnął głową.

- Zdrowe podejście. Może się tu przyjmiesz.

SŁUŻĄCA przyniosła kolację czterdzieści minut później - sagan wieprzowiny z fasolą. Nałożyła potrawę do metalowych misek. Rozdała widelce i łyżki oraz puste metalowe kubki

- Woda jest w łazience - rzuciła pod adresem Reachera.

Potem zeszła po schodach, a Reacher skupił się tylko na jedzeniu. Był to bowiem jego pierwszy posiłek tego dnia. Usiadł na łóżku z miską na kolanach i jadł łyżką. Fasolka była gęsta i zawieszista,

kucharka nie żałowała zasmażki. Wieprzowina miękka, a tłuszcz na niej chrupki. Pewnie usmażono mięso oddzielnie i dopiero na koniec dodano do fasoli.

- Hej, Reacher - zawołał Billy. - No i co, smakuje ci?

- Całkiem dobre - odparł.

- Brednie - odezwał się Josh. - Jest prawie czterdzieści stopni, a ona nam daje gorący posiłek! Pocę się jak wieprz.

Reacher nie zwracał na niego uwagi. Psioczenie na jadło to stały element życia koszarowego. A ta potrawa była całkiem smaczna. Po przeciwnej stronie sali Billy z Joshem skończyli jeść i wyjęli z szafek czyste koszule. Ubrali się i przyczesali włosy

- Do zobaczenia - rzucił Billy.

Zbiegli po schodach i Reacher usłyszał, jak uruchamiają silnik na dole. Domyślił się, że to pick-up. Słyszał, jak odjechali.

Przemierzył spokojnie salę i zebrał trzy brudne miski oraz sztućce, zacerpił też sobie trzy kubki na palcu wskazującym i wyszedł z baraku. Słońce schowało się już prawie całkowicie za horyzont, upał jednak ani trochę nie zelżał. Przeszedł przez podwórko, znalazł drzwi do kuchni i zapukał. Otworzyła mu służąca.

- Przyniosłem brudne naczynia - rzekł, wyciągając w jej stronę miski i kubki.

- Miło z twojej strony - powiedziała. - Dziękuję. Najadłeś się?

- O tak. Smaczne było.

Wzruszyła ramionami lekko zażenowana.

- Proste kowbojskie żarcie.

Wzięła od niego naczynia i zaniósła w głąb kuchni.

- Reacher - ktoś go zawołał.

Teraz zauważył Bobby'ego Greera w cieniu na ganku. Siedział na bujaku.

- Chodź tu! - przywołał go Bobby.

Reacher podszedł do schodków prowadzących na ganek.

- Chcę pojeździć na koniu - powiedział Bobby - Na tej dużej klaczy. Osiodłaj ją i przyprowadź.

Reacher zawahał się:

- Teraz?

- A niby kiedy? Wybieram się na wieczorną przejażdżkę.

Reacher nic nie powiedział.

- Musisz się zaprezentować - rzekł Bobby - Jeśli chcesz, żebyśmy cię zatrudnili, musisz się wykazać.

Reacher odezwał się po dłuższej chwili:

- w porządku.

- Pięć minut - rzucił Bobby i wszedł do domu.

Reacher ruszył do stajni. Mam się wykazać? Cóż, wpadłeś po uszy, kolego, pomyślał sobie.

Przy drzwiach znajdował się kontakt, przekreślił go i żółte żarówki zapłonęły na wielkiej powierzchni. Środkowa część stajni podzielona była na ustawione tylnymi ścianami do siebie boksy dla koni, dookoła przy zewnętrznych ścianach od podłogi po sufit piętrzyły się bele siana. Obszedł dookoła boksy. Tylko pięć było zajętych. Pięć koni uwiązano przy ścianach w oddzielnych boksach.

Dokładnie im się przyjrzał. Pierwszy stał kucyk, prawdopodobnie należał do Ellie. To proste. Dwa konie były trochę większe niż dwa pozostałe. Pochylił się, by zajrzeć im pod brzuch. W zasadzie odróżnienie klaczy nie powinno sprawiać trudności, ale w boksach było ciemno, a ogony zasłaniały zwierzętom szczegóły anatomii. W końcu ustalił, że pierwszy koń nie był klaczą ani ogierem. Brakowało mu, bowiem tego i owego. Wałach. Poszedł dalej i przyjrzał się kolejnemu. Dobra, to jest klacz. Dalej znów stała klacz i na końcu jeszcze jeden wałach.

Odsunął się trochę. Która klacz była większa? Uznał, że ta z lewej. Okay, to jest duża klacz. Na razie, nieźle idzie.

Teraz siodło. Przy każdym boksie umieszczono pręt biegnący poziomo od zewnętrznej ściany, na którym wisiało różnorakie oprzyrządowanie. Siodło, to było oczywiste, ale także mnóstwo skomplikowanych pasków, derek i metalowych elementów. Zdjął z pręta siodło.

Otworzył bramkę. Koń cofnął się i odwrócił do niego przysadzistym zadem. Reacher dotknął jego boku. Koń wciąż się ruszał. Nie wolno podchodzić od tyłu. Tyle wiedział.

Klacz obracała się na boki i szła ku niemu. Zrównał prawe ramię z jej bokiem i dał jej porządnego kuksańca. Zwierzę się uspokoiło. Skierował wierzch dłoni ku jego nosowi. Widział, jak to robią w filmach. Trzeba potrzeć nos konia wierzchem dłoni, żeby się z nim zapoznać. Skóra była na nosie miękka i sucha.

- Dobry konik - szepnął.

Uniósł siodło i zarzucił je na koński grzbiet.

- Źle - usłyszał głosik z góry.

Odwrócił się i zadarł głowę. Ellie leżała na szczycie sterty siana, opierając brodę na rękach.

- Najpierw trzeba położyć kocyk - wyjaśniła.

- Jaki znowu kocyk?

- No, derkę pod siodło.

- Czy ktoś wie, że tu jesteś, Ellie? - spytał.

Energicznie potrząsnęła głową.

- Schowałam się tu.

- Umiesz siodłać konia?

- No jasne. Sama sobie radzę z moim kucykiem.

- A możesz mi pomóc? Chodź tu i osiodłaj tę klacz.

Zsunęła się na dół i podeszła do niego.

- Zdejmij na razie siodło.

Wzięła z pręta derkę i zarzuciła ją kobyle na grzbiet.

- Teraz załóż siodło.

Zarzucił siodło na derkę. Ellie wsunęła się pod koński brzuch, chwyciła paski poprzęgu i zaczęła ciągnąć.

- Sam to zrób - powiedziała w końcu. - Paski są za sztywne.

Włożył jęczyczki do klamerek i silnie pociągnął.

- Nie za mocno - pouczyła go Ellie. - Jeszcze nie teraz. Poczekaaj aż się nadmie. Konie nadymają brzuchy, żeby ci przeszkodzić. Ale nie mogą tak wytrzymać zbyt długo, więc po chwili spuszczaają powietrze.

Obserwował brzuch klaczy. Wydymał się coraz bardziej, stawiając opór paskom. Potem powietrze z niego uszło.

- Teraz mocno zaciśnij - poleciała Ellie.

Zaciągnął paski najmocniej, jak potrafił. Ellie trzymała w dłoniach wodze.

- Odwiąż ją teraz - powiedziała. - Po prostu ściągnij linę.

Zdjął linę. Uszy klaczy odgięły się do przodu, lina zsunęła się przez głowę i nozdrza na ziemię.

- A teraz weź to. - Podała mu płataninę rzemyków. - To uzda.

Przekładał ją długo, by nabrała jakichś sensownych kształtów, potem przypasował ją do końskiego pyska, aż znalazła się na

właściwym miejscu. Usiłował włożyć metalową część między zęby klaczy Kielzno. Koń ani myślał otworzyć pysk.

- Włóż kciuk do pyska, tam gdzie się kończą zęby - tłumaczyła Ellie. - Z boku.

Jest tam szpara.

Przejechał wierzchołkiem kciuka po zębach konia. Kiedy zęby się skończyły i natrafił na samo dziąsło, wepchnął kciuk do środka. Klacz jak na zawołanie otworzyła pysk. Szybko wepchnął jej kielzno, a następnie popuścił rzemień nad uszami i znalazł sprzączki.

- Teraz zaczelejce o lęk - powiedziała Ellie.

Od końca uzdy biegł długi pasek. Domyślił się, że to są właśnie lejce. Zgadywał, że lęk to ten element sterczący z przodu siodła. Ellie była zajęta ustawianiem strzemion na odpowiedniej wysokości.

- Podesadź mnie - poprosiła. - Muszę wszystko sprawdzić.

Posadził ją w siodle. Sprawdziła wszystkie sprzączki. Niektóre za pięta jeszcze raz. Schowała wiszące końcówki.

- Świetnie sobie poradziłaś - pochwaliła go.

Wyciągnęła rękę, żeby zestawili ją na ziemię.

- Teraz ją wyprowadź - powiedziała. - Trzymaj ją z boku pyska.

- Wielkie dzięki, dziecinko. A teraz znów się schowaj.

Ponownie wspięła się na stos siana. Reacher wyprowadził klacz ze stajni i przeszedł z nią przez podwórze, jakby robił to od zawsze. Teraz mi możesz naskoczyć!

Bobby Greer już czekał na schodkach ganku. Klacz podeszła prosto do niego i zatrzymała się. Bobby sprawdził to samo, na co zwróciła uwagę Ellie.

- Nawet nieźle - zauważył. - Ale zajęło ci to więcej czasu, niż się spodziewałem.

Reacher wzruszył ramionami.

- Konie mnie jeszcze nie znają. Uważam, że za pierwszym razem nie wolno się spieszyć. Muszą się przyzwyczaić do człowieka.

Bobby znów kiwnął głową.

- Możesz odejść. Przyprowadzę ją po przejażdżce.

Reacher skinął głową i ruszył do baraku. Kiedy wszedł po schodach, zastał Carmen siedzącą na jego łóżku ze złożoną bielizną pościelową na kolanach.

- Przyniosłam ci pościel - odezwała się. - Z bieliźniarki w łazience. Martwiłam się, że możesz jej nie znaleźć.

Zatrzymał się na szczycie schodów, jedną nogą stał już na podłodze, ale drugą miał na ostatnim stopniu.

- Carmen, to szaleństwo - rzekł szybko. - Powinnaś stąd uciekać, i to już. Zorientują się, że jestem oszustem. Nie minie nawet dzień, jak mnie wywalą.

Spuściła wzrok na pościel.

- Powinnaś stąd uciekać - powtórzył.

- Nie mogę. - Skierowała twarz ku przygasającemu światłu wpadającemu przez wysokie okna. Włosy opadły jej na ramiona.

- Przytul mnie - poprosiła. - Już nawet nie pamiętam dobrze, jakie to uczucie.

Usiadł obok i przygarnął ją do siebie. Objęła go w pasie i oparła głowę o jego pierś.

- Boję się - powiedziała.

SIEDZIELI tak przez dwadzieścia minut. A może pół godziny. Reacher stracił rachubę czasu. Była ciepła i przyjemnie pachniała, oddychała miarowo. Potem odepchnęła go i wstała, miała ponurą minę.

- Muszę poszukać Ellie - rzekła. - Trzeba ją kłaskać spać.

- Jest w stajni. Pokazała mi, jak założyć ten cały osprzęt na konia. Uratowała mi tyłek.

- To złote dziecko. - Carmen podała mu pościel. - Chcesz się jutro wybrać na konie? - spytała.

- Przecież nie potrafię jeździć.

- Nauczę cię - obiecała, odwróciła się i zeszła po cichu schodami, zostawiając go siedzącego na łóżku z poskładaną pościelą na kolanach, w takiej samej pozycji, w jakiej ją zastał.

Reacher powlekł pościel i znów wyszedł na zewnątrz. Usłyszał przed sobą kroki. Zmrużył oczy przy zachodzącym słońcu i ujrzał Ellie idącą w jego kierunku.

- Przyszłam się pożegnać.

Przypomniał sobie, jak niegdyś był zapraszany do rodzinnych kwater w bazach wojskowych, gdzie dobrze wychowane dzieci żołnierzy przykładnie żegnały na dobranoc kolegów swoich ojców.

Potrząsał ich drobnymi dłońmi i dzieci szły spać. Uśmiechnął się do dziewczynki.

- Dobrej nocy, Ellie - powiedział i wyciągnął ku niej rękę.
Spojrzała na nią.

- Masz mnie pocałować - rzekła, podnosząc do góry rączki.
Po chwili uniósł ją do góry i delikatnie pocałował w policzek.

- Dobranoc - powtórzył.

- Zanieś mnie - poprosiła. - Jestem taka zmęczona.

Zaniósł ją przez podwórko do domu. Carmen czekała na ganku, spoglądając w ich stronę.

- Mamusiu, chcę, żeby pan Reacher wszedł do środka i pożegnał mnie na dobranoc - poprosiła Ellie.

- Nie wiem, czy może.

- Ja tu tylko pracuję - wyjaśnił Reacher. - Nie mieszkam z wami.

- Nikt się nie dowie - nalegała Ellie. - Wejdz przez kuchnię. Jest tam tylko służąca.

Cannen spojrzała na Reachera. Wzruszył ramionami. Co może się stać w najgorszym razie? Postawił Ellie na ziemi, dziewczynka złapała mamę za rękę. Podeszli wszyscy troje do kuchennych drzwi.

Służąca wkładała brudne naczynia do ogromnej zmywarki. Uniosła wzrok, ale nic nie powiedziała.

- Tędy - szepnęła Ellie i weszła przez drzwi do holu na tyłach domu. Z jednej strony były schody. Wspięła się po nich.

Na pierwszym piętrze Ellie przeszła na drugą stronę holu i skręciła w korytarz na prawo. Jej pokój mieścił się na końcu.

- Pójdziemy się umyć - rzekła Carmen. - A pan Reacher tu na nas zaczeka. Dobrze?

Ellie poszła do łazienki w ślad za mamą. Kiedy wróciły, Ellie miała na sobie piżamkę. Wskoczyła do łóżka i zwinęła się w kłębek.

- Dobranoc, dziecinko - powiedział. - Kolorowych snów.

- Pocałuj mnie - poprosiła.

Nachylił się i pocałował ją w czoło.

- Dzięki, że się nami opiekujesz - szepnęła.

Wyprostował się i ruszył w stronę drzwi. Zerknął na Carmen.

- Czy prosiłaś ją, by to powiedziała? Czy sama na to wpadła?

- Do zobaczenia jutro - pożegnała go Carmen.

Została w sypialni Ellie, on zaś zszedł po schodach i wyszedł w mrok. W ciemności po prawej stronie mignęło coś białego. Koszulka. Znów Bobby Greer.

- Czekałem na ciebie - powiedział.

- Po co?

- Chciałem się tylko upewnić, że stąd wyjdiesz.

Reacher wzruszył ramionami.

- Dałem małej buzi na dobranoc. Czy masz coś przeciwko temu?

Bobby milczał przez chwilę.

- Odprowadzę cię do baraku - powiedział. - Musimy pogadać.

Ruszył przez podwórze. Reacher dotrzymywał mu kroku.

- Chyba wiesz, że mój brat ma kłopoty - odezwał się Bobby.

- Słyszałem, że zataił dochody.

Bobby kiwnął głową w mroku.

- Urząd skarbowy ma wszędzie swoje wtyczki.

- Tak go wytropili? Przez swoją wtyczkę?

- A niby jak inaczej? - rzucił Bobby. Wysunął się naprzód o kilka kroków. - W każdym razie Słup trafił do ciupy.

Reacher kiwnął głową.

- Słyszałem, że wychodzi w poniedziałek.

- Zgadza się. Nie będzie zachwycony, kiedy spotka tu ciebie całującego jego dziecko i kręcącego się przy jego żonie.

Reacher, nie zatrzymując się, wzruszył ramionami.

- Nie wolno mi dobierać sobie przyjaciół?

- Słup będzie zły, kiedy zastanie u siebie w domu obcego faceta, który dobiera sobie na przyjaciół jego żonę i córkę.

Reacher przystanął.

- Niby dlaczego, Bobby, miałbym się przejmować tym, co się podoba twojemu bratu?

Bobby też się zatrzymał.

- Bo jesteśmy tu jedną rodziną. Mówimy sobie różne rzeczy. Musisz to przyjąć do wiadomości, w przeciwnym razie nie zagrzejesz tu długo miejsca.

- Tak ci się wydaje?

- Tak mi się wydaje.

Reacher uśmiechnął się.

- Ja tylko pożegnałem dziewczynkę na dobranoc, Bobby Nie ma co robić z igły widły. Jest spragniona towarzystwa. Podobnie jak jej matka. Co na to poradzę?

- Bądź rozsądny - poradził Bobby - Ona kłamie jak z nut. Cokolwiek ci naopowiadała, to najpewniej stek kłamstw. Nie wierz jej. Nie jesteś pierwszy.

- Co to znaczy, że nie jestem pierwszy?

- Pogadaj o tym z Joshem i Billym. Przegnali już jednego gościa na cztery wiatry.

Reacher nie odpowiedział. Bobby uśmiechnął się do niego.

- Nie wierz jej - powtórzył. - Wiele kryje przed tobą, a wszystko, co mówi, to prawie same kłamstwa.

- Dlaczego nie ma kluczy do domu?

- Kiedyś miała, ale je zgubiła i tyle. Zresztą my nigdy nie zamykaliśmy drzwi. Niby po co. Nasz dom stoi sto kilometrów od najbliższego skrzyżowania.

- To czemu musi pukać?

- Wcale nie musi. Może wejść bez pukania. Robi wielkie halo z tego, jacy jesteśmy dla niej niedobrzy, a to nieprawda. Niby czemu mielibyśmy ją źle traktować? Przecież Slup ożenił się z nią, no nie?

Reacher milczał.

- Jeśli chcesz, możesz u nas pracować - zakończył Bobby. - Ale trzymaj się z dala od niej i dziewczynki.

Odwrócił się i poszedł do domu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

OBSERWATORZY zbierali się kolejno, według wypracowanego przez poprzednie pięć razy schematu. Jeden z mężczyzn podjechał pick-upem do domu chłopaka. Potem pojechali do domu drugiego mężczyzny, gdzie dowiedzieli się, że ustalony porządek uległ zmianie.

- Właśnie otrzymałem telefon - wyjaśnił im. - Mamy się osobiście wybrać do Coyanosa Draw po nowe instrukcje.
- Kto tam będzie? - spytał pierwszy mężczyzna.
- Chyba nie on?
- Nie. Jacyś nowi ludzie, z którymi mamy pracować.
Pierwszy mężczyzna wzruszył ramionami.
- Nie mam nic przeciwko.
- Do tego nam zapłacą - dodał drugi.
- Tym lepiej - powiedział pierwszy.
Drugi mężczyzna wcisnął się do pick-upa, zatrzęsął drzwiami i ruszyli na północ.

BYŁO już skwarnie, kiedy Reacher obudził się nazajutrz rano. Uniósł rękę i spojrzął na zegarek. Dziesięć po szóstej. Wziął prysznic, potem ubrał się, zszedł po schodach i wyszedł na zewnątrz.

Udał się do stajni, rozejrzał po pomieszczeniu, zastanawiając się, jakiej pracy mogą od niego oczekiwać. Konie trzeba nakarmić, gdzieś, więc musi być schowana pasza. Znalazł oddzielne pomieszczenie, gdzie piętrzyły się stosy worków. Wielkie pergaminowe torby z nadrukiem specjalizującego się w końskiej paszy dostawcy z San Angelo.

Kiedy skończył rozpoznanie, wyszedł ze stajni. Bobby Greer akurat schodził z ganku. Niósł strzelbę.

- Właśnie po ciebie szedłem - powiedział. - Potrzebuję kierowcy.

- Po co? - spytał Reacher. - Gdzie się wybierasz?

- Na polowanie. Pick-upem. Ty będziesz kierował, a ja sobie trochę postrzelam.

- Będziesz strzelał z samochodu?

- Zaraz ci pokażę.

Podszedł do garażu i przystanął przy pick-upie. Miał pałąk zabezpieczający umocowany do platformy.

- Opieram się tu na tym pałąku - powiedział. - Moje pole rażenia ma trzysta sześćdziesiąt stopni.

- Strzelasz w czasie jazdy?

- Na tym właśnie polega cała frajda. To pomysł Slupa. Niezły jest w te klocki.

- Na co polujecie?

- Na pancerniki. Jadłeś już mięso pancernika?

Reacher potrząsnął głową.

- Niezłe żarcie - powiedział Bobby. - Kiedy mój dziadek był jeszcze chłopcem, w czasach kryzysu, nie było tu właściwie nic innego do jedzenia. Teraz ci porąbani ekolodzy objęli ten gatunek ochroną. Ale to moja ziemia, więc strzelam, do czego chcę. Taką mam zasadę.

- To niezgodne z prawem - zauważył Reacher. - Poza tym nie lubię polowań.

- Pracujesz tu, Reacher, więc będziesz robił, co ci każemy.

- Musimy ustalić pewne rzeczy, nim zacznę pracę.

- Niby co?

- Wynagrodzenie.

- Dwie stowy tygodniowo - powiedział Bobby. - Może być?

Już dawno nie pracował za dwieście dolców tygodniowo. Ale przecież nie chodziło mu o zarobek.

- W porządku - zgodził się.

- Będziesz wykonywał wszystkie polecenia Josha i Billy'ego.

- Dobra - powtórzył Reacher. - Ale nie zabiorę cię na polowanie. Teraz ani nigdy. Nie pozwala mi na to sumienie.

Bobby nie odzywał się przez dłuższą chwilę.

- Już ja znajdę sposoby, żeby cię trzymać z dala od niej. Codziennie wymyślę ci inne zajęcia.

- Będę w stajni - rzucił Reacher i odszedł.

Ellie przyniosła mu tam talerz jajeczniczy na śniadanie.

- Mama przypomina o lekcji jazdy konnej. Chce, żebyś na nią czekał w stajni po lunchu.

Potem pobiegła do domu, nie mówiąc już nic więcej.

COYANOSA Draw był to strumień niosący wodę spływającą z Gór Davisa do rzeki Pecos, która z kolei wpadała do Rio Grande płynącej wzdłuż granicy z Meksykiem. Niewiele osób mieszkało w tych stronach. Porozrzucane farmy stały w dużej odległości od siebie, z dala

od wszystkiego. Na Jednej z farm był stary, szary dom, a obok niego pusta stodoła.

W stodole stała crown victoria z włączonym silnikiem, żeby działała klimatyzacja. Zewnętrzne schody stodoły prowadziły na strych, na ich szczycie znajdowały się drzwi, a przed nimi niewielki podest. Kobieta zajęła miejsce na podeście, skąd doskonale widziała wijącą się ku niej drogę. Dostrzegła pick-upa obserwatorów, gdy zbliżyli się na odległość trzech kilometrów. Upewniwszy się, że są sami, zeszła na dół i dała znać pozostałym.

Wysiedli z samochodu i czekali w upale. Kiedy pick-up wyłonił się zza rogu stodoły i zwolnił na podwórku, skierowali kierowcę do budynku. Jeden z nich uniósł kciuki, żeby zatrzymać wóz. Podszedł do okna kierowcy pick-upa, jego partner zaś znalazł się z drugiej strony wozu.

Kierowca pick-upa zgasił silnik i wyluzował się. Ludzka natura. Koniec szybkiej jazdy na tajemnicze rendez-vous, ciekawość nowych poleceń, perspektywa dużej gotówki. Opuścił szybę. Pasażer z drugiej strony zrobił to samo. Za moment obaj zginęli, trafieni w bok głowy nabojami kaliber 9 mm. Chłopak siedzący między nimi żył raptem sekundę dłużej, oba policzki miał spryskane krwią, notatnik kurczowo zaciśnięty w dłoniach.

CARMEN sama przyniosła Reacherowi na lunch potrawę z pancernika. Wyraźnie spięta, wyszła szybko bez słowa. Skosztował. Mięso było słodkawe, ale nic szczególnego. Zostało pokrojone i posiekane, zmieszane z ziołami oraz fasolą i doprawione ostrym sosem chili. Jadał gorsze rzeczy, a ponieważ doskwierał mu głód, nie był wybredny. Kiedy odnosił talerz do kuchni, napotkał Bobby'ego na schodach ganku.

- Koniom potrzeba więcej paszy - zawołał. - Pojedziesz po nią razem z Joshem i Billym dziś po południu. Po sjeście.

Reacher kiwnął głową i skierował się do kuchni. Podał brudny talerz służącej i podziękował za posiłek. Potem udał się do stodoły, gdzie przysiadł na beli słomy.

Carmen zjawiała się po dziesięciu minutach, ubrana w dżinsy i bawełniany bezrękawnik, w ręku trzymała torebkę. Wydała mu się drobna i wylękniona.

- Bobby nie wie, że to ty dzwoniłaś do urzędu skarbowego - powiedział. - Podejrzuwa, że brat wpadł przypadkowo przez jakąś wtyczkę. Może Slup myśli tak samo.

Potrząsnęła głową.

- Slup wie, jak było.

- Powinnaś brać nogi za pas. Masz czterdzieści osiem godzin.

- Nie mogę.

- Powinnaś - nalegał. - To okropne miejsce.

Uśmiechnęła się gorzko.

- Mnie to mówisz?

Zawiesiła torebkę na gwoździu, przygotowała dwa konie cztery razy szybciej niż jemu zajęto osiodłanie klaczy i wyprowadziła jego konia z boksu. Był to jeden z wałachów. Przejął od niej wodze.

- Wyprowadź go na zewnątrz - poleciła.

- Nie powinniśmy przypadkiem włożyć skórzanych spodni i specjalnych rękawiczek?

- Czyś ty z byka spadł? Nie nosimy tu takiego rynsztunku ze względu na upał.

Sama zamierzała wziąć mniejszą klacz. Zdjęła torebkę z gwoździa, włożyła ją do torby przy siodle i w ślad za nim wyprowadziła swoją klacz.

- No dobrze, spróbuj tak.

Stała przy lewym boku klaczy i włożyła lewą nogę w strzemię. Chwyciła za łęk lewą ręką i wskoczyła na siodło. Zrobił to samo, co ona, i nagle znalazł się w siodle.

- Teraz zaczep wodze o łęk lewą dłonią i uderz lekko piętami. Uderzył raz i koń ruszył z miejsca.

- Dobrze - pochwaliła. - Będę szła przodem, a ty za mną. On jest dość posłuszny.

Carmen mlasnęła językiem i uderzyła piętami, jej koń sunął płynnie, wyprzedził wałacha i minął dom.

Ruszył w ślad za nią przez bramę, na drugą stronę drogi. Był tam próg o wysokości trzydziestu centymetrów prowadzący na wapienną płytę skalną. Dalej teren podnosił się o około piętnaście metrów. Na wschód i zachód biegły głębokie szczeliny, widać też było wypłukane dziury wielkości leja po pocisku. Konie starały się omijać przeszkody.

- Daleko jedziemy? - zawołał.

- Za to wzniesienie do wąwozu.

Powierzchnia wapienia stawała się coraz gładsza i tworzyła wciąż szersze półki. Przyhamowała swoją klacz, by mógł się z nią zrównać. Jego wierzchowiec jednak snuł się noga za nogą, nadal, więc był za jej plecami. Nie widział jej twarzy.

- Bobby powiedział mi, że sprowadziłaś do domu jakiegoś faceta, a on kazał Joshowi i Billy'emu zrobić z nim porządek.

Nie odzywała się.

- Poznałam w Pecos pewnego gościa - powiedziała w końcu. - Jakiś rok temu. Mieliśmy romans.

- Więc go tu przywiozłaś?

- To był jego pomysł. Wydawało mu się, że zdobędzie pracę i będzie blisko mnie. Wszystko szło po naszej myśli przez dwa tygodnie, a potem Bobby nas przyłapał.

- I co się stało?

- Skończyło się. Facet wyjechał. Widziałam go jeszcze raz w Pecos. Był wystraszony. Nie chciał ze mną rozmawiać.

- Czy Bobby powiedział Słupowi?

- Obiecywał, że nie piśnie słowa, ale to łgarz. Podejrzewam, że wszystko mu wypaplał.

Wspięli się na szczyt wzniesienia. Stok przed nimi znów łagodnie opadał. Odjechali jakieś półtora kilometra od Czerwonego Domu i zabudowań gospodarczych.

Skierowała klacz w dół ku wyschniętemu wąwozowi o płaskim dnie, które tworzyły skały i piasek. Nim jego koń dotarł do wąwozu, ona już wyskakiwała z siodła. Wałach zatrzymał się obok klaczy i Reacher zeskoczył na ziemię.

Zaprowadziła konie na skraj wąwozu, gdzie przycisnęła końce lejców wielkim kamieniem. Otworzyła torbę przy siodle, wyjęła z niej torebkę, w której, jak się okazało, schowała pistolet.

- Pokaż mi, jak się z tym obchodzić - poprosiła.

Był to automatyczny pistolet Lorcin L-22 z sześciocentymetrową lufą, chromowanym szkieletem oraz wymodelowaną, plastikową rękojeścią, która imitowała różową macię perłową.

- Masz pozwolenie? - spytał.

Kiwnęła głową.

- Wypełniłam odpowiednie dokumenty.

Wyjęła niewielkie pudełko z torebki i podała mu je. Zawierało naboje kaliber 5,6 mm. Około pięćdziesięciu sztuk.

- Pokaż mi, jak się ładuje - powiedziała.

Potrząsnął głową.

- Powinnaś go tu zostawić, Carmen. Nie wolno ci trzymać broni w pobliżu Ellie.

- To moja decyzja - odparła. - Od ciebie oczekuję, żebyś mnie nauczył obsługiwać się bronią. Będę się czuła bezpieczniej.

Wzruszył ramionami.

- Jak chcesz. Ale pistolety są niebezpieczne, więc bądź ostrożna. Położył lorcina płasko na dłoni.

- Dwie uwagi - powiedział, - Lufa jest bardzo krótka, tylko sześć centymetrów. Broń jest wskutek tego mało celna. Oznacza to, że strzelając, musisz być blisko celu. Jeśli strzelisz z tego pistoletu z przeciwnej strony pokoju, trafisz jak kulą w płot.

- W porządku.

- A teraz spójrz.

Wyjął magazynek i włożył do niego dziewięć nabołów. Wsadził magazynek i umieścił pierwszy nabój w komorze. Wyjął ponownie magazynek i włożył z dołu jeszcze jeden nabój. Umieścił magazynek na miejscu, przeładował i zabezpieczył broń.

- Broń przeładowana i zabezpieczona - wyjaśnił. - Musisz zrobić dwie rzeczy. Odbezpieczyć broń i nacisnąć spust dziesięć razy.

Przekazał jej pistolet.

- Spróbuj - polecił. - Odbezpiecz i strzelaj.

Odbezpieczyła broń lewą ręką. Potem wycelowała prawą, zamknęła oczy i nacisnęła spust. Pistolet skoczył jej w dłoni i skierował się w dół.

Trzy metry od jej stóp odprysnął kawałek skały i uniósł się kłęb pyłu.

- Zabezpiecz go.

Przesunęła odpowiednią dźwignię. Zdjął koszulę przez głowę, odszedł pięć metrów na południe, powiesił ją na skale i rozprostował, by przypominała tułów człowieka. Wrócił i stanął za kobietą.

- A teraz strzelaj w moją koszulę - rozkazał. - Celuj w tułów.

Uniosła pistolet, ale natychmiast go opuściła.

- Nie mogę tego zrobić. Nie chcesz chyba, żebym ci podziurawiła koszulę.

- Rzyko jest naprawdę niewielkie - powiedział. - Spróbuj.

Odbezpieczyła broń. Wycelowała, zamknęła oczy i strzeliła. Chybiła o całe sześć metrów.

- Nie zamykaj oczu - zwrócił jej uwagę Reacher. - Pomyśl sobie na przykład, że jesteś wściekła na koszulę, wyceluj w nią palec, jakbyś na nią wrzeszczała.

Tym razem nie zamykała oczu. Wycelowała, unosząc prawą rękę, strzeliła i tym razem chybiła o dwa metry na lewo.

- Daj mi spróbować.

Podawała mu pistolet. Przymknął jedno okno i wycelował.

- Chcę trafić tam, gdzie była kieszeń.

Wystrzelił dwukrotnie raz za razem. Pierwszy strzał trafił pod pachą po przeciwnej stronie oderwanej kieszeni, drugi zaś w środek, za to u dołu koszuli. Oddał jej pistolet.

- Teraz twoja kolej.

Strzeliła jeszcze trzy razy, za każdym razem haniebnie chybiając.

- Czego się dziś nauczyłaś? - spytał.

- Że muszę podejść blisko celu.

- O to chodzi - przytaknął.

- To wcale nie twoja wina, sam chybiłem o trzydzieści centymetrów, choć jestem dobrym strzelcem. W wojsku wygrywałem zawody strzeleckie.

Wziął pistolet i załadował ponownie. Odwiódł kurek, zabezpieczył broń i położył ją na ziemi.

- Zostaw go tu - powiedział. - Chyba że nie masz naprawdę żadnych wątpliwości.

Nie poruszyła się przez dłuższą chwilę. Potem podniosła pistolet i włożyła go do torebki. Zabrał swoją koszulę i wciągnął ją przez głowę. Nie było widać żadnego śladu po kuli. Jedna dziura schowana była pod rękawem, a druga skryła się głęboko w spodniach. Przemierzył wąwóz, by odszukać wszystkie osiem łusek. To jego dawny nawyk, przejaw ostrożności. Podrzucił je w dłoni i wsypał do kieszeni spodni.

WRÓCILI późnym popołudniem. Josh i Billy czekali oparci o ścianę stajni. Pick-up stał na podwórku, gotowy do drogi po paszę.

- Odprowadzę konie - zaproponowała Carmen.

Zsiedli z wierzchowców przed wrotami stajni. Josh i Billy odskoczyli od ściany, ich ruchy zdradzały zniecierpliwienie.

- Gotowy? - zawołał Billy.

- Miał być gotów pół godziny temu - przygadał Josh.

Na te słowa Reacherowi zupełnie przestało się spieszyć. Powolutku poszedł do baraku, skorzystał z łazienki, zmył z twarzy pył. Potem wrócił wolnym krokiem. Pick-up stał już zwrócony ku bramie, silnik był na chodzie. Josh siedział za kierownicą, Billy zaś stał przy drzwiach od strony pasażera.

- No, to w drogę - zawołał Billy.

Wskazał Reacherowi miejsce w środku i sam wcisnął się obok niego. Josh ruszył ku bramie, a kiedy skręcił w lewo, Reacher uświadomił sobie, że jego położenie jest znacznie gorsze, niż myślał.

Widział worki z paszą w magazynie. Było ich całe mnóstwo, pewnie ze czterdzieści. Ile czasu potrzeba czterem koniom i kucykowi na przejedzenie takiej ilości?

Domyślał się jednak, że podróż to pomysł Bobby'ego, żeby go stąd odciągnąć na jakiś czas. Wyprawa po paszę jest tak samo dobrym sposobem jak każdy inny, żeby odseparować go od Carmen. Ale oni wcale nie wybierali się po paszę, ponieważ skręcili w lewo. Na wszystkich workach widniał adres hurtownika w San Angelo. A miasteczko to leżało na północy. Powinni więc byli skręcić w prawo.

Wyglądało na to, że Bobby chce go na dobre usunąć z życia Carmen. Kazał Joshowi i Billy'emu przepędzić go na cztery wiatry. Reacher uśmiechnął się. Nie wiedzieli, że przeczytał adres na workach z paszą. Nie pomyśleli o tym, że skręt w lewo zamiast w prawo wzmoże jego czujność.

- Daleko to? - spytał niewinnie.

- Mniej niż dwie godziny - odparł Josh. - Ze sto pięćdziesiąt kilometrów, nie więcej.

Może zmierzali do baru, o którym mówili wczoraj. Może mieli tam koleżków.

- Czy jedziemy prosto do hurtownika? - spytał Reacher.

Było to pytanie taktyczne. Nie mogli odpowiedzieć „nie”, nie wzbudzając jego podejrzeń. Nie mogli powiedzieć „tak”, jeśli nie jechali tam w pierwszej kolejności.

- Najpierw wskoczmy na parę piw - powiedział Billy.

Im dalej posuwali się na południe, tym droga stawała się gorsza. Słońce wisiało nisko nad horyzontem na zachodzie. Znak na poboczu informował: ECHO 8 KILOMETRÓW.

- A ja myślałem, że Echo jest na północy - zauważył Reacher. - Tam, gdzie Ellie chodzi do szkoły.

- Jest podzielone - wyjaśnił. - Pół na północy, a drugie pół na południu. Dzieli je dwieście pięćdziesiąt kilometrów.

- Największe miasto świata od jednego krańca do drugiego - zaszydził nagle Josh.

W oddali pojawiła się grupa niewielkich budynków. Stacja benzynowa, sklepik oraz bar o nazwie „Longhorn Lounge”, przed którym stało dziesięć czy dwanaście pick-upów skierowanych maskami w stronę budynku. Najbliżej wejścia stał radiowóz szeryfa.

Josh wjechał na parking i zatrzymał samochód obok innych. Równocześnie z Billym otworzyli drzwi i wyskoczyli na zewnątrz. Reacher wygramolił się od strony pasażera.

- No dobra - powiedział Billy, otwierając szeroko drzwi baru. - My stawiamy.

Glina czuje się w barze jak bokser na ringu. To jego rejon działania. Pewnie około dziewięćdziesięciu procent wojskowych rozrób odbywa się właśnie w barach. Pierwsza rzecz, policjant liczy wejścia. Zwykle są trzy: główne wejście, drzwi od tyłu obok łazienek oraz prywatne wyjście z biura za barem. Reacher zauważył, że w „Longhorn Lounge” były wszystkie trzy.

Potem rozejrzał się po zgromadzonych tu ludziach, szukając zarzewia kłopotów. Kto zamilknie, kto wybałuszy oczy? Gdzie kryją się niebezpieczeństwa? W „Longhorn” nic takiego nie zauważył. W pomieszczeniu znajdowało się jakieś dwadzieścia pięć osób, wyłącznie mężczyźni, żaden nie zwracał na nich szczególnej uwagi, spoglądali tylko przelotnie i kiwali głowami, co wskazywało na zażyłość z Billym i Joshem. Nigdzie nie było widać szeryfa. Przy barze stał jednak wolny stołek, a przed nim nietknięta butelka. Może to honorowe miejsce.

Policjant rozgląda się zawsze za potencjalną bronią. Wszędzie stało mnóstwo butelek z długimi szyjkami, ale Reacher nie obawiał się ich. Butelki kiepsko się sprawdzają jako broń. Najwyżej w filmach, gdzie robią je z waty cukrowej i etykietkami z bibułki. Bardziej niepokoił go stół bilardowy. Stał pośrodku pomieszczenia, przy nim czterech graczy z kijami i jeszcze ponad dziesięć kijów w stojaku obok. Jeśli się nie ma pistoletu, kij do bilardu to najlepszy typ barowej broni.

Za stołem bilardowym rozstawione były stoliki okolone stołkami. Billy uniósł w kierunku barmana trzy palce i otrzymał trzy zimne piwa. Niósł je w głąb sali. Reacher wyprzedził go, by być pierwszy przy stoliku. Wołał sam wybrać sobie miejsce. Najlepiej plecami do ściany z trzema wyjściami na oku. Przepchnął się i usiadł. Josh usadowił się z prawej, Billy zaś z lewej po przeciwnej stronie stolika. Szeryf nadszedł od strony toalet. Przystanął na widok Reachera, a następnie usiadł przy barze na wolnym stołku. Billy uniósł butelkę jak do toastu.

- Pomyślności - rzekł.

Przyda ci się, koleś, pomyślał złośliwie Reacher. Pociągnął porządny tyk z butelki.

- Muszę zadzwonić - oznajmił Billy.

Wyszedł na korytarz. Reacher pociągnął kolejny łyk piwa. Billy w drodze powrotnej zagadnął szeryfa. Szeryf kiwnął głową, dopił piwo i wstał. Spojrzał w stronę Reachera, a następnie wyszedł z baru. Billy popatrzył za odchodzącym szeryfem i wrócił do stolika.

- Zadzwoniłeś? - spytał Josh, jakby ćwiczili ten dialog wcześniej.

- Tak, zadzwoniłem - odparł Billy, spoglądając na Reachera. - Zadzwoniłem po pogotowie. Lepiej wezwać je zawczasu, bo musi przyjechać aż z Presidio. Dojazd może zająć wiele godzin.

- Musimy ci się do czegoś przyznać - powiedział Josh. - Był pewien facet, którego przepędziliśmy na dobre. Smalił cholewki do naszej Meksykanki. Bobby uznał to za niestosowne i polecił nam, żebyśmy zajęli się gościem. Przywieźliśmy go do tego baru.

- A niby co wspólnego ze mną ma tamten facet? - spytał Reacher.

- Bobby podejrzewa, że jesteś takim samym typkiem jak tamten.

- Chyba wam już mówiłem, że łączy nas tylko przyjaźń.

- Bobby uważa, że jednak coś więcej.

- A wy mu wierzycie?

- Jasne. Reacher nie odezwał się.

- Tamten był nauczycielem - wyjaśnił Billy. - Przywieźliśmy go tutaj, wyprowadziliśmy na dwór, skombinowaliśmy nóż rzeźnicki, ściągnęliśmy mu gacie i groziliśmy, że obetniemy mu małego. Skamlał i zarzekał się, że zniknie nam z oczu. Ale i tak obcieliśmy kawałek. I wiesz co? Wtedy widzieliśmy go ostatni raz.

- Metoda okazała się więc skuteczna - dodał Josh. - Kłopot w tym, że mało się nie wykrwawił na śmierć. Więc tym razem z góry wezwaliśmy pogotowie.

- Jeśli tylko podniesiecie na mnie rękę, to wam przyda się pogotowie - ostrzegł Reacher.

- Tak sądzisz?

Reacher spojrzał najpierw na jednego, a potem na drugiego, bez strachu, spokojnie. Był pewny siebie. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio dwóch pokonało go w barowej burdzie.

- Wasz wybór - powiedział. - Opuśćcie sobie albo traficie jak nic do szpitala.

- Wiesz co? - rzucił Josh z uśmiechem. - Będziemy się trzymać naszego planu. Mamy tu wielu kumpli, a ty nie.

- Nie interesują mnie wasze znajomości - odparł Reacher.

Najwyraźniej jednak nie kłamali. Atmosfera w barze gęstniała, ludzie robili się niespokojni i bacznie ich obserwowali. Gra w bilard traciła tempo. Reacher czuł wiszące w powietrzu napięcie.

- Nie jesteśmy cykorami - rzekł odważnie Billy - Powiedzmy, że umiemy to i owo.

Reacher wstał od stolika i szybko minął Josha, nim tamten zdążył zareagować.

- No, to do dzieła - powiedział. - Od razu załatwmy nasze sprawy, na podwórku.

Ruszył z prawej strony stołu bilardowego do wyjścia przy toaletach.

Słyszał, że Josh i Billy idą w ślad za nim. Raptem błyskawicznym ruchem chwycił ostatni kij bilardowy stojący w stojaku i obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, waląc Billy'ego z całej siły w bok głowy. Rozległ się trzask i Billy padł na ziemię. Zamachnął się na

Josh. Ten chciał się osłonić dłonią i jego przedramię pękło jak zapalka. Zawył, a Reacher przywalił mu na dokładkę w głowę.

Mężczyźni w barze odsunęli się w czasie bijatyki, teraz zaś zaczęli się zbliżać, powoli i strachliwie. Reacher schylił się i wyjął Joshowi z kieszeni kluczyki od pick-upa. Rzucił kij na ziemię, po czym przepchnął się przez tłum do wyjścia. Nikt nie starał się go zatrzymać. Najwyraźniej przyjaźń w hrabstwie Echo ma swoje granice. Wskoczył do wozu, zapalił silnik i ruszył na północ.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

PANOWAŁ już zmrok, kiedy skręcił w bramę prowadzącą na rancho. Wszystkie światła w Czerwonym Domu były pozapalane, na podwórku stały dwa samochody. Jeden należał do szeryfa. Drugim był żółtozielony lincoln.

Drzwi frontowe domu stały otworem. Reacher podszedł do nich, zajrzał do środka i ujrzał szeryfa, Rusty Greer, Bobby'ego oraz Carmen, wszystkich jakichś odretwiąłych. Po przeciwnej stronie pokoju stał mężczyzna w lnianym garniturze. To bez wątplenia kierowca lincolna. Miał lekką nadwagę, około trzydziestu lat, jasne włosy przerzedzały mu się nad czołem. Błada twarz człowieka, który rzadko wychodzi na świeże powietrze, a na niej szeroki uśmiech reklamowy.

Reacher nie chciał wchodzić, ale Bobby wyjrzał na dwór i udowodnił, że kiepsko u niego z refleksem. Wybiegł przez drzwi, wołając:

- A co ty tutaj robisz?
- Pracuję - odparł Reacher. - Już zapomniałeś?
- Gdzie Josh i Billy?
- Odeszli, rzucili robotę u ciebie.
- Niby czemu?

Reacher wzruszył ramionami.

- A skąd mam wiedzieć?

Obecni w środku, słysząc głosy na ganku, podeszli do drzwi. Rusty Greer pojawiła się pierwsza, za nią szeryf i gość w lnianym garniturze. Carmen została w środku. Wszyscy milczeli, spoglądając na

Reachera - szeryf był zdezorientowany, gość w garniturze zaś zastanawiał się, kim jest nieznajomy.

- Nazywam się Hack Walker - przedstawił się mężczyzna w garniturze tonem, który budził zaufanie i wyciągnął jednocześnie dłoń. - Jestem prokuratorem okręgowym w Pecos, a jednocześnie przyjacielem rodziny.

- To najstarszy przyjaciel Słupa - powiedziała melancholijnie Rusty Greer.

Reacher potrząsnął jego dłonią.

- Jack Reacher - przedstawił się. - Pracuję tu.

- Czy zarejestrował się pan już do wyborów? - spytał Walker. - Jeśli tak, to chcę zwrócić uwagę, że w listopadzie ubiegam się o stanowisko sędziego i liczę na pańskie poparcie.

- Hack przywiózł nam radosną nowinę - oznajmiła Rusty.

Wszyscy rozpromienili się. Reacher spojrzał na Carmen stojącą za ich plecami w holu. Wcale nie była rozpromieniona.

- Słup wychodzi wcześniej - domyślił się.

Hack Walker kiwnął głową.

- Twierdzili, że nie mogą załatwić roboty papierkowej w czasie weekendu, ale przycisnąłem ich trochę i zmienili zdanie.

- Hack zawiezie nas tam jeszcze dziś wieczorem - powiedziała z nadzieją Rusty.

- Podróż zajmie całą noc, a punktualnie o siódmej rano stawimy się przed bramą więzienia - dodał Hack.

- Wszyscy jedziecie? - spytał Reacher.

- Ja nie jadę - oświadczyła Carmen, która właśnie wyszła na ganek. - Ktoś musi opiekować się Ellie.

- W takim razie ja też zostaję - postanowił Bobby. - Muszę mieć na wszystko oko. Słup zrozumie.

Carmen nagle odwróciła się i weszła do domu. Rusty i Hack ruszyli w ślad za nią.

Szeryf z Bobbym zostali na ganku.

- Czemu Josh i Billy rzucili pracę? - spytał Bobby.

- Właściwie to nie rzucili pracy - odparł Reacher. - Szczerze mówiąc, siedzieliśmy w barze, kiedy wdali się w bójkę z jakimś facetem, który dał im radę. Widział nas pan w barze, szeryfie?

Szeryf powściągliwie kiwnął głową.

Bobhv wytrzeszczył oczy,

- To byłeś ty?

- Ja? - zdumiał się Reacher. - Niby po co mieliby się ze mną bić? Nie mieli przecież żadnego powodu.

Bobby wszedł do domu. Szeryf nie ruszał się z miejsca.

- Musieli porządnie dostać w skórę - powiedział.

Reacher kiwnął głową.

- Na to wyglądało. Ale tak się zwykle kończy, kiedy zadziera się z nieodpowiednimi ludźmi.

Szeryf kiwnął głową, znów z rezerwą.

- Może powinien pan to sobie wziąć do serca - rzekł Reacher. - Bobby mówił mi, że miejscowi załatwiają spory między sobą. Podobno gliny nie mieszają się w ich osobiste zatargi. Tłumaczył, że to stara teksańska tradycja.

- Można tak powiedzieć - odezwał się szeryf po chwili. - Ja w każdym razie jestem wierny tradycji.

Reacher kiwnął głową.

- Miło to słyszeć.

Szeryf wszedł do swojego samochodu i uruchomił silnik. Wyjechał z rancza, a kiedy znalazł się w pewnej odległości, wduśił pedał gazu.

Reacher zszedł z ganku i udał się do stajni, gdzie przysiadł na beli siana. Po chwili usłyszał kroki na schodkach przy ganku, potem otworzyły się i zamknęły drzwi lincolna. Podeszedł do wrót stajni i zauważył sylwetkę Hacka Walkera przy kierownicy. Rusty Greer siedziała obok niego. Wielki samochód ruszał w drogę. Reacher czekał w stajni, próbując zgadnąć, kto odwiedzi go pierwszy. Pewnie Carmen. Jednak to Bobby wyszedł na ganek jakieś pięć minut po odjeździe matki. Kiedy szedł ku barakowi, Reacher wynurzył się ze stajni i zaszedł mu drogę.

- Masz wysprzątać stajnię - wydał polecenie Bobby.

- Sam będziesz sprzątał - rzekł Reacher.

-Co?

- Nasz układ trochę się zmienił, Bobby - powiedział Reacher. - Odkąd napuściłeś na mnie Josha i Billy'ego, twoja sytuacja uległa zmianie. Teraz ja będę wydawał ci polecenia. Jeśli ci każe skakać,

nawet się nie ważył pytać, jak wysoko. Jasne? Teraz ja jestem twoim panem.

Bobby stał jak słup soli. Reacher zamachnął się prawą ręką, by powoli wymierzyć cios sierpowy w głowę. Bobby zrobił unik i natychmiast wpadł na lewą rękę, która zdarta mu baseballówkę z głowy.

- Zajmij się końmi - polecił Reacher. - Możesz się przespać w stajni. Jeśli pokażesz mi się na oczy przed świtem, połamię ci nogi.

Bobby nie poruszył się.

- Kogo zamierzasz zawołać na pomoc, braciszku? - spytał Reacher. - Służącą, a może szeryfa?

Bobby nie odezwał się słowem. Otaczała ich bezkresna noc. Hrabstwo Echo, sto pięćdziesiąt dusz, większość z nich w odległości stu pięćdziesięciu kilometrów za czarnym horyzontem. To się nazywa absolutne zadupie.

- W porządku - powiedział cicho Bobby.

Ruszył wolnym krokiem do stajni. Reacher rzucił na ziemię baseballówkę i skierował się w stronę domu.

DWIE trzecie zespołu zabójców wpatrywało się w niego. Szło im lepiej niż poprzednio obserwatorom. Kobieta po zapoznaniu się z mapą zrezygnowała z podjazdu od zachodu. Po pierwsze, crown victoria nie była przystosowana do jazdy po tak piaszczystej nawierzchni. Po drugie, nie miało najmniejszego sensu chowanie się w odległości półtora kilometra. Zwłaszcza nocą. Znacznie lepiej będzie podjechać drogą, powiedziała, zatrzymać się w odległości stu metrów od domu; to wystarczy, by dwóch członków zespołu wyskoczyło z wozu, potem samochód nawróci na północ, dwójka zaś schowa się za najbliższymi skałami, przedostanie do czerwonej bramy i ukryje w niewielkim zagłębieniu dziesięć metrów od drogi.

Dwaj mężczyźni szli na piechotę, wyposażeni w elektronicznie udoskonalone noktowizory. Widać było przez nie, jak ziemia wydziela nocą żar, przez co sylwetka idącego do domu Reachera raz po raz falowała i migotała.

ZASTAŁ Carmen w salonie. Panował tu mrok, a powietrze było ciężkie i gorące. Siedziała samotnie przy stole. Patrzyła pustym wzrokiem w jakiś nieistniejący punkt na ścianie.

- Czuję się oszukana - powiedziała. - Najpierw miał być rok, potem nie zostało nic. Później czterdzieści osiem godzin, a w końcu tylko dwadzieścia cztery.

- Nie jest jeszcze za późno na ucieczkę - podsunął.

- Teraz mam szesnaście godzin, więc może by się udało.

- Szesnaście godzin w zupełności wystarczy - zapewnił.

- Ale Ellie smacznie śpi - zaoponowała. - Nie mogę jej obudzić, wsadzić do samochodu i zbiec, a potem uciekać przed glinami do końca życia.

Reacher nie odezwał się.

- Postaram się stawić czoło nowej sytuacji - rzekła. - Zacznę od nowa. Jeśli mnie tknie choćby raz, zagrozę mu rozwodem.

- No cóż, twój wybór.

Odsunęła krzesło i wstała.

- Chodź, zobaczysz Ellie - zaproponowała. - We śnie wygląda do prawdy prześlicznie.

Zaprowadziła go schodami na tyłach domu do pokoju Ellie. W świetle nocnej lampki widać było dziewczynkę śpiącą na plecach, z rączkami rozrzuconymi wokół głowy. Włosy leżały rozsypane na poduszcze. Długie, ciemne rzęsy spoczywały na policzkach jak wachlarze.

- Nie chcę, żeby żyła jak zbieg - wyszeptała Carmen.

Wzruszył ramionami. On w wieku Ellie żył właśnie jak zbieg. Zresztą tak było przez całe jego życie, od narodzin aż do wczoraj. Przeprowadzał się z jednej bazy wojskowej do drugiej, po całym świecie, czasem całkiem zniecka. Bywało tak, że rano wybierał się właśnie do szkoły, a tu odwożono go na lotnisko i po trzydziestu godzinach lądował w zupełnie innym zakątku świata. Nie czuł się przez to wcale jakoś specjalnie pokrzywdzony.

A może jednak stała mu się krzywda?

- Twój wybór - powtórzył.

Wyprowadziła go na korytarz i zamknęła drzwi do pokoju Ellie.

- A teraz ci pokażę, gdzie trzymam pistolet - oznajmiła.

Ruszyła przed siebie korytarzem. Skrzyła w lewo, a potem w prawo na inne schody wiodące w dół.

- Dokąd mnie prowadzisz? - spytał.

- Do oddzielnego skrzydła.

Schody zawiodły ich na parter, do korytarza prowadzącego z głównego budynku do apartamentu wielkości małego domku. Była tu garderoba, łazienka oraz salon, w którym stały fotele i kanapa. Na końcu salonu łukowate drzwi prowadziły do sypialni.

- Tutaj - powiedziała i otworzyła szufladę biurka. - Szafka nocna jest za niska. Ellie mogłaby znaleźć w niej pistolet. Tu nie dosięgnie.

Była to szuflada z bielizną Carmen.

- Po co mi to pokazujesz?

Nie odzywała się przez chwilę.

- Będzie miał ochotę na seks, prawda? - rzekła w końcu. - Siedział w pudle przez półtora roku. Ale ja mu odmówię. Mam prawo czy nie? Żeby odmówić.

- Jasne, że masz - przytaknął.

- Kobieta ma również prawo powiedzieć „tak”, czyż nie? - spytała.

- W równym stopniu.

-Tobie odpowiedziałabym „tak”.

- Ale ja cię o to nie proszę.

Zawiesiła głos.

- Czy w takim razie ja mogę poprosić ciebie?

Spojrzał jej prosto w oczy.

- To zależy od twoich pobudek, jak myślę.

- Mam na to ochotę - odparła. - Chcę się z tobą kochać.

- Czemu?

- Szczerze? - powiedziała. - Bo tak chcę.

-I?

Wzruszyła ramionami.

- I chyba chcę trochę zranić Słupa.

Nie odezwał się.

- Jak brzmi twoja odpowiedź? - spytała.

- Nie.

- A zostaniesz przynajmniej tu ze mną?

REACHER obudził się w niedzielny poranek na kanapie Słupa Greera. Usłyszał szum prysznic i poczuł woń kawy. Wszedł do sypialni. W rogu stał kredens, a na nim niewielki ekspres do kawy. Obok postawiono dwa kubki. Nalał kawę do jednego z nich.

Woda przestała lecieć pod prysznicem, po chwili drzwi łazienki się otworzyły i pojawiła się w nich Cannen. Była owinięta białym ręcznikiem, drugi zawiązała na głowie jak turban. Spojrzał na nią bez słowa.

- Dzień dobry - przerwała ciszę.

- Witam - odparł.

- Wcale nie taki dobry, prawda? - dodała. - To niedobry dzień.

- Chyba tak - przyznał.

- Możesz skorzystać z prysznic - zaproponowała. - A ja pójdę do Ellie.

- Dobrze.

Wszedł do łazienki, zdjął przepocone ubranie i znalazł się w kabinie prysznicowej. Była ogromna i oszklona. Sitko natryskowe nad jego głową miało wielkość kapelusza, dodatkowo w każdym rogu znajdowały się dysze skierowane na niego. Odkręcił kurek i urządzenie ruszyło z hukiem. Potoki wody oblewały go ze wszystkich stron. Miał wrażenie, że stoi pod wodospadem Niagara. Nie słyszał nawet swoich myśli. Wymył się szybko i zakręcił wodę.

Wziął świeży ręcznik ze sterty i wytarł się nim na tyle, na ile mógł w tej wilgoci. Owinął biodra ręcznikiem i wyszedł do garderoby. Carmen zapinała guziki białej koszuli. W tym samym kolorze miała spodnie. Do tego złotą biżuterię. Jej skóra była ciemna i gładka, włosy lśniły i już zaczęły się skręcać w loki pod wpływem upału.

- Szybki jesteś - zauważyła.

- To piekielna machina, a nie prysznic - powiedział.

Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

- Dzięki, że byłeś przy mnie tej nocy. Czułam się bezpieczniej.

Powoli wyszła z pokoju, żeby obudzić córkę. Ubrał się i znalazł inną drogę do głównego budynku. Dom przypominał labirynt. Wszedł w salonie, w którym jeszcze nie był, po czym znalazł się w holu, gdzie trzymano broń. Otworzył frontowe drzwi i wyszedł na ganek. Już czuć było upał.

Poszedł do stajni, gdzie zastał Bobby'ego śpiącego na posłaniu z be lek słomy.

- Pobudka, wstawaj! - zawołał.

Bobby poruszył się i usiadł, zdziwiony, gdzie jest. Gdy tylko sobie przypomniał, wezbrała w nim złość.

- Dobrze spałeś? - spytał Reacher.

- Wkrótce wrócą - powiedział mściwie Bobby. - Jak myślisz, co się wtedy stanie?

Reacher uśmiechnął się.

- Pewnie zastanawiasz się, czy im powiem, że kazałem ci posprzątać stajnię i spać na sianie?

- Nie możesz im tego powiedzieć.

- Chyba nie - zgodził się Reacher. - Więc sam zamierzasz ich w to wtajemniczyć?

Bobby nie odezwał się.

Reacher znów się uśmiechnął.

- Pewnie nie. Nie wychodź stąd do południa, potem cię wypuszczę do domu, żebyś się przebrał na uroczystość rodzinną.

- Co ze śniadaniem?

- Poczęstuj się od koni. Jak się okazuje, mają paszy pod dostatkiem.

Wrócił do domu, gdzie zastał Carmen i Ellie przy śniadaniu. Ellie wcinała naleśniki, jakby nie jadła od tygodni. Reacher nałożył sobie jednego, obserwując Carmen. Nie tknęła jedzenia. Po śniadaniu Ellie zgramoliła się z krzesła i pobiegła jak huragan do swojego kucyka.

- Pogadasz ze Słupem? - spytała Carmen.

- Jasne.

- Powinien się dowiedzieć, że nie jest to już tajemnica alkowy.

- Masz rację.

- Liczę na ciebie, Jack.

Odeszła sama, Reacher zaś postanowił jakoś zabić czas. Wyszedł na ganek, gdzie siadł na bujaku i zrobił to, co robi większość żołnierzy w oczekiwaniu na akcję. Zasnął.

Carmen obudziła go po mniej więcej godzinie. Położyła mu dłoń na ramieniu, otworzył powoli oczy i ujrzał ją nad sobą. Przebrała się. Miała teraz na sobie niebieskie dzinsy, koszulę w kratę oraz pasek ze skóry jaszczurki.

- Rozmyśliłam się - powiedziała. - Nie chcę, żebyś z nim rozmawiał. Jeszcze nie teraz.

- Czemu?

- Nie chcę go prowokować. To mogłoby go rozwścieczyć. Gdyby do wiedział się, że ktoś jeszcze wie.

- Nie wolno ci tchórzyc, Carmen - rzeki. - Powinnaś walczyć.

- Jeszcze powalczę - odparła. - Dziś wieczorem. Powiem mu, że mam tego dość.

Reacher nie odezwał się. Carmen wróciła do domu.

WEWNĘTRZNY zegar mówił Reacherowi, że zbliża się pora. Abilene było niecałe siedem godzin drogi od hrabstwa Echo. Może sześc, jeśli kierowcą był prokurator okręgowy, któremu nie grożą mandaty za szybką jazdę. Zakładając, więc, że Słup wyszedł o siódmej, będą tu przed pierwszą.

Zauważył Bobby'ego wychodzącego ze stajni. Bobby wszedł do domu, nie spojrzawszy nawet na Reachera. Po pół godzinie pojawił się umyty, ubrany w świeże dżinsy oraz nową koszulkę.

Za chwilę otworzyły się drzwi i pojawiła się Carmen, trzymając za rękę Ellie. Carmen szła lekko chwiejnym krokiem, jakby ugięła się pod nią nogi.

Reacher wstał i gestem pokazał jej, że powinna usiąść. Ellie wgramoliła się na bujak i usiadła obok matki. Wszyscy troje milczeli. Reacher podszedł do barierki ganku i wyjrzał na drogę.

Zauważył kłęb pyłu w oddali. Chmura powiększała się stopniowo, aż wreszcie rozpoznał żółtozielonego lincolna. Jechał drogą, zbliżał się szybko, wreszcie przyhamował przy bramie i ostro skręcił. Za kierownicą siedział Hack Walker. Rusty Greer zajmowała tylne siedzenie. Obok kierowcy rozpiął się zwalisty, blady mężczyzna. Miał krótkie blond włosy i rozglądał się dookoła z szerokim uśmiechem. Słup Greer wracał na łono rodziny.

Lincoln zatrzymał się przed gankiem, cała trójka wysiadła. Bobby i Ellie zbiegli po schodkach na spotkanie. Carmen powoli podniosła się z bujaka.

Słup Greer był blady od siedzenia w zamknięciu, cierpiał na nadwagę od kalorycznego jedzenia, ale był niewątpliwie bratem

Bobby'ego. Mieli obaj takie same włosy, twarz i sylwetkę. Bobby uściskał go mocno, krzyczeli radośnie i kleпали się po plecach.

W końcu Słup puścił Bobby'ego i przykucnął, by wziąć na ręce Ellie. Dziewczynka rzuciła mu się w ramiona. Podniósł ją do góry i przytulił. Pocałował w policzek.

Potem postawił Ellie na ziemi i spojrzął na ganek z triumfalnym uśmiechem. Wyciągnął rękę, przywołując żonę.

Zdobyła się na wymuszony uśmiech i zeszła po schodach. Ujęła dłonie Słupa i przytuliła się. Całowali się na tyle długo, by nikt nie pomyślał, że są bratem i siostrą, ale zbyt krótko, by ktoś mógł mniemać, iż tli się między nimi jeszcze jakaś namiętność. Hack Walker wsiadł z powrotem do lincolna i odjechał pełnym gazem.

Bobby wraz z matką ruszyli w stronę ganku, Słup poszedł za nimi. prawą ręką trzymając dłoń Ellie, lewą zaś Carmen. Mocno mrużył oczy na słońcu. Carmen nic nie mówiła, za to Ellie paplała jak najęta. Cała trójka przeszła obok Reachera, ramię przy ramieniu. Słup przystanął przy drzwiach i odchylił prawe ramię, by przepuścić Ellie. Przystąpił próg tuż za nią, a następnie obrócił drugie ramię, by pociągnąć za sobą Carmen. Drzwi zatrzasnęły się za nimi z hukiem, unosząc z desek ganku tumany rozgrzanego kurzu.

PRZEZ blisko trzy godziny Reacher nie widział nikogo poza służącą. Nie wychodził z baraku, a ona przyniosła mu lunch. Potem późnym popołudniem poszedł na tyły stajni, gdzie natknął się na Słupa, Carmen i Ellie, wracających ze wspólnej przechadzki. Wciąż panował skwar. Słup wyglądał na wzburzonego. Pocił się. Carmen była mocno spięta. Miała lekko zaczerwienioną twarz. Może z napięcia, może z nadmiernego wysiłku. A może z przeraźliwego gorąca. Nie można jednak wykluczyć, że otrzymała kilka razy w policzek.

- Ellie, chodź, pójdziemy do twojego kucyka - powiedziała, wyciągając rękę.

Ruszyły za plecami Słupa ku wrotom stajni. Carmen, nie zatrzymując się, odwróciła głowę i poruszając wargami, powiedziała bezgłośnie: „Porozmawiaj z nim”. Słup obejrzał się za nimi. Potem popatrzył na Reachera, jakby go widział pierwszy raz w życiu.

- Słup Greer - przedstawił się, wyciągając dłoń.

Z bliska wyglądał jak starsza i mądrzejsza wersja Bobby'ego. Miał inteligentne oczy. Jednak wcale nie musiał być przyjemnym intelektualistą. Nietrudno było sobie wyobrazić, że potrafi być okrutny. Reacher potrząsnął jego dłonią. Była miękka, choć miał grube kości. To ręka mieczaka, a nie wojownika.

- Jack Reacher - powiedział. - Jak było w więzieniu?

Na ułamek sekundy pojawiło się zdumienie w jego oczach. Ale natychmiast się powściągnął. Nauczył się panować nad sobą, pomyślał Reacher.

- Raczej kiepsko - odparł Słup. - Byłeś kiedyś w pudle?

I do tego bystrzak.

- Po drugiej stronie krat.

Słup kiwnął głową.

- No tak. Carmen mówiła, że byłeś gliniarzem. A teraz jesteś wędrownym robotnikiem.

- Taki los. Nie miałem bogatego tatusia.

Słup nie odzywał się chwilę.

- Służyłeś w wojsku, zgadza się? Nigdy nie miałem szczególnego szacunku do armii.

- Zdążyłem się domyślić. Słyszałem, że nie chciałeś płacić podatków na nią.

Znów błysk w oku, który szybko przeminął. Trudno go wyprowadzić z równowagi, pomyślał Reacher. Ale co się dziwić, w więzieniu każdy uczy się trzymać nerwy na wodzy.

- Szkoda, że popsuleś wszystko, rejterując i wychodząc wcześniej z paki.

- Tak sądzisz?

Reacher kiwnął głową.

- Jeśli nie stać cię na odsiedzenie wyroku, nie popełniaj chociaż przestępstwa.

- Ty też wyszedłeś z wojska. Może i ty nie wytrzymałeś?

Reacher uśmiechnął się.

- Nie miałem wyboru. Szczerze mówiąc, wykopali mnie. Też zламаłem prawo.

- Naprawdę? Jak?

- Jakiś zafajdany pułkownik bił swoją żonę. Sympatyczną młodą kobietę. Potrafił się nieźle kamuflować, nikt o niczym nie wiedział.

Trudno, więc mu było cokolwiek udowodnić. Nie mogłem jednak pozwolić, by mu to uszło na sucho. To nie byłoby fair. Więc pewnej nocy sam go dopadłem. Żadnych świadków. Teraz porusza się na wózku. Ślini się jak staruch.

Slup nie odzywał się. Jeśli teraz odejdziesz, pomyślał Reacher, to tak, jakbyś się przyznał. Jednak Slup nie ruszył się z miejsca, spoglądając w pustkę. Potem wrócił do rzeczywistości. Wyostrzył mu się wzrok.

Niezbyt szybko, ale też i nie za wolno. Sprytny facet.

- Od razu poczułem się lepiej - powiedział - że nie zapłaciłem podatków. Moje pieniądze mogłyby trafić do waszej kieszeni.

- Masz coś przeciwko?

- Mam - odparł Slup.

- Przeciwko komu?

- Przeciwko wam obu - odparł twardo Slup.

- Tobie i tamtemu gościowi z wojska.

Obrócił się na pięcie i odszedł.

REACHER wrócił do baraku. Służąca przyniosła mu kolację. Zrobiło się ciemno. Leżał na łóżku, pocąc się. Temperatura nie chciała spaść ani trochę, wciąż było około 40 stopni. Słyszał wycie kojota, charakterystyczne odgłosy pумы oraz trzepot skrzydeł niewidocznych dla oczu nietoperzy.

Potem dobiegły go lekkie kroki na schodach wewnątrz baraku. Kiedy usiadł, ujrzał Carmen wchodzącą na górę.

- Zbił cię? - spytał Reacher.

Uniosła dłoń do policzka i spuściła wzrok.

- Uderzył tylko raz. Niezbyt mocno.

- Połamie mu te łapska.

- Zadzwoił po szeryfa. Chce się ciebie stąd pozbyć.

- Nie przejmuj się - zapewnił ją Reacher. - Już wcześniej na dobre spławiłem szeryfa.

Po chwili powiedziała:

- Muszę wracać. Myśli, że jestem z Ellie.

- Ruszyła schodami w dół.

- Pewien jesteś, co do szeryfa?

- Nie martw się. Szeryf nawet palcem nie kiwnie.

SZERYF jednak kiwnął palcem. Przekazał sprawę policji stanowej. Półtorej godziny później teksański radiowóz przyjechał po niego. Reacher wstał z łóżka, zszedł po schodach, a kiedy się znalazł na dole, padł na niego snop światła z lampy przymocowanej do przedniej szyby wozu. Drzwi pojazdu otworzyły się i wysiedli dwaj policjanci.

W niczym nie przypominali szeryfa. Byli to młodzi, wysportowani zawodowcy, z włosami ostrzyżonymi na rekruta. Jeden był sierżantem, a drugi posterunkowym. Posterunkowy wyglądał na Latynosa. Trzymał w ręku śrutówkę.

- Podejdz do maski samochodu - nakazał sierżant.

Reacher zbliżył się do samochodu, trzymając ręce z dala od ciała.

- Przyjmij pozycję.

Reacher oparł dłoń o błotnik i pochylił się do przodu. Sierżant obszukał go dokładnie.

- W porządku, wsiadaj do wozu.

Reacher ani drgnął.

- O co chodzi? - spytał.

- Właściciel gruntu poprosił nas, byśmy za wszelką cenę usunęli intruza z jego posiadłości.

- Nie jestem intruzem. Pracuję tu.

- Chyba właśnie straciłeś pracę. Więc teraz jesteś intruzem i zamierzamy cię stąd zabrać.

- To należy do obowiązków policji stanowej?

- W takiej małej miejscowości chłopcy czasem dzwonią do nas o pomoc, kiedy mają wolny dzień. Niedziela jest wolnym dniem szeryfa.

- Dobra, odejdę stąd - powiedział Reacher. - Pójdę drogą.

- W takim wypadku stajesz się włączoną na lokalnej drodze. To także wbrew prawu. Musisz opuścić hrabstwo. Wysadzimy cię w Pecos.

- Oni są mi winni pieniądze. Nic mi nie zapłacili.

- No, to wsiadaj do wozu. Podjedziemy do domu.

Reacher spojrzał w lewo na posterunkowego ze strzelbą. Wyglądał groźnie. Obejrzał się w prawo na sierżanta.

- Ale oni mają kłopot - powiedział. - Szwagierka jest regularnie bita przez swojego męża.

- Czy zgłaszała to? - spytał sierżant.

- Za bardzo się boi. Szeryf to stary koleżka jej męża, a ona jest Latynoską z Kalifornii.

- Nic nie możemy zrobić bez zgłoszenia - rzekł posterunkowy.

- No, to się dowiedzieliście. Ja wam to zgłaszam.

Posterunkowy potrząsnął głową.

- Skarga musi pochodzić od ofiary.

- Wsiadaj do wozu - uciał sierżant.

Położył dłoń na czubku głowy Reachera i usadził go z tyłu. Sierżant z posterunkowym usiedli z przodu i podjechali do domu. Wszyscy Greerowie, prócz Ellie, wylegli na ganek, by popatrzeć, jak go odwożą z rancza. Wszyscy byli uśmiechnięci prócz Carmen. Sierżant opuścił szybkę.

- Gość mówi, że zalegacie mu z wypłatą! - zawołał.

- To powiedz mu, żeby nas pozwał do sądu! - odkrzyknął Bobby.

Reacher nachylił się do przodu.

- Carmen! - wrzasnął. - *Si hay un problema, llama directamente a estos hombres!*

Sierżant zamknął szybę i ruszył ku bramie.

- Co zrobisz z tymi zaległymi pieniędzmi?

- Pies je drapał - powiedział Reacher.

Potem sierżant zapytał:

- Co do nich wrzeszczałeś?

Reacher nie odezwał się.

Posterunkowy go wyręczył.

- Po hiszpańsku z fatalnym akcentem - rzekł.

- Do tej kobiety: „Carmen, w razie kłopotów dzwoń prosto do tych facetów”.

Reacher milczał przez całe sto kilometrów, które pokonał poprzedniego dnia w przeciwną stronę białym cadillakiem, znów do osady na skrzyżowaniu, gdzie stała szkoła Ellie, stacja benzynowa i stary bar. Gdy dotarli tam, wszystko było już pozamykane na cztery spusty Nikt się nie odzywał. Jechali dalej do Pecos.

Nie dotarli jednak na miejsce. Wezwano ich przez radio po godzinie i trzydziestu pięciu minutach jazdy.

- Niebieska piątka, niebieska piątka - usłyszeli.

Posterunkowy wziął mikrofon, nacisnął guzik.

- Niebieska piątka, zgłaszam się, odbiór.

- Pilne wezwanie do Czerwonego Domu sto kilometrów na południe od skrzyżowania w Echo. Zgłoszono awanturę rodzinną, odbiór.

- Przyjąłem. Co się stało, odbiór.

- Nie ma pewności. Podobno było ostro, odbiór.

- Przyjąłem. Jedziemy, bez odbioru - zameldował posterunkowy. Zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni.

- Najwyraźniej zrozumiała twój hiszpański.

- Popatrz na to z dobrej strony - rzekł sierżant. - Teraz możemy w końcu interweniować.

- Ostrzegłem was - powiedział Reacher. - Trzeba mnie było słuchać. Jeśli stłukł ją na kwaśne jabłko, to wasza wina.

Sierżant nic nie odpowiedział, tylko dodał gazu. Z powrotem byli w dwie i pół godziny po wyjeździe. Najpierw rzucił im się w oczy radiowóz szeryfa. Sierżant zaparkował tuż za nim.

- Co on tu, do diabła, robi? - zdziwił się. - Przecież ma wolny dzień.

Nikogo nie było w zasięgu wzroku. Posterunkowy otworzył drzwi. Sierżant wyłączył silnik i też wysiadł.

- Wypuście mnie - domagał się Reacher.

- Nie ma mowy - sprzeciwił się sierżant. - Posiedzisz tutaj.

Weszli do środka. Po dwunastu minutach posterunkowy wyszedł sam. Wrócił do wozu i nachylił się do mikrofonu.

- Czy coś jej się stało? - spytał Reacher.

Mężczyzna potrząsnął ponuro głową.

- Jej nic nie jest - odparł. - Przynajmniej fizycznie. Bo napytała sobie niezłej biedy. Wezwano nas nie, dlatego, że on zaatakował ją. Było odwrotnie. To ona zastrzeliła jego. Właśnie ją aresztowaliśmy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

POSIŁKI nadszedły po godzinie. Identyczny radiowóz z posterunkowym za kierownicą i sierżantem obok. Wysiedli z samochodu i weszli do domu. W niektórych pomieszczeniach zapalały

się i po chwili gasły światła. Dwadzieścia minut później szeryf hrabstwa Echo wyszedł z domu i odjechał.

Po kolejnej godzinie pojawiła się karetka, sanitariusze wnieśli do domu nosze na kółkach. Wyszli tak szybko, jak się dało. i znieśli nosze po schodkach. Słup Greer wyglądał na nich jak zwalista bryła owinięta białym prześcieradłem. Sanitariusze wsunęli nosze do karetki, zatrzasnęli drzwi i pojechali na północ.

Po pięciu minutach gliny wyprowadziły Carmen. Miała dłonie skute z tyłu, szła ze zwieszoną głową, twarz miała bladą jak papier. Gliniarze, którzy zjawili się jako ostatni, powiedli ją do radiowozu, trzymając z obu stron za łokcie. Nie stawiała oporu, kiedy pakowali ją do środka. Była całkowicie bierna.

Policjanci uruchomili silnik radiowozu. Dwaj, którzy przyjechali tu z Reacherem, też wsiedli do swojego pojazdu, przepuścili przodem przybyłych później kolegów, a potem wyjechali przez bramę i pełnym gazem ruszyli na północ.

- Gdzie ją wiozą? - spytał Reacher.

- Do Pecos - odparł sierżant. - Do aresztu hrabstwa.

- Ale przecież jesteśmy w Echo - zauważył przytomnie Reacher.

- A nie w Pecos.

- Hrabstwo Echo ma stu pięćdziesięciu mieszkańców. Po co mieli by tworzyć oddzielną jurysdykcję? Z aresztami i całym tym kramem?

- No, to mamy poważny problem - rzekł Reacher. - Bo prokuratorem okręgowym w Pecos jest Hack Walker, kumpel Słupa Greera. Będzie oskarżać osobę, która zastrzeliła jego przyjaciela.

- Znamy Hacka - powiedział sierżant. - Ma swój rozum. Nie będzie brał tej sprawy sam, przekaże ją zastępcy. Zastępcami prokuratora okręgowego w Pecos są dwie kobiety, będą bardziej przekonujące, twierdząc, że oskarżona działała w obronie własnej.

- Do czego tu przekonywać - zachnął się Reacher. - To jasne jak słońce.

- Hack staje do wyborów na sędziego w listopadzie - wyjaśniał mu sierżant. - Nie zapominaj o tym. Zależy mu na licznych głosach Meksykanów z hrabstwa Pecos. Nie pozwoli na to, by jej adwokat oczernił go w prasie. Kobieta ma dużo szczęścia. Meksykanka zabija

białego mężczyznę w Echo, sędzi ją kobieta, zastępca prokuratora okręgowego w Pecos - czy może być lepiej?

- Ona jest Kalifornijką - zauważył Reacher. - A nie Meksykanka.

- Ale wygląda na Meksykankę - powiedział sierżant. - A właśnie wygląd ma znaczenie dla wyborcy z Pecos.

RADIOWÓZ policji stanowej doścignął karetkę tuż przed szkołą na skrzyżowaniu i zostawił ją w tyle.

- Zostaniesz w Pecos? - sierżant zwrócił się do Reachera.

- Chyba tak. Chcę się upewnić, że wszystko z nią w porządku. Przecież ma dzieciaka. Musi wyjść za kaucją, najlepiej jutro.

- Do jutra trudno to będzie załatwić - zauważył z powątpiewaniem sierżant. - Chodzi przecież o morderstwo. Kto jest jej adwokatem?

- Nie ma adwokata. Nie stać jej.

- Kiepsko - odparł sierżant. - Ile lat ma dzieciak?

- Sześć i pół. Czy to ważne?

- Fatalnie, że nie ma adwokata. Dziecko ukończy siedem i pół roku, nim zaczną zastanawiać się nad tym, czy ją wypuścić za kaucją.

- Ale przydzielą jej przecież adwokata?

- Jasne, tylko, kiedy? Jesteśmy w Teksasie.

- Nie dostaje się adwokata od razu?

- Trzeba trochę poczekać. Nawet całkiem długo. Adwokat zostaje przydzielony dopiero wtedy, gdy jest akt oskarżenia. I właśnie dzięki temu Hack Walker wyjdzie z tego bez szwanku. Zamknie ją i zapomni o całej sprawie. Nie ma adwokata, ale kto o tym wie? Nawet do Bożego Narodzenia może potrwać przygotowywanie aktu oskarżenia. Wtedy jednak Hack będzie już najprawdopodobniej sędzią, a nie prokuratorem. Wyjdzie z tego obronną ręką, bo nie będzie miał do czynienia z konfliktem interesów. Chcesz jej pomóc znaleźć adwokata?

Nikt już się nie odzywał przez resztę drogi do Pecos. W końcu sierżant zwolnił i zjechał na pobocze.

- Wracamy na patrol - zakomunikował. - Musisz wysiadać.

- Nie możecie mnie podwieźć do aresztu?

- Nie jesteś aresztowany. A my nie robimy za taksówkę.

- Gdzie jestem?

Sierżant wskazał przed siebie.

- Za kilka kilometrów trafisz tą drogą do centrum Pecos.

- A gdzie jest areszt?

- Przy skrzyżowaniu przed torami kolejowymi. W piwnicy sądu.

Sierżant wysiadł z wozu i otworzył z galanterią drzwi przed Reacherem. Reacher wysiadł. Wciąż było gorąco. Pojedyncze samochody pędziły autostradą, jeździły na tyle rzadko, że między jednym a drugim zapadała cisza.

- Uważaj na siebie - pożegnał go sierżant.

Wsiadł z powrotem do radiowozu i zatrzasnął drzwi. Opony zachrzęściły i samochód znów wjechał na asfalt, Reacher obserwował, jak tylne światła wozu oddalają się na wschód. Ruszył piechotą ku północy, w kierunku neonu z napisem PECOS.

Szedł od jednej oświetlonej oazy do drugiej, wzdłuż drogi, przy której stały motele coraz elegantsze i droższe, im bardziej oddalał się od autostrady. Minął targ i dwa bary: cukiernię oraz pizzerię. Oba lokale były zamknięte i nieoświetlone. Na końcu szosy znajdowało się skrzyżowanie, a przy nim znak wskazujący drogę do muzeum Claya Allisona. Jednak bliżej stał budynek sądu. Przeszedł wzdłuż bocznej ściany na tyły. Jeszcze nie spotkał aresztu, do którego wchodziłoby się od strony ulicy. Na tylnej ścianie zobaczył oświetlone wejście do półsuterenu, dwa cementowe stopnie prowadziły w dół z poziomu parkingu. Na stalowych drzwiach widniał namalowany za pomocą szablonu napis: ZAKAZ WSTĘPU. Powyżej spozierało oko kamery.

Zszedł po stopniach i zapukał głośno. Po dłuższej chwili drzwi otworzyła kobieta ubrana w mundur strażnika sądowego. Była biała, miała około pięćdziesiątki, szeroki pas, a za nim pistolet, pałkę oraz gaz pieprzowy.

- Tak? - odezwała się.

- Chciałbym się widzieć z Carmen Greer.

- Jest pan jej adwokatem?

- Nie.

- W takim razie w sobotę - powiedziała kobieta. - Odwiedziny od drugiej do czwartej. To prawie tydzień.

- Czy mogłaby mi pani to zapisać? - poprosił. Chciał wejść do środka. - Może dostalbyśmy też listę rzeczy, jakie wolno mi jej przynieść?

Strażniczka wzruszyła ramionami i weszła do pomieszczenia. Reacher poszedł w ślad za nią do holu. W kantorku było wysokie biurko, za którym stał regał z przegródkami. W jednej z nich dostrzegł należący do Carmen zwinięty pasek ze skóry jaszczurki. Była też plastikowa torebeczka z pierścionkiem ze sztucznym brylantem.

Strażniczka wzięta ze sterty odbitą na ksero kartkę papieru i przesunęła w jego stronę po blacie biurka.

- Jeśli przyniesie pan coś, czego nie ma na liście, nie zostanie pan wpuszczony.

- Gdzie mieści się biuro prokuratora okręgowego?

Wskazała sufit.

- Drugie piętro. Trzeba wejść od frontu. Otwierają około wpół do dziewiątej.

- Czy w okolicy są jakieś kancelarie adwokackie?

- Chodzi o tanich czy drogiech adwokatów?

- O wolnych.

Uśmiechnęła się.

- Niech pan skręci w lewo na skrzyżowaniu. Znajdzie pan tam wszelakich prawników: poręczycieli i adwokatów społeczników.

- Na pewno nie mogę jej odwiedzić? Choćby na minutkę?

- Mowy nie ma.

- A kiedy pani ją będzie widziała?

- Co kwadrans. Muszę ją stale mieć na oku, żeby nie popełniła samobójstwa, ale nie wydaje mi się, żeby pana znajoma miała takie ciągoty. To twarda sztuka.

- Proszę jej powiedzieć, że byt tu Jack Reacher. I że będę się kręcił w pobliżu.

Kobieta kiwnęła głową.

- Na pewno się wzruszy.

REACHER wrócił szosą, przy której stały motele, do strefy, gdzie ceny spadały poniżej trzydziestu dolarów. Wybrał jeden z nich, obudził recepcjonistę i wynajął pokój na końcu budynku. Łóżko się zapadało, powietrze było stęchłe, ale można tu było przekimnąć. Żołnierz potrafi spać w każdych właściwie warunkach.

Obudził się o siódmej, wziął prysznic i poszedł do cukierni. Zjadł dwa wielkie pączki i wypił trzy kawy. Potem zajął się szukaniem

nowych ubrań. Odkąd skończył się jego przelotny flirt z domem, wrócił do swojego ulubionego systemu: kupował tanie ciuchy, które potem wyrzucał zamiast prać. Znalazł sklep, gdzie mieli cały wieszak spodni w jego rozmiarze, dobrał do nich koszulę khaki. Do tego białą bieliznę. Nie było tu przymierzalni, ale ekspedient pozwolił mu skorzystać z toalety dla personelu. Przebrał się w nowe ubranie, przełożył wszystko z kieszeni. Wciąż miał osiem łusek z pistoletu Carmen, które podzwaniały jak drobniaki. Zważył je w dłoni i wrzucił do kieszeni nowych spodni.

Zwinął stare ubranie w kłębek i wsadził do kubła na śmieci stojącego w toalecie. Udał się prosto do kasy, gdzie zapłacił trzydzieści dolarów gotówką.

Począł na chodniku do ósmej, opierając się o ścianę pod markizą. Potem wyruszył na poszukiwanie adwokata.

Skręcił w lewo na skrzyżowaniu w centrum Pecos i wszedł w zaułek, gdzie w starym pomieszczeniu sklepowym mieściły się biura poręczycieli i kancelarie adwokackie, dokładnie tak, jak mówiła strażniczka z aresztu. W kancelariach adwokackich stały rzędem biurka tuż przy sklepowych wystawach, przed nimi krzesła dla klientów, w głębi zaś były poczekalnie. Minęła zaledwie ósma dwadzieścia, a wszędzie panował nieopisany ruch. Klientami byli wyłącznie Latynosi, podobnie jak niektórzy adwokaci, w sumie jednak był to kosmopolityczny tygiel. Mężczyźni, kobiety, młodzi, starzy, ruchliwi, małomówni. Łączyło ich jednak to, że wszyscy byli udręczeni do granic możliwości.

Wybrał jedyne biuro, gdzie przed adwokatem stało puste krzesło. Siedziała za nim młoda biała kobieta, może dwudziestopięcioletnia, z gęstymi ciemnymi włosami, przyciętymi krótko. Zamiast bluzki miała na sobie białą krótką koszulkę, na oparciu fotela wisiała skórzana kurtka. Bliska leż, rozmawiała przez telefon.

Podszedł do jej biurka i usiadł. Spojrzała na niego, ale nie przerwała rozmowy. Miała ciemne oczy i bielutkie zęby. Mówiła powoli po hiszpańsku z akcentem ze Wschodniego Wybrzeża, na tyle wolno, że wszystko rozumiał. Mówiła: „To prawda, wygraliśmy, ale on nie zapłaci. Najzwyczajniej odmówił”. Reacher obserwował jej twarz. Była przybita i zakłopotana, mrugała szybko dla powstrzymania

gorzkich łez frustracji. Powiedziała: *Llamaredë nuevo mëš tarde* i odłożyła słuchawkę. „Wkrótce znów zadzwonię”.

Spojrzała przed siebie, zacisnęła oczy i zaczęła głęboko oddychać przez nos, wdech, wydech, wdech, wydech. Otworzyła oczy, wrzuciła akta do szuflady i spojrzała na Reachera.

- Kłopoty? - spytał.

Wzruszyła ramionami, jednocześnie kiwając głową.

- Wygranie sprawy to tylko połowa bitwy - powiedziała. - Czasem znacznie mniej niż połowa.

- Co się stało? Jakiś gość nie chce płacić?

Znów kiwnęła głową.

- Pijany ranczer wjechał na ciężarówkę mojego klienta. Ranny został mój klient, jego żona oraz dwójka ich dzieci. Stało się to podczas zbiorów, nie mogli pracować na roli, więc całe plony diabli wzięli. Słodka papryka. Uchła na polu. Zaskarżyliśmy tego pirata drogowego i za sądzono nam dwadzieścia tysięcy dolarów, ale facet nie chce płacić. Uparł się, że nam nie zapłaci. Bierze na przetrzymanie. Zamierza wziąć ich głodem, żeby wrócili do Meksyku.

- Nie byli ubezpieczeni?

- Za wysoka składka. Mogliśmy tylko wystąpić bezpośrednio przeciwko ranczerowi.

- Cholerny pech - przyznał Reacher.

- Niewiarygodny - westchnęła. - Doprawdy trudno uwierzyć, przez co muszą przechodzić ci ludzie. Patrol graniczny zastrzelił im najstarszego syna.

- Naprawdę?

Kiwnęła głową.

- Dwanaście lat temu. Byli wówczas nielegalnymi imigrantami. Szli nocą na północ, patrol gonił ich, w końcu zastrzelili najstarszego syna. Rodzina pochowała go i ruszyła w dalszą drogę.

- Nic się nie dało zrobić?

- Żartuje pan? Nielegalnie przekroczyli granicę. Nie mieli żadnych praw. To nie pierwszy taki przypadek. Teraz w końcu się tu osiedlili, otrzymali obywatelstwo w ramach amnestii dla nielegalnych imigrantów, staramy się, by zaufali prawu, a tu nagle spotyka ich coś takiego. Ale zmieńmy temat, co pana do mnie sprowadza?

- Nie chodzi o mnie - rzekł Reacher - tylko o moją znajomą.

- Potrzebuje adwokata?

- Zeszłej nocy strzelała do swojego męża. Bił ją.

- Zabiła go?

Reacher kiwnął głową.

- Na amen.

Wzięła żółty notes.

- Jak się pan nazywa? - spytała.

- Reacher. A pani?

- Alice. Alice Amanda Aaron.

- Powinna pani otworzyć własną kancelarię. Byłaby pani na pierwszym miejscu w książce telefonicznej firm.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Kiedyś otworzę - powiedziała. - To pięcioletni układ z moim własnym sumieniem.

- Spełnienie powinności?

- Pokuta. Albo zadośćuczynienie. Za to, że los się do mnie uśmiechnął, że uczęszczałam do Harvardu, że pochodzę z rodziny, dla której dwadzieścia tysięcy dolarów to przeciętny czynsz za lokal firmowy na Park Avenue, a nie sprawa życia i śmierci podczas teksańskiej zimy

- Jest pani w czepku urodzona, Alice.

- Proszę opowiedzieć mi o swojej znajomej.

- Nazywa się Carmen Greer, jej mężem był Slup Greer. Nie bił jej przez ostatnie półtora roku, ponieważ trafił do paki za uchylanie się od podatków. Wczoraj wyszedł na wolność i wrócił do dawnych obyczajów, więc go zastrzeliła, trudno będzie znaleźć dowody i świadków. Nikt nie wiedział o tym, że jest bita.

- Obrażenia? - spytała Alice, notując.

- Dość ciężkie, ale zawsze tłumaczyła, że winne są konie, że spadała podczas jazdy.

- Ale to pewne, że mąż ją bił?

- Według mnie, tak. Musi wyjść za kaucją - powiedział Reacher.

- Jeszcze dzisiaj.

- Za kaucją?

- Alice wytrzeszczyła oczy.

- Dzisiaj? Mowy nie ma.

- Ale ona ma przecież dziecko. Małą dziewczynkę o imieniu Ellie, sześciu i półletnią.

- To bez znaczenia - odrzekła. - Wszyscy mają dzieci. W takiej sprawie są tylko dwa sposoby na uzyskanie kaucji. Po pierwsze, możemy przeprowadzić całą rozprawę podczas przesłuchania w sprawie kaucji. Ale nie jesteśmy na to gotowi. W tych okolicznościach przygotowanie materiałów zajmie wiele miesięcy.

- Niby w jakich okolicznościach?

- Jej słowo przeciwko reputacji zmarłego. Jeśli nie istnieją świadkowie, będziemy musieli przeanalizować w sądzie akta jej choroby i udowodnić, że obrażenia nie zostały spowodowane upadkami z konia. Ona oczywiście nie ma pieniędzy, w przeciwnym razie nie przyszedłby pan do mnie, będziemy, więc musieli poszukać biegłych, którzy zgodzą się stanąć przed sądem bez honorarium. Nie znajdzie się takich od ręki.

- Więc, co się da zrobić od ręki?

- Mogę przejechać się do aresztu i powiedzieć: „Witam, jestem pani adwokatem, do zobaczenia za rok”. Tyle da się zrobić od ręki.

Reacher rozejrzył się po pomieszczeniu.

- Mówiła pani, że są dwa sposoby.

- Drugi to przekonanie prokuratora okręgowego, żeby się nie sprzeciwiał. Jeśli poprosimy o wyznaczenie kaucji, a on nie wyrazi sprzeciwu, wtedy wystarczy już tylko zgoda sędziego.

- Hack Walker to serdeczny przyjaciel jej męża.

Alice znów opadły ręce.

- Cudownie. Zapomnijmy więc o kaucji.

- Czy weźmie pani tę sprawę?

- No jasne. Zadzwoń do biura Hacka i spotkam się z Carmen. Ale nic więcej na razie nie jestem w stanie zrobić, rozumie pan?

Reacher potrząsnął głową.

- To za mało, Alice - powiedział. - Chcę, żeby pani z miejsca zabrała się do roboty. Żeby sprawa ruszyła natychmiast.

- To niemożliwe. Przez kilka najbliższych miesięcy mój terminarz pęka w szwach.

Przyglądał jej się przez moment.

- Może się jednak dogadamy?

- Dogadamy?

- Mogę odzyskać dwadzieścia tysięcy dla pani hodowców papryki. Jeszcze dziś. W zamian zajmie się pani sprawą Carmen Greer. Dzisiaj.

- Czyżby pan ściągał długi?

- Nie, ale proszę wyobrazić sobie, że wrócę tu z czekiem na dwadzieścia kawałków.

- Jak zamierza pan to zrobić?

- Grzecznie poproszę gościa o wypisanie czeku.

- Myśli pan, że się zgodzi?

- Czemu nie? - odparł. - Kim jest ten ranczer?

Zerknęła na szufladę i potrząsnęła głową.

- Nie mogę tego powiedzieć - rzekła. - To wbrew zasadom.

- Składam propozycję. O nic pani nie proszę.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Muszę na chwilę wyjść do toalety.

Gwałtownie wstała i wyszła. Miała na sobie dżinsowe szorty, była wyższa, niż sądził. Kuse szorty i długie nogi. Do tego ładna opalenizna. Wyszła tylnymi drzwiami na dawne zaplecze sklepu. Wstał natychmiast i wysunął szufladę biurka. Wyjął leżącą z wierzchu teczkę i wyszukał między papierami zeznanie pod przysięgą. W ramce z nagłówkiem „Pozwany” napisano elegancko na maszynie nazwisko i adres. Złożył kartkę na czworo i włożył do kieszeni. Zamknął teczkę, włożył do szuflady i usiadł. Po chwili Alice Amanda Aaron wróciła do swojego biurka.

- Czy jest tu gdzieś biuro wynajmu samochodów? - spytał.

- Może pan wziąć mój wóz - zaproponowała. - Stoi na parkingu za budynkiem.

Sięgnęła do kieszeni kurtki wiszącej na fotelu. Wyjęła kluczyki.

- Volkswagen. W schowku na rękawiczki są mapy. Tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś nie znał okolicy. Wziął od niej kluczyki i wsiadł.

- Do zobaczenia - powiedział, wychodząc na słońce.

ALICE miała nowego jaskrawożółtego garbusa. Nowojorska rejestracja, a w schowku na rękawiczki był nie tylko stos map. Znalazł tam pistolet model Heckler Koch P7M10 z dziesięciocentymetrową lufą oraz dziesięć naboju kaliber 10 mm.

Reacher odsunął fotel i zapalił silnik. Rozłożył mapy na siedzeniu obok i sprawdził adres ranczera. Ranczo mieściło się na północny wschód od miasta, może z godzinę drogi.

Garbus miał ręczną skrzynię biegów z ostro biorącym sprzęgłem. Dwukrotnie zdławił silnik, nim udało mu się ruszyć. Odjechał z zaułka prawników w kierunku El Paso i znalazł dokładnie to, czego szukał. Każde miasteczko, niezależnie od wielkości, ma przy jednej z ulic szpaler salonów sprzedaży samochodów. Pecos nie było wyjątkiem.

Przejechał obok salonów, szukając firmy oferującej naprawy zagranicznych samochodów i wypożyczającej wozy zastępcze. Znalazł odpowiedni zakład na samym skraju miasta.

Z przodu stały używane samochody do kupienia, na tyłach zaś buda z podnośnikiem hydraulicznym.

Wjechał garbusem do budy. Jeden z mechaników podszedł do niego. Reacher poprosił o ustawienie sprzęgła, żeby lżej chodziło. Usłyszał, że to będzie kosztowało czterdzieści dolców. Reacher zgodził się na proponowaną cenę i poprosił o samochód zastępczy na czas naprawy. Mechanik pokazał mu przedpotopowy kabriolet Chrysler LeBaron. Reacher wyjął z garbusa pistolet Alice, zapakował go w mapy i położył na siedzeniu pasażera w chryslerze. Potem poprosił mechanika o linkę holowniczą.

Facet pojawił się po chwili ze zwojem liny. Reacher położył zwój w miejscu na nogi pasażera. Wyjechał chryslerem z miasta, kierując się na północ. Było mu lżej na sercu. Tylko głupiec starałby się nielegalnie odzyskać dług w dzikim Teksasie w jaskrawożółtym wozie z nowojorską rejestracją.

Przystanął na pustkowiu, żeby odkręcić tablice rejestracyjne chryslera. Potem ruszył w dalszą drogę.

Na dokumencie prawnym ranczer figurował jako Lyndon J. Brewer. Za cały jego adres służył numer trasy, która - jak sprawdził na mapie Alice - biegła przez sześćdziesiąt pięć kilometrów, nim zniknęła gdzieś w Nowym Meksyku.

Reacher znalazł wymyślną żelazną bramę z napisem: RANCZO BREWERA dwadzieścia pięć kilometrów od granicy stanu. Przejechał obok niej i zaparkował na poboczu, tuż obok najbliższego słupa wysokiego napięcia. Wysiadł z samochodu i spojrzął w górę. Na

wierzchołku słupa znajdował się transformator, od którego szło odgałęzienie do domu na rancho. Trzydzieści centymetrów niżej biegła równolegle linia telefoniczna.

Wyjął pistolet Alice i przywiązał jeden koniec linki do jego kabłąka. Naddał około pięciu metrów linki, zaciskając na niej lewą dłoń, po czym cisnął pistolet prawą, celując między linię telefoniczną a kabel elektryczny. Pistolet przeleciał między przewodami i opadł, zaczepiając linkę o kabel. Reacher spuścił pistolet na ziemię, odwiązał go i wrzucił do samochodu. Potem szarpnął mocno linkę. Linia telefoniczna zerwała się przy puszcze połączeniowej i opadła na ziemię.

Zwinał linkę holowniczą i rzucił ją z powrotem w miejsce na nogi. Wsiadł do samochodu, skręcił w bramę i wjechał podjazdem przed pomalowany na biało dom. Szerokie stopnie prowadziły do podwójnych drzwi frontowych.

Zatrzymał samochód, wysiadł i wszedł po schodach. Nacisnął przycisk po prawej stronie drzwi; w głębi budynku rozległ się dzwonek.

Zaczekał. Miał właśnie zadzwonić ponownie, kiedy otworzyła się lewa połówka drzwi. Stała przed nim służąca ubrana w szary uniform.

- Chciałbym się widzieć z Lyndonem Brewerem - powiedział Jack Reacher.

- Był pan umówiony? - spytała.

- Tak.

- Nic mi nie mówił.

- Pewnie zapomniał - zauważył ironicznie Reacher. - Nie jest przecież zbyt rozgarnięty. Twarz jej stężała. Nie z niesmaku. Starła się powściągnąć uśmiech.

- Kogo mam zapowiedzieć?

- Rutheford B. Hayes - powiedział Reacher.

Służąca zawahała się, ale po chwili na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- To nasz dziewiętnasty prezydent. Ten po Ulyssesie S. Grancie. Urodził się w osiemset dwudziestym drugim roku w Ohio.

- To mój przodek - wyjaśnił Reacher. - Proszę powiedzieć panu Brewerowi, że pracuję w banku w San Antonio, właśnie znaleźliśmy akcje jego dziadka warte milion dolarów.

Służąca odeszła, Reacher zaś wszedł przez drzwi i ujrzał, jak wspina się po schodach po przeciwnej stronie holu. Hol miał rozmiary boiska do koszykówki i cały wyłożony był boazerią z pomalowanego na złoto drewna. Po chwili służąca pojawiła się ponownie.

- Zaprasza pana do siebie - powiedziała uprzejmie - Siedzi teraz na balkonie.

Na piętrze mieścił się hol takich samych rozmiarów z takim samym wystrojem. Drzwi prowadziły na balkon na tyłach budynku, skąd roztaczał się widok na całe hektary łąk. Około sześćdziesięcioletni mężczyzna o byczym karku siedział na wiklinowym fotelu, niewielki stolik stał po jego prawej stronie. Na stoliku dzbanek oraz szklanka napełnione płynem wyglądającym jak lemoniada.

- Pan Hayes? - odezwał się.

Reacher podszedł do niego i usiadł, nie czekając na zaproszenie.

- Ma pan dzieci? - spytał.

- Trzech synów - odparł Brewer.

- Są w domu?

- Wszyscy wyjechali pracować.

- Pana żona?

- Pojechała w odwiedziny do Houston.

- A więc, jest pan tu sam ze służącą?

- Czemu pan pyta?

Był zniecierpliwiony i zaintrygowany, ale uprzejmy, jak każdy, kto ma za chwilę otrzymać milion dolarów.

- Jestem bankierem - odparł Reacher. - To rutynowe pytania.

- Niech mi pan coś powie o tych akcjach - poprosił Brewer.

- Nie ma żadnych akcji. Okłamałem pana.

Brewer najpierw oniemiał. Potem na jego twarzy odbiło się rozczarowanie. Wreszcie wpadł w gniew.

- To co pan tu robi? - ryknął.

- To nasza metoda. Tak naprawdę zajmuję się pożyczkami. Ktoś może potrzebować pieniędzy, a nie chce, żeby dowiedział się o tym jego personel.

- Nie chcę pożyczać żadnych pieniędzy, panie Hayes. Jestem majątnym człowiekiem.

- Naprawdę? A nam doniesiono, że nie wywiązuje się pan ze swoich zobowiązań.

Brewer powoli domyślił się, o co chodzi.

- Maria! - zawołał.

Służąca pojawiła się bezszelestnie.

- Dzwon natychmiast po policję - polecił jej Brewer. - Niech aresztują tego człowieka.

Zniknęła w pokoju za plecami Brewera. Reacher słyszał, jak kilkakrotnie wdusza widelki.

- Telefon nie działa! - zawołała.

- Niech pani poczeka na dole! - krzyknął do niej Reacher.

- Czego pan chce? - spytał Brewer.

- Chcę, by się pan wywiązał z wyznaczonych przez sąd zobowiązań. Pewna rodzina znalazła się w tarapatkach, spotkało ich nieszczęście. Serce mnie boli, kiedy widzę, jak ludzie tak cierpią.

- Skoro im się tu nie podoba, to fora ze dwora, niech wracają do Meksyku, gdzie ich miejsce.

Reacher spojrział ze zdumieniem na swojego rozmówcę.

- Ale ja wcale nie mówię o nich - sprostował. - Tylko o pańskiej rodzinie. Jeśli mnie pan rozzłości, im wszystkim stanie się krzywda. Wypadek samochodowy tu, brutalny napad tam. Dom może spłonąć. Cały łańcuszek nieszczęść, jedno po drugim. Nie przewidzi pan, co dalej spotka pańską rodzinę. Będzie pan odchodził od zmysłów.

- Nie ujdzie to panu na sucho.

- Na razie mi uchodzi. Proszę mi podać dzbanek.

Brewer zawahał się, ale w końcu podniósł dzbanek i podał go mechanicznie. Reacher wziął go od niego. Kryształ z wymyślnie rżniętym wzorem, wart pewnie z tysiąc dolarów. Wyrzucił go przez poręcz balkonu. W patio rozległ się głośny brzęk.

- Ale niezdara ze mnie - powiedział.

- Każę pana aresztować! - rozszrożył się Brewer. - Niszczenie czyjejs własności to przestępstwo.

- Niby, czemu? Przecież według pana prawo nie obowiązuje. A może tylko pan jest nietykalny? Wydaje się panu, że jest pępkiem tego świata?

Brewer zamilkł. Reacher wstał, podniósł swoje krzesło i wyrzucił je za barierkę.

- Proszę mi dać czek na dwadzieścia tysięcy dolarów - powiedział. - Stać pana na to. Jest pan majątny.

- Chodzi o zasadę - upierał się Brewer. - Nie powinno ich tu być.

- A pan powinien? Niby czemu? Oni byli tu pierwsi.

- Ale przegrali. Z nami.

- A teraz pan przegrywa. Ze mną. Dawaj pan czek - rozkazał. -

Nim puszcza mi nerwy.

Brewer wahał się. Pięć sekund. Dziesięć. W końcu westchnął.

- Zgoda - powiedział, ruszył przodem do gabinetu i podszedł do biurka.

- Wyplata w gotówce - zastrzegł Reacher.

Brewer wypisał czek.

- Lepiej, żeby miał pokrycie. W przeciwnym razie zrzucę pana z tego balkonu.

REACHER przykręcił z powrotem tablice rejestracyjne chryslerowi, gdy tylko oddalił się na bezpieczną odległość od domu Brewera. Wrócił do Pecos, gdzie zgłosił się po garbusa Alice. Zapłacił czterdzieści dolarów, ale jadąc, wcale nie miał pewności, czy mechanicy kiwnęli, choć palcem. Sprzęgło chodziło równie ostro jak poprzednio. Wóz dwa razy mu zgasł w drodze do kancelarii..

Zostawił samochód na parkingu za budynkiem, włożywszy mapy oraz pistolet do schowka na rękawiczki, gdzie je znalazł. Wszedł do dawnego pomieszczenia sklepowego, gdzie zastał Alice przy telefonie.

Na jego widok zakryła słuchawkę dłonią.

- Mamy chyba kłopoty - powiedziała. - Hack Walker chce się z panem spotkać.

- Ze mną? - zdziwił się. - Po co?

- Lepiej niech pan sam z nim porozmawia.

Wróciła do przerwanej rozmowy telefonicznej. Wyjął z kieszeni czek na dwadzieścia tysięcy dolarów i położył go na blacie biurka. Na jego widok zaniemówiła. Rzucił na biurko kluczyki i ruszył do sądu.

BIURO Prokuratora Okręgowego w Pecos zajmowało całe pierwsze piętro budynku sądowego. Na otwartej przestrzeni za drzwiami mieścił się sekretariat. Dalej ciągnęły się trzy gabinety, jeden prokuratora i dwa dla jego zastępczyń. Wszystkie ściany wewnętrzne

oddzielające gabinety sekretariatu były przeszklone na wysokości od pasa w górę, za szybami wisiały żaluzje.

W sekretariacie stały dwa biurka, oba zajęte, przy dalszym siedziała kobieta w średnim wieku, przy bliższym zaś młodzieniec. Chłopak uniósł wzrok i zrobił minę, jakby chciał zapytać: „W czym mogę panu pomóc?”.

- Hack Walker chciał mnie widzieć - wyjaśnił Reacher.

- Pan Reacher? - spytał młodziak.

Reacher kiwnął głową. Chłopak wskazał gabinet w rogu. Na szybie w drzwiach wisiała tabliczka z napisem: HACK WALKER, PROKURATOR OKRĘGOWY. Od wewnątrz szybę zasłaniała żaluzja. Reacher zapukał raz i wszedł, nie czekając na zaproszenie.

Gabinet był zagracony szafkami na akta, na biurku piętrzyły się papierzyska, stał tam też komputer i telefony. Walker siedział w fotelu, trzymając oburącz ramkę ze zdjęciem. Był czymś wyraźnie stropiony.

- Czym mogę panu służyć? - spytał Reacher.

Walker spojrział na niego znad fotografii.

- Proszę usiąść.

Przed biurkiem stało krzesło dla petentów. Reacher ustawił je bokiem, żeby mieć więcej miejsca na nogi.

Walker postawił na biurku zdjęcie, tak by obaj mogli je widzieć. Przedstawiało trzech młodych mężczyzn opierających się o zdezelowanego pick-upa.

- To ja, Slup i Al Eugene - wyjaśnił. - Al właśnie zaginął, a Slup nie żyje.

- Nie ma żadnych wiadomości na temat Eugene'a?

Walker potrząsnął głową.

- Żadnych.

- Czym więc mogę panu służyć? - powtórzył pytanie Reacher.

- Właściwie sam nie wiem. Może niech mnie pan przez chwilę posłucha. Czy zna pan mechanizmy działające w Teksasie?

- Niespecjalnie.

- To nietypowy stan. Wielu bogaczy, ale jednocześnie wielu biedaków. Biedni potrzebują adwokatów z urzędu, ale w Teksasie brakuje instytucji przydzielającej obrońców z urzędu. Więc sędziowie sami wyznaczają biedakom adwokatów. Wybierają ich z dowolnej kancelarii i sami ustalają honoraria. Nikt nie ma wątpliwości, że to

kumoterstwo. Chcę zostać sędzią, żeby zrobić z tym w końcu porządek, a tu nagle sprawa Greer krzyżuje mi szyki. Mnie osobiście jako prokuratorowi okręgowemu, a także kandydatowi na stanowisko sędziego.

- Powinien się pan odciąć od tej sprawy.

Walker uniósł wzrok.

- To prawda, ale nadal jestem prokuratorem okręgowym, co niesie pewne konsekwencje.

- Czy dowiem się w końcu, na czym polega pański problem?

- Nie widzi pan? Mam posłać Latynoskę przed pluton egzekucyjny. Jeśli to zrobię, mogę zapomnieć o wyborach. W naszym hrabstwie żyje wielu Latynosów. Żądanie kary śmierci dla kobiety z mniejszości narodowej to koniec mojej kariery.

- Niech więc jej pan nie oskarża. Działała w samoobronie, proste i jasne.

- Przeanalizujmy to - zaproponował Walker. - Obrona przed brutalnym mężem, czemu nie, to ma ręce i nogi, ale w takim wypadku musiałyby działać w afekcie. Wykluczona premedytacja. A Carmen zrobiła to z zimną krwią. Kupiła broń, gdy dowiedziała się, że mąż wraca do domu. Dokumenty przechodzą przez moje biuro, więc wiem, że tak właśnie było.

Reacher nie odzywał się.

- Znam ją - dodał Walker. - Znam ją jak zły szeląg. Slup był moim przyjacielem, więc znam ją od tak dawna, jak on, a to w zupełności mi wystarczy.

- Co z tego wynika?

Walker potrząsnął głową.

- Powiedziała pewnie panu, że pochodzi z rodu plantatorów winorośli mieszkających na północ od San Francisco. Że poznała Slupa podczas studiów na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles, że zaszła z nim w ciążę i musieli się pobrać, prawda?

Reacher milczał.

- Opowiedziała panu, że Slup ją bił, odkąd zaszła w ciążę. Powiedziała, że odniosła poważne obrażenia, które Slup kazał jej tłumaczyć upadkami z konia. Twierdziła, że to ona doniosła na niego do urzędu skarbowego, przez co tym bardziej bała się powrotu Slupa do domu.

Reacher ani pisnął.

- No dobrze - ciągnął Walker. - Ściśle mówiąc, wszystko, co panu powiedziała, to tylko dowody ze słyszenia, których nie można wykorzystać w sądzie. W takiej sytuacji jej adwokat będzie się oczywiście starał, by sąd uwzględnił te dowody, ponieważ chodzi o stan jej umysłu. Są przesłanki, że sąd dopuści te dowody. Rzecz jasna, większość prokuratorów okręgowych sprzeciwiłaby się, ale nie my. Dopuszczamy takie dowody, ponieważ przemoc w rodzinie często odbywa się potajemnie.

- W takim razie, w czym problem?

- Problem w tym, że jeśli będzie pan zeznawał, wezmą pana w krzyżowy ogień pytań.

- Co z tego?

Walker wbił wzrok w biurko.

- Podejrzewam, że ona jednak działała z premedytacją. Planowała to zabójstwo, chciała pana wynająć do mokrej roboty, zaferowała nawet seks w ramach łapówki.

Reacher się nie odzywał.

- Jeśli się zaś nie mylę - powiedział Walker - to wszystko wyjdzie podczas szczegółowego przesłuchania. To ją pograży, bo skoro naopowiadała panu takich rzeczy, to jej wiarygodność staje pod znakiem zapytania, prawda? Sprawdzamy to, zadając panu pytania, na które znamy odpowiedzi. Najpierw zupełnie niewinne, kim jest, skąd pochodzi i pan nam powtórzy wszystko, co panu powiedziała, a wtedy okaże się, że jej wiarygodność nie jest warta funta kłaków. Potem czeka ją już tylko śmiertelny zastrzyk.

- Dlaczego?

- Ponieważ znam tę kobietę i wiem, że lubi zmyślać. Nieraz słyszałem jej opowieści. Mówiła panu, że pochodzi z bogatej rodziny posiadającej winnice?

Reacher kiwnął głową.

- Mniej więcej. A nie?

- Pochodzi z dzielnicy latynoskiej w południowo-centralnym Los Angeles. Nikt nic nie wie o jej rodzicach. Ona pewnie sama ich nie zna.

Reacher wzruszył ramionami.

- To jeszcze nie jest przestępstwo, że ktoś zataja swoje pochodzenie z nizin społecznych.

- Nigdy nie studiowała na Uniwersytecie Kalifornijskim. Była striptizerką. Słup poznał ją, kiedy występowała na balandze studenckiej. Wpadła mu w oko. Zamieszkała z nim i zaszła w ciążę. Słup zachował się wówczas bardzo przyzwoicie.

- Nawet jeśli to prawda, nie miał prawa jej bić - powiedział Reacher.

- Jasne - odparł Walker. - Prawda jest jednak taka, że on jej wcale nie bił. Znałem dobrze Słupa, Można o nim wiele powiedzieć, nie tylko dobre rzeczy. Interesy załatwiał dość niedbale, nie zawsze uczciwie. Był jednak teksańskim dżentelmenem, który za nic na świecie nie podniesie ręki na kobietę.

- A co innego mógłby pan powiedzieć? Byliście wszak przyjaciółmi.

Walker kiwnął głową.

- Rozumiem pańskie rozumowanie, ale brak tu punktu zaczepienia. Nie ma przekonujących dowodów, świadków, dosłownie nic. Poprosimy, rzecz jasna, o analizę jej karty choroby, ale nie wiązałbym z tym zbyt wielkich nadziei.

- Sam pan mówił, że przemoc w rodzinie odbywa się czasem absolutnie potajemnie.

- Ale żeby aż tak? Słup i Carmen codziennie spotykali się z przyjaciółmi. Nim pan powiedział swoją wersję Alice Aaron, nikt w Teksasie nie słyszał nawet najbardziej błahej plotki na temat przemocy w ich małżeństwie. Jest pan jedyną osobą, która wie coś na ten temat. Jeśli zechce pan zeznawać, przy okazji będzie pan musiał opowiedzieć inne rzeczy, które dowiodą, że kłamie. Choćby to, czy twierdziła, że sama doniosła na męża do urzędu skarbowego?

- Faktycznie. Zadzwoiła do nich. Mają do tego specjalny wydział.

Walker potrząsnął głową.

- Złapali go na podstawie informacji z banku. Wyszło to przypadkowo podczas kontroli kogoś innego. Wiem to na pewno, ponieważ Słup z miejsca zgłosił się do Ala Eugene'a, a Al poprosił mnie wówczas o radę. Carmen kłamie, panie Reacher.

- Więc, po co ta rozmowa?

- Bo nie jestem mściwym człowiekiem, który za wszelką cenę chce chronić dobre imię przyjaciela. Jeżeli zrobiła to z wyrachowania, na przykład dla pieniędzy, musi ponieść karę. Jeśli jednak historia choroby da się choć trochę nagiąć, będę jej bronił, jako ofiarę przemocy w rodzinie.

Reacher nie odezwał się.

- No dobrze, rzeczywiście nie chcę stracić szansy w wyborach - rzekł Walker. - Albo powiedzmy, że chcę upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Ocalić siebie i ją. Także Ellie.

- Więc, czego pan oczekuje ode mnie?

- Jeśli zgodzi się pan, chciałbym, żeby pan skłamał w czasie rozprawy - powiedział Walker. - Chcę, żeby powtórzył pan wszystko, co mówiła o biciu, i zmienił całą resztę, którą pan od niej usłyszał.

- Sam nie wiem - odparł Reacher.

- Ja również mam wątpliwości. Ale może wcale nie dojdzie do rozprawy. Jeśli uda się odrobnie naciągnąć wyniki badań medycznych, wówczas będzie można wycofać oskarżenie.

- Jest pan pewien?

Walker znów westchnął.

- Oczywiście, że nie jestem. Ale to uratowałoby Carmen. A Słup ją kochał, Reacher. Na swój sposób, którego nikt nie zrozumie. W głowie się nie mieści, ile ciężarów zebrał za tę miłość. Od rodziny, od życzliwej społeczności. Uważam, że chętnie poświęciłby swoje dobre imię, by uratować jej życie.

Reacher wzruszył ramionami i wstał.

- Mam nadzieję, że ta rozmowa zostanie między nami? - powiedział Walker.

Reacher kiwnął głową.

- Jeszcze do niej wrócimy - odparł, obrócił się na pięcie i wyszedł.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- A co się dzieje z Carmen i Słupem? - spytała Alice.

- Przekonała mnie - odparł Reacher. - Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Siedzieli po przeciwnych stronach biurka w kancelarii Alice. Było południe i z nieba lał się taki żar, że całe miasto zmuszone było udać się na sjęstę. Nikt, kto naprawdę nie musiał, nie ruszał się z domu. Alice siedziała rozparta w fotelu, ręce założyła za głowę, ciało jej lśniło od potu. Opalona skóra wyglądała jakby natarta oliwą. Reacherowi koszula lepiła się do ciała. Zastanawiał się, czy będzie w stanie nosić ją przez trzy dni, jak wcześniej zamierzał.

- Czy dokładnie rozumiesz tu wszelkie prawne zawiłości, Reacher? - zapytała, przechodząc na ty

Kiwnął głową.

- Jeśli ją bił, to sknociła sprawę, przygotowując zbrodnię - powiedział z namysłem. - A jeśli nie bił, to zwykły mord. Cokolwiek powie, nikt jej nie uwierzy, bo zmyśla i koloryzuje. I już nic byśmy nie wskórali, gdyby Walkerowi tak nie zależało na stanowisku sędziego.

- Właśnie - potwierdziła Alice.

- Czy lubisz korzystać z takiego łutu szczęścia?

- Nie. Ani z moralnego, ani z praktycznego punktu widzenia - odrzekła. - Może się, dajmy na to, okazać, że Hack ma nieślubne dziecko, wszyscy się o tym dowiedzą i będzie musiał wycofać swoją kandydaturę. Do listopada zostało jeszcze mnóstwo czasu. Liczenie na jego wyborcze zakusy w tej sprawie to jawna głupota. Może nagle przestać być uwikłany w sprawę Carmen, tak, więc potrzebna jest jej mocna obrona.

Reacher uśmiechnął się.

- Jesteś jeszcze bystrzejsza, niż przypuszczałem.

- Nie powinieneś zeznawać w sądzie. Poza twoimi zeznaniami tylko pistolet sugeruje, że działała z zimną krwią. Możemy przekonać sąd, że kupienie broni, a jej użycie to dwie różne sprawy.

Reacher nie odezwał się.

- Właśnie badają broń w laboratorium - dodała. - Robią testy balistyczne i zdejmują odciski palców. Mówią, że broni dotykały dwie osoby. Podejrzewam, że była to ona i pewnie on. Może się mocowali. Może to był wypadek.

Reacher potrząsnął głową.

- Ja jestem tą drugą osobą. Chciała, żebym nauczył ją posługiwać się bronią. Poćwiczyliśmy trochę na otwartej przestrzeni.

- Do diabła, Reacher - zaklęła. - A jeśli cię wezwą do sądu?

- Wtedy pewnie skłamię. To chyba nic straszego.
- Jak wytłumaczysz swoje odciski palców na pistolecie?
- Powiem, że był gdzieś porzucony, a ja niczego nie podejrzewając, oddałem go jej. Będzie to sugerowało, że po kupieniu broni rozmyśliła się.

- Chcesz kłamać pod przysięgą?

- Jeśli to środek prowadzący do celu, czemu nie. A ty?

Kiwnęła głową.

- W takiej sprawie chyba też.

- Od czego więc zaczynamy?

- Najpierw musimy dowieść, że nie działała z premedytacją, a potem udowodnimy, że była bita, na podstawie jej karty choroby. Już wysłałam odpowiednie pisma. Szpitale zwykle dość szybko reagują w sprawach sądowych, więc powinniśmy dostać jej kartę jutro. Skoro obrażenia były wynikiem przemocy, powinna być adnotacja o prawdopodobieństwie takiej przyczyny. Jeśli ława przysięgłych będzie skrupulatnie dobrana, powinna podzielić się po połowie na niepewnych i przekonanych o jej niewinności. Niepewni przejdą po kilku dniach na stronę uznających ją za niewinną. Zwłaszcza, jeśli będą panować takie upały.

Reacher odlepił przeupoconą koszulę od ciała.

- Upały chyba się niedługo skończą?

- Przecież mam na myśli przyszłe lato - wyjaśniła Alice.

Wybałuszył oczy.

- Chyba żartujesz. A co z Ellie?

Wzruszyła ramionami.

- Trzymaj kciuki za to, żeby w karcie choroby było co trzeba. Jeśli tak będzie, możemy spróbować przekonać Hacka. by ten wycofał oskarżenie.

- Kiedy wybierzesz się na spotkanie z Carmen?

- Po południu. Ale najpierw jadę do banku spieniężyć czek na dwadzieścia tysięcy dolarów. Włożę gotówkę do torby na zakupy, którą zawiozę pewnym szczęśliwym ludziom. Powinieneś pojechać ze mną w charakterze ochroniarza. Nie codziennie noszę przy sobie dwadzieścia kawałków. W samochodzie będzie przyjemny chłodek.

- Okay - zgodził się Reacher.

W BANKU nie byli specjalnie przejęci, wypłacając dwadzieścia patyków w różnych nominałach. Kasjer po prostu przeliczył banknoty trzy razy i włożył je do torby na zakupy z brązowego papieru, którą podała mu Alice. Reacher zaniósł torbę na parking.

Ponieważ wnętrze garbusa rozgrzało się jak piec, musieli chwilę za czekać na zewnątrz.

Alice włączyła klimatyzację i trzymała drzwi otwarte, póki temperatura nie spadła o piętnaście stopni. Wsiedli do samochodu. Alice ruszyła.

- Czy było ci kiedyś tak gorąco? - spytała.

- Może - odparł. - Raz czy dwa. Na pewno w Arabii Saudyjskiej i nad Pacyfikiem.

Spytała go, kiedy był na Bliskim Wschodzie i nad Pacyfikiem. Opowiedział jej dziesięciminutową wersję swojej biografii, ponieważ polubił jej towarzystwo. Pierwsze trzydzieści sześć lat układało się w pasmo kolejnych osiągnięć i postępów, znaczących, jak to w wojsku, awansami i medalami. Ostatnie kilka lat było trudniejsze, jak to bywa. Brak celu, życie w zawieszeniu. Uważał, że w końcu osiągnął wolność, chociaż nie wszyscy tak sądzili. Więc jak zwykle opowiedział swoją historię i pozwolił jej myśleć, co chce.

Ona w zamian uraczyła go swoim życiorysem. Wiele w nim było punktów odniesienia do jego własnych losów. Był synem żołnierza; ona córką prawnika. Zawsze chciała pójść zawodowo w ślady ojca; podobnie jak on. Miała dwadzieścia pięć lat i była mniej więcej na etapie ambitnego porucznika w dziedzinie prawa. Sam był ambitnym porucznikiem w wieku dwudziestu pięciu lat i dobrze pamięta, jak się wówczas czuł.

W pewnej chwili skręciła w wiejską drogę i minęła kilka hektarów pól uprawnych. Była tu zaorana ziemia i prowizoryczny system nawadniający. Do drewnianej konstrukcji przyczepiono druty mające podtrzymywać rośliny, które teraz zmarniały. Krzaki były wyschnięte na wiór, a ziemia jałowa. Ktoś musiał tu poświęcić wiele miesięcy pracy w pocie czoła, której owocem okazało się gorzkie rozczarowanie.

Sto metrów za polem stał niewielki domek, stodoła, oraz rozbita półciężarówka. Alice zaparkowała samochód obok niej.

- Nazywają się Garcia - powiedziała. - Na pewno są w domu.

PIERWSZY raz widział, by dwadzieścia tysięcy dolarów zrobiło takie wrażenie. Dla tych ludzi był to dosłownie podarunek życia. Rodzina Garcia składała się z pięciu osób: rodziców, którzy prawdopodobnie dobiegali pięćdziesiątki, najstarszej córki, około dwudziestu pięciu lat, i dwóch młodszych chłopców. Wszyscy stali, milcząc, w drzwiach wejściowych. Alice radośnie się przywitała, przeszła obok nich i wysypała pieniądze na kuchenny stół.

- Zmienił zdanie - powiedziała po hiszpańsku.

Rodzina stanęła półkolem wokół stołu i długą chwilę w milczeniu spoglądała na pieniądze. Potem zaczęli jeden przez drugiego entuzjastycznie wylizywać swoje plany. Najpierw opłacą rachunek, żeby włączono im telefon, potem elektrykę. Następnie kupią olej napędowy, żeby uruchomić pompę nawadniającą pole.

W dalszej kolejności naprawią ciężarówkę i pojadą po nasiona oraz nawóz.

Reacher rozejrzył się po salonie, w którym czekał. Półkę na długości metra wypełniały tomy encyklopedii, a obok stały liczne figurki świętych. Na ścianie wisiało jedno zdjęcie przedstawiające chłopca może czternastoletniego. Ubrany w biały strój do bierzmowania, uśmiechał się nieśmiało.

- To mój najstarszy syn - usłyszał. - Zdjęcie zrobiono, nim opuściliśmy naszą wioskę w Meksyku.

Reacher odwrócił się i ujrzał za sobą panią domu.

- Zabito go w czasie podróży w te strony - wyjaśniła.

Reacher kiwnął głową.

- Słyszałem. Graniczny patrol. Bardzo mi przykro.

- Stało się to dwanaście lat temu. Miał na imię Raoul.

- Jak do tego doszło?

- Polowali na nas nocą przez trzy godziny - podjęła opowieść o dramacie swego życia. - Maszerowaliśmy i biegliśmy; mieli ciężarówkę i ostre reflektory. Rozdzieliliśmy się, Raoul odbiegł ze swoją siostrą. Posłał ją w jedną stronę, a sam ruszył w drugą, prosto w te reflektory. Wiedział, że byłoby gorzej, gdyby schwytali dziewczynę. Ale oni nawet nie starali się go aresztować. Zastrzelili jak psa i odjechali.

- Bardzo mi przykro - powtórzył Reacher.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- To były złe czasy i złe miejsce. Ponad dwadzieścia osób zginęło w ciągu roku w tamtej okolicy.

Z trudem przywołała uśmiech i zaprosiła Reachera do kuchni, by świętował razem z nimi.

- Mamy tequilę - powiedziała - którą trzymaliśmy specjalnie na tę okazję.

Córka napełniała stojące na stole kieliszki. Dziewczyna, którą uratował Raoul, była dziś dorosłą panną.

Tequila paliła w gardle, a obecność Raoula była wyczuwalna prawie na każdym kroku, podziękowali, więc grzecznie za drugą kolejkę i zostawili państwa Garcia, by świętowali dalej we własnym gronie. Ruszyli z powrotem do Pecos.

- Czy wszczęto śledztwo w sprawie tego granicznego patrolu? - zapytał Reacher po drodze.

Alice kiwnęła głową.

- Wedle akt, śledztwo było szczegółowe. Zatuszowali sprawę. Nikogo nie postawiono w stan oskarżenia.

- Ale nie zabili już nikogo więcej?

- Skończyło się tak samo nagle, jak się zaczęło. Przynajmniej ich wystraszyli.

KIEDY wrócili do Pecos, całe biurko Alice pokryte było samoprzylepnymi karteczkami z odręcznymi notatkami. Przeczytała wszystkie wiadomości.

- Jadę do aresztu na spotkanie z Carmen - rzekła. - Są już wyniki laboratoryjnych badań odcisków palców oraz testów balistycznych. Hack Walker chce się z tobą widzieć w tej sprawie. Wygląda na to, że ma jakiś problem.

- Jasne, że ma - odparł Reacher.

Ruszyli do drzwi i jak najszybciej pokonali rozżarzony chodnik. Rozdzielili się przed budynkiem sądu: Alice podążyła w stronę aresztu, Reacher zaś wszedł po schodach. Stażysta bez słowa wskazał mu gabinet Hacka Walkera. Reacher zastał prokuratora zagłębionego w raporcie technicznym.

- Zabiła go - rzekł krótko. - Badania balistyczne to potwierdziły. Reacher usiadł przed biurkiem.

- Pańskie odciski także były na pistolecie - dodał Walker. - Jest pan zarejestrowany w amerykańskiej bazie odcisków palców. Wiedział pan o tym?

Reacher kiwnął głową.

- Wszyscy wojskowi tam są.

- Więc, może znalazł pan ten pistolet gdzieś porzucony? - zasugerował Walker. - Może podniósł go pan, a potem odłożył w bezpieczne miejsce.

- Może - odparł Reacher.

- Modli się pan czasem?

- Nie.

- Tym razem powinien pan paść na kolana i podziękować.

- Niby komu?

- Powiedzmy stanowym policjantom. Że w czasie zabójstwa był pan w ich radiowozie. Gdyby zostawili pana w baraku, byłby pan podejrzanym numer jeden.

- Dlaczego?

- Pańskie odciski znaleziono na pistolecie - powtórzył Walker. - A także na wszystkich nabojach. Na magazynku oraz pudełku z amunicją. To pan załadował ten pistolet, panie Reacher.

Reacher nie odezwał się.

- Wiedział pan, gdzie się znajduje sypialnia? - spytał Walker. - Rozmawiałem z Bobbym. Powiedział mi, że spędził pan poprzednią noc u niej. Łudził się pan, że jej szwagier będzie siedział w stajni niczym mysz pod miotłą? Pewnie obserwował przez okno, jak wchodzić do sypialni.

- Nie spałem z nią - zastrzegł Reacher. - Spędziłem noc na sofie.

Walker uśmiechnął się.

- Sądzi pan, że ława przysięgłych tak łatwo w to uwierzy? Albo słowom byłej striptizerki? Mało prawdopodobne. Szczęściarz z pana, panie Reacher.

Nie odpowiedział.

Walker westchnął.

- Coraz mocniejsze argumenty przemawiają za tym, że działała z zimną krwią. Najwyraźniej dużo o tym myślała, zaprzyjaźniła się z byłym wojskowym, żeby nauczył ją obsługiwać się bronią. I co ja mam, do diabła, robić?

- To co pan planował. Zaczekajmy na jej kartę choroby.

Walker kiwnął głową.

- Przyślą ją jutro. Wie pan, co zrobiłem? Wynająłem biegłego, który rzuci na nią okiem, chcę, by mnie ktoś przekonał, iż jest choćby cień szansy, że Carmen nie kłamie.

- Niech się pan nie gorączkuje - poradził mu Reacher. - Jutro będzie po wszystkim.

- Mam taką nadzieję.

Biuro Ala Eugene'a ma mi przysłać dokumenty dotyczące finansów Słupa. Jeśli pieniądze nie były motywem, a karta choroby będzie dla nas korzystna, może w końcu przestanę się gorączkować.

- Nie miała pieniędzy - przyznał Reacher. - To była jedna z jej autentycznych bolączek.

- To bardzo dobrze - rzekł Walker. - Jej bolączki rozwiązują moje problemy.

- Powinien pan być bardziej aktywny - zauważył raptem Reacher. - W związku z wyborami. Zrobić coś, co może zyskać poklask.

- Co pan ma na myśli?

- Na przykład odkurzyć sprawę patrolu granicznego. To spodobałoby się ludziom. Właśnie poznałem rodzinę, której syn został przez nich zabity.

Walker potrząsnął głową.

- To stare dzieje.

- Ale nie dla osieroconych rodzin. W ciągu roku zginęło wtedy dwadzieścia kilka osób.

- Przeprowadzono śledztwo w sprawie tego patrolu granicznego - wyjaśnił Walker. - Jeszcze nim ja objąłem urząd, sprawa została zamknięta. Przeglądałem te akta przed laty.

- Ma je pan?

- Jasne. To była grupka zwyrodniałych oficerów, którzy działali na własną rękę, śledztwo miało ich najprawdopodobniej po prostu tylko nastraszyć.

- Rozumiem - zakończył Reacher. - Pańska decyzja.

Wyszedł z biura Walkera i znalazł się na rozgrzanej klatce schodowej, gdzie niemal nie dawało się oddychać. Na chodniku było

jeszcze goręcej. Kiedy dotarł do kancelarii, pot zalewał mu oczy. Zastał Alice siedzącą samotnie przy biurku.

- Już wróciłaś? - spytał zdumiony. - Widziałaś się z nią?

Alice skinęła głową.

- Nie chce, żebym ją reprezentowała.

- Niby, czemu?

- Nie wyjaśniła. Zachowywała się spokojnie i racjonalnie.

- Staralaś się ją przekonać?

- No pewnie, ale bez przesady. Wolałam wyjść, nim się rozżołości i zacznie mnie obrzucać wyzwiskami. Gdyby usłyszał to jakiś postronny świadek, straciłabym twarz. Zamierzam znów się z nią spotkać później.

- Czy powiedziałaś jej, że ja cię przysłałem?

- No jasne. Reacher to, Reacher tamto. Ale to nic nie zmieniło.

- Wróc do niej około siódmej. Kiedy biura na górze opustoszeją, będziesz ją mogła trochę przycisnąć. Pozwól jej nawet rzucać mięsem.

- Dobrze - odparła. - Niech będzie siódma. Gdzie mogę cię wtedy znaleźć?

- Mieszkam w ostatnim motelu przed autostradą. Pokój jedenaście, jestem zameldowany jako Miliard Fillmore.

- Lubisz hałas samochodów?

- Lubię tanioczę. Lubię przybrane nazwiska. Lubię anonimowość.

Uśmiechnęła się bez słowa. Zostawił ją nad papierami i poszedł do pizzerii. Zamówił pizzę z dużą ilością sardeli. Domyślił się, że jego organizm domaga się soli.

KIEDY jadł, zabójcom właśnie podawano przez telefon opis nowej ofiary. Dzwonił mężczyzna o cichym głosie. Podał szczegółowy opis nowego celu - mężczyzny - począwszy od jego imienia i nazwiska, wieku poprzez wyczerpującą charakterystykę wyglądu, aż po listę miejsc, gdzie prawdopodobnie można go spotkać w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

Informację przyjęła kobieta. Wymieniła cenę i czekała, co na nią powie jej rozmówca. Była przygotowana na to, że będzie się targował. Pomyliła się. Powiedział tylko, że przyjmuje warunki i rozłączył się.

GDY zjadł pizzę, Reacher zamówił lody i wypił kawę. Zapłacił i wrócił do swojego pokoju w motelu. Długo stał pod prysznicem, przepłukał ubranie w umywalce i powiesił na krześle, żeby wyschło. Następnie ustawił klimatyzację na maksymalne chłodzenie i położył się na łóżku, czekając na Alice. Spojrzał na zegarek. Pomyślał sobie, że jeśli zjawi się po ósmej, będzie to dobry znak, ponieważ gdyby Carmen zmieniła zdanie, musiałyby, co najmniej godzinę poświęcić na rozmowę. Przymknął oczy, bo chciał się przespać.

O siódmej dwadzieścia usłyszał niepewne pukanie do drzwi. Otworzył owinięty w pasie ręcznikiem. W drzwiach stała Alice. Potrząsnęła tylko głową i weszła do środka.

Przebrała się w czarne spodnie i kurtkę. Spodnie miały bardzo wysoki pas, który prawie stykał się z brzegiem sportowego stanika. Prawie. bo obnażony był trzycentymetrowy skrawek opalonego ciała.

- Spytałam ją, czy chodzi o mnie - powiedziała Alice. - Czy wolałaby mężczyznę? A może Latynosa? Powiedziała, że nikogo nie chce.

- Zwariowała.

- Niewątpliwie - odparła Alice. - Wyjaśniłam jej położenie. Tak na wszelki wypadek, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości. Ale to nic nie dało.

- Daj mi włożyć spodnie - poprosił Reacher.

Zniknął w łazience, naciągnął spodnie i wrócił.

- Próbowałam wszelkich sposobów - opowiadała Alice. - Powiedziałam, że przywiąż ją do łóżka. Opisałam przebieg wstrzyknięcia trucizny. Ale to wszystko jak rzucanie grochem o ścianę.

- Jak mocno ją naciskałaś?

- Nakrzyczałam trochę na nią, a ona dalej swoje.

- Czy ktoś słyszał, co mówiła?

- Na razie nie, ale martwię się. Teraz pewnie złoży pisemną rezygnację z usług adwokata. A wtedy już nic nie wskóram.

- No i co robimy?

- Musimy ją zignorować i współpracować nadal z Walkerem za jej plecami. Jeśli skłonimy go do wycofania oskarżenia, wówczas wyjdzie na wolność, czy tego chce, czy nie. - Alice zawiesiła głos i rozejrzała się po pokoju. - Nędzny ten pokój - zauważyła.

- Miewałem gorsze.

Znów zamilkła.

- Masz ochotę na kolację?

Objadł się pizzą po uszy, ale skrawek opalonego brzuszka kusił.

- No jasne - odparł. - Gdzie zjemy?

- Może u mnie? - zaproponowała. - Nie lubię jeść na mieście.

Jestem wegetarianką, więc sama sobie gotuję.

Uśmiechnął się.

- Brzmi zachęcająco.

Włożył wilgotną koszulę, zamknął pokój i grzecznie poszedł za nią do samochodu. Przejechała kilkanaście kilometrów do osiedla niskich domków stojących na niewielkim kawałku ziemi. Zaparkowała przed wejściem do swojego. Wewnątrz, na końcu salonu, znajdował się aneks kuchenny. Tanie wypożyczone meble, stosy książek, brak telewizora.

- Wezmę prysznic - powiedziała. - A ty się tu rozgość.

Weszła na piętro. Reacher rozejrzał się po salonie. Na półce z książkami stała fotografia małżeństwa w średnim wieku w srebrnych ramkach. To na pewno rodzice z Park Avenue.

Wróciła po dziesięciu minutach. Zaczesała mokre włosy, włożyła szorty i obcisły T-shirt z napisem: „Harvardzka drużyna futbolowa”. Zdjęła sportowy top. Widział to wyraźnie. Wyglądała olśniewająco.

- Grasz w piłkę nożną? - spytał.

- Moja druga połowa grała - odparła.

Uśmiechnął się na to ostrzeżenie.

- Czy on wciąż gra?

- To kobieta. Judith. Jestem lesbijką. - Przez chwilę spoglądała na Reachera. - Czy to ci przeszkadza?

- Niby czemu?

Alice wzruszyła ramionami.

- Niektórym przeszkadza.

- Ale nie mnie. Czym się zajmuje Judith?

- Też jest prawniczką. Pracuje obecnie w Missisipi.

- Ten sam powód?

Kiwnęła głową.

- Pięcioletni plan pokuty.

- Więc wśród prawników są jeszcze porządni ludzie.

- Na pewno nie masz nic przeciwko? - spytała. - To będzie zwykła kolacja z nową znajomą, po której wrócisz sam do hotelu.

- Nie spodziewałem się niczego więcej - skłamał.

Kolacja była wyśmienita. Podała domową potrawę z mielonymi orzechami, serem i cebulą. Pomógł jej pozmywać naczynia, a potem rozmawiali do jedenastej.

- Odwiozę cię - zaproponowała.

Była bosa w domowych pieleszach, więc pokręcił głową.

- Przejdę się. Kilkukilometrowy spacer dobrze mi zrobi. Obiecał, że przyjdzie do kancelarii rano i pożegnał się.

WSTAŁ wczesnym rankiem, przepłukał ubranie i włożył mokre na siebie. Wyszło, nim dotarł do kancelarii adwokackiej. Rozgrzane pustynne powietrze wchłonęło całą wilgoć, materiał stał się sztywny jak wykrochmalone płótno.

Alice już siedziała za biurkiem, ubrana w czarną sukienkę w kształcie litery A, bez rękawów. Stażysta z biura Walkera stał przed nią z przesyłką FedExu w ręku. Gdy Reacher podszedł bliżej, położył paczkę na biurku.

- Dokumentacja choroby Carmen Greer - wyjaśnił. - To są oryginały, pan Walker wziął kopie. Zaprasza państwa na spotkanie o wpół do dziesiątej.

- Przyjdziemy - powiedziała Alice.

Stażysta zostawił przesyłkę, Reacher usiadł na fotelu dla petentów. Paczka była znacznie chudsza, niż się spodziewał.

Alice wysypała jej zawartość na blat. Były tam zdjęcia rentgenowskie oraz cztery osobne diagnozy, najstarsza sprzed sześciu lat. Alice wzięła najpierw najstarszą.

- Zobaczymy, co tu mamy.

Raport dotyczył narodzin Ellie. Były tam różne informacje ginekologiczne, ale żadnej konkretnej wzmianki o siniakach na twarzy czy rozciętej wardze.

W drugiej diagnozie znalazła się informacja o dwóch pękniętych żebrach. Pochodziła z wiosny, piętnaście miesięcy po porodzie. Lekarz dyżurny zapisał, że pacjentka zgłosiła, iż koń ją zrzucił z grzbietu i upadła na górną barierkę płotu.

- I co o tym myślisz? - spytała Alice.

- Może to jakiś trop - zasugerował Reacher.

Trzecia diagnoza pojawiła się pół roku później. Opisano w niej poważne stłuczenie prawego podudzia. Ten sam lekarz zapisał, że spadła z konia, uderzając gołenią w przeszkodę, której koń nie zdołał prze skoczyć.

Czwarta diagnoza została sporządzona dwa i pół roku później, czyli dziewięć miesięcy przedtem, nim Slup trafił do więzienia. Dotyczyła złamanego obojczyka. Pojawiły się zupełnie nowe nazwiska lekarzy. Najwyraźniej zmienił się personel na izbie przyjęć. Nowy lekarz dyżurny pozostawił bez komentarza to, że Carmen zgłosiła upadek z konia na kamienie. Niezwykle szczegółowo odnotował obrażenia pacjentki.

- Coś mało tego, Alice - powiedział, kręcąc głową Reacher. - Mamy tu żebra i obojczyk, a ona mówiła, że złamał jej też rękę. I szczękę. Twierdziła, że wstawiono jej trzy zęby Wy tłumaczenia są dwa. Pierwsze, że w aktach choroby panuje bałagan.

Alice potrząsnęła głową.

- Mało prawdopodobne.

- Zgadzam się - przytaknął. - A to by z kolei znaczyło, że ona, niestety, kłamie.

Alice nie odzywała się przez dłuższą chwilę.

- Powiedzmy, że trochę koloryzowała. Wiesz, żeby cię usidlić. Żeby mieć pewność, że jej pomożesz.

Kiwnął niepewnie głową i spojrzął na zegarek.

- Sprawdźmy, co myśli o tym Hack.

W BIURZE Walkera czekał mężczyzna około siedemdziesiątki. Walker, bez marynarki, siedział całkowicie nieruchomo na fotelu, podpierając głowę rękoma. Miał na biurku przed sobą kopie diagnoz lekarskich jedną obok drugiej, wpatrywał się w nie, jakby napisano je w obcym języku. Spojrzął na nowo przybyłych obojętnie i wskazał jakby od niechcienia swojego gościa.

- Oto profesor Cowan Black - powiedział. - Wybitny przedstawiciel medycyny sądowej.

Alice uściśnęła mu dłoń.

- Miło pana poznać.

Przedstawiła Reachera i oboje przystawili sobie krzesła do biurka.

- Kartę choroby przysłano z samego rana - powiedział Walker. - Wszystko, co mieli w aktach teksańskich, czyli dokumenty z jednego tylko szpitala. Osobiście zrobiłem kserokopie i przesałem wam oryginały. Doktor Black przybył przed pół godziną i przestudiował już wszystkie kopie. Chciałby teraz obejrzeć zdjęcia rentgenowskie, których nie dało się skopiować.

Reacher podał Blackowi paczkę FedExu, doktor wyjął ze środka trzy zdjęcia: żeber, nogi oraz obojczyka. Patrzył na nie pod światło, studiując kolejno. Potem włożył je do odpowiednich kopert.

Walker wysunął się na skraj fotela.

- Doktorze Black, czy jest pan już gotów podać nam swą wstępną opinię? - Głos miał oficjalny, słychać w nim było napięcie.

Black sięgnął po pierwszą kopertę.

- To rutynowy poród.

Przeszedł do obrażeń żeber. Wyjął ponownie zdjęcie i wskazał na nim pewne obszary.

- Widać tu wszędzie naciągnięte i porozrywane ścięgna. Uderzenie było silne, zadane szerokim tępym narzędziem.

- Jakim dokładnie narzędziem? - spytał Walker.

- Było to coś długiego, twardego i zaokrąglonego, o średnicy około trzynastu-piętnastu centymetrów. Mogła to być na przykład poręcz od balustrady lub ogrodzenia.

- Na pewno nie był to kopniak?

Black potrząsnął głową.

- Nie - odparł. - W czasie kopnięcia wielka siła uderza w niewielki rejon, z którym styka się noga. Widać by było pękniętą kość, ale na pewno nie porozrywane ścięgna.

- A co z obrażeniami goleni? - dopytywał Walker.

Black otworzył третią kopertę.

- Kształt potłuczenia znów wskazuje na uderzenie długim, twardym i zaokrąglonym przedmiotem - rzekł. - Znowu mogła to być barierka, a może rura, która uderzyła z ukosa w przód goleni.

- Czy mogło to być uderzenie zadane kawałkiem rury?

Black znów wzruszył ramionami.

- Jeśli napastnik stał za kobietą i jakimś sposobem udało mu się unieść rurę nad nią i uderzyć prawie równolegle do nogi. Cios musiałby zostać zadany oburącz, bo nikt nie utrzyma w jednej dłoni rury o średnicy piętnastu centymetrów. Musiałby prawdopodobnie stać na krześle i niezwykle skrupulatnie ustawić kobietę przed sobą. Nie brzmi to zbyt przekonująco, prawda?

Walker nie odzywał się przez chwilę.

- A co z obojczykiem? - spytał.

Black wziął do ręki ostatnią diagnozę.

- Opis jest niezwykle szczegółowy - powiedział. - Od razu widać, że badał ją doskonały lekarz.

- Co wynika z opisu?

- To typowa kontuzja - ocenił Black. - Obojczyk jest jak wyłącznik automatyczny. Osoba w czasie upadku odruchowo podpira się rękoma. Padamy całym ciężarem ciała, który wyzwała siłę wędrującą poprzez ręce i staw barkowy. Gdybyśmy nie mieli obojczyków, siła ta dotarłaby do szyi i najprawdopodobniej złamała kark, powodując paraliż. Jednak ewolucja zawsze wybiera mniejsze zło. Obojczyk się łamie i rozprasza siłę uderzenia. Mało to przyjemne i dość bolesne, ale na pewno nie zagraża życiu.

- Upadek to na pewno tylko jedna z możliwości - zasugerował grzecznie Walker.

- Najbardziej prawdopodobna - odrzekł Black, - I prawie zawsze jedyna.

Nikt nic nie mówił.

- No dobrze - zmierzał do podsumowania Walker. - Ujmijmy to tak: potrzebuję dowodu na to, że owa kobieta była bita. Czy widzi pan tu taki?

Black potrząsnął głową.

- Nie. To tylko pechowa amazonka. Nic więcej tu nie widzę.

- Bez żadnej wątpliwości? - pytał dociekliwie Walker. - Choćby najmniejszej?

- Przykro mi, jestem tego absolutnie pewny.

Gość zebrał diagnozy i włożył je ponownie do paczki FedExu. Wręczył ją Reacherowi, który siedział najbliżej. Potem powstał i niespiesznym krokiem opuścił gabinet.

NA KLATCE schodowej panował zaduch, na dworze skwar. Reacher dotknął ramienia Alice.

- Czy macie w tym mieście dobrego jubilera?

- Pewnie tak - odparła. - Dlaczego pytasz?

- Chciałbym wypożyczyć przedmioty osobiste Carmen. Wciąż jesteś jej adwokatem, póki nikt się nie dowie, jaką podjęła decyzję. Zaniesiemy jej pierścionek do wyceny. Wtedy przekonamy się, czy ta kobieta mówi choć odrobinę prawdy.

- Masz jeszcze wątpliwości?

- Jestem żołnierzem. W wojsku najpierw sprawdzamy, a potem sprawdzamy jeszcze raz.

- No dobrze - zgodziła się. - Skoro taka twoja wola.

Obeszli budynek, pobrali pasek ze skóry jaszczurki oraz pierścionek należący do Carmen i pokwitowali odbiór. Potem zaczęli rozglądać się za jubilerem. Znaleźli odpowiedni zakład po dziesięciu minutach.

W sklepie zastali przygiętego wiekiem mężczyznę. Nie wyglądał już na bystrzaka, jak pewnie przed czterdziestu laty, ale wciąż był obrotny. Reacher dostrzegł błysk w jego oku. Gliny? Po chwili zorientował się, że facet sam odpowiedział sobie przecząco. Ani Alice, ani Reacher nie wyglądali na policjantów. Dziewczyna wyjęła pierścionek i powiedziała, że to rodzinny spadek, rozważa jego sprzedaż, o ile dostanie dobrą cenę.

Mężczyzna przybliżył klejnot do lampy i nałożył na oko lupkę. Obracał kamień w lewo i prawo. Wziął kartkę, w której znajdowały się dziurki różnej wielkości i przypasowywał kamień tak długo, aż włożył go do dziurki odpowiadającej mu wielkością.

- Dwa i dwadzieścia pięć karata - zawyrokował. - Porządnie oszlifowany. Ma dobry kolor. Nie jest może do końca przejrzysty, ale nie szkodzi. To niekiepski kamień. Mogę zapłacić dwadzieścia tysięcy - powiedział jubiler.

- Dwadzieścia tysięcy dolarów?

Mężczyzna uniósł dłonie w obronnym geście.

- Wiem, wiem. Ktoś wam pewnie mówił, że wart jest więcej. Może i tak, w detalu, w jakimś szykownym salonie, powiedzmy w Dallas. Ale my tu jesteśmy w Pecos.

- Muszę się jeszcze zastanowić - powiedziała Alice.

- Dwadzieścia pięć? - rzucił jubiler. - Więcej dać nie mogę.

- Przemyślę to jeszcze - powtórzyła Alice.

Przystanąli na chodniku przed salonem jubilerskim. Alice otworzyła torebkę i schowała pierścionek do zamykanej na zamek przegródki.

- Skoro on mówi dwadzieścia pięć, to pewnie wart jest z sześćdziesiąt - kalkulował Reacher. - Na pewno nie oszwabiłby sam siebie.

- A więc, Carmen robi nas w trąbę - zawyrokowała Alice.

Należało rzecz jasna rozumieć, że to jego robi w trąbę.

- Chodźmy - powiedział.

Szli w skwarze w kierunku zachodnim do kancelarii.

- Chcę sprawdzić jeszcze jedną rzecz - powiedział, przystając w drzwiach. - Jest świadek, z którym możemy porozmawiać.

Westchnęła, okazując lekkie zniecierpliwienie.

- Świadek?

- Jeśli działo się w rodzinie coś złego, Ellie na pewno będzie o tym wiedziała. To bystra dziewczynka.

Alice stała przez moment nieruchomo jak posąg. Potem zajrzała do środka przez okno. W biurze kłębił się tłum petentów.

- To byłoby nie fair wobec nich - powiedziała. - Pożyczę ci znów samochód i sam jedź do Ellie.

Potrząsnął głową.

- Potrzebuję twojej opinii. Jesteś adwokatem. Nie dostanę się bez ciebie do szkoły. Ty masz odpowiednią pozycję.

Nie odzywała się przez chwilę.

- Niech będzie - powiedziała. - Umowa stoi.

- To już ostatnia przysługa, o jaką cię proszę. Obiecuję.

- WŁAŚCIWIE dlaczego to robisz? - spytała.

Jechali żółtym garbusem na południe od Pecos.

- Bo byłem kiedyś detektywem - odparł.

- No dobrze. Detektywi prowadzą śledztwa. Tyle wiem. Ale czy nie kończą nigdy dochodzenia? Kiedy już znają odpowiedź?

- Detektyw nigdy nie ma pewności - sprzeciwił się. - Domyśla się, zgaduje. W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach to domysł. Na temat ludzi. Dobry detektyw powinien mieć intuicję.

- Czy myliłeś się kiedyś przedtem?

- No pewnie. Jednak nie sądzę, żebym tym razem był w błędzie.
Znam się na ludziach, Alice.

- Podobnie jak ja - rzuciła przekornie. - Wiem na przykład, że Carmen Greer nabiła cię w butelkę.

Nie odezwał się więcej. Obserwował ją za kierownicą i spoglądał za okno. Trzymał na kolanach paczkę FedExu. Daremnie się nią wachlował, oglądając jednocześnie etykiety z jednej i drugiej strony: nadawca, adresat, waga w kilogramach - jeden przecinek osiemnaście - opłata, wczorajsza data. Potrząsnął głową i rzucił paczkę na tylne siedzenie.

Przyjechali pod szkołę, Alice zaparkowała i oboje weszli do budynku. Wyszli po minucie. Ellie Greer nie było w szkole, poprzedniego dnia też nie przyszła.

- Co się dziwić - powiedziała Alice. - Dziecko to wszystko boleśnie przeżywa.

Reacher kiwnął głową.

- No, to w drogę.

Została nam tylko godzina jazdy na południe.

- Wspaniale - odrzekła Alice.

Wsiedli z powrotem do garbusa i przejechali kolejne sto kilometrów, nie zamieniwszy ze sobą ani słowa. Reacher rozpoznawał punkty orientacyjne. Ujrzał stare pole naftowe daleko na horyzoncie po lewej. Greer Trzy.

- To już niedaleko.

Alice zwolniła, zza mgiełki wyłoniła się brama. Wjechała w nią i zaparkowała przy schodkach na ganek. Panowała dokoła cisza, ale domownicy musieli być w środku, ponieważ wszystkie samochody stały rzędem w garażu.

Wysiedli i przystanęli na chwilę za otwartymi drzwiami wozu, jakby się chcieli przed czymś schować. Następnie wspięli się po schodkach i Reacher zapukał do drzwi. Otworzyły się natychmiast. Pojawiła się w nich Rusty Greer z karabinem kaliber 5,6 mm w dłoni. Nie odzywała się chwilę, spoglądając na niego.

- To pan - rzekła wreszcie. - Myślałam, że to Bobby.

- Zgubił się? - spytał Reacher.

Rusty wzruszyła ramionami.

- Wyszedł. Jeszcze nie wrócił.
- Ta pani jest adwokatem Carmen - przedstawił Reacher. -
Chcemy porozmawiać z Ellie.

Rusty uśmiechnęła się półgębkiem.

- Ellie tu nie ma - wyjaśniła. - Opieka społeczna zabrała ją
dzisiaj rano.

- Jak to? I pani na to pozwoliła? - zdumiał się Reacher.

- Czemu nie? Nie potrzebuję jej pod swoim dachem, teraz kiedy
Slup nie żyje.

Reacher wbił w nią wzrok.

- Przecież to pani wnuczka.

Rusty machnęła ręką.

- Nigdy nie byłam zadowolona z tego faktu.

- Gdzie ją zabrali?

- Pewnie do sierocińca - odparta Rusty. - Jeśli ktoś ją zechce,
zostanie adoptowana. Ale wątpię. Nikt nie chce takich kundli jak ona.
Porządny ludzom nie są potrzebne kolorowe bachory.

Zapadła głucha cisza. Słyszeć było tylko, jak wysuszona ziemia
skwierczy w upale.

- Oby zachorowała pani na raka - powiedział zdławionym
głosem Reacher.

Obrócił się na pięcie i wrócił do samochodu, nie czekając na
Alice. Wsiadł i zatrzasnął drzwi, na przemian zaciskał i rozprostowywał
swe masywne dłonie. Usiadła obok niego i zapaliła silnik.

- Zabierz mnie stąd - rzucił przez zęby.

Odjechała w tumanie kurzu. Żadne z nich nie odezwało się już
ani słowem podczas drogi na północ do Pecos.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

BYLI na miejscu o trzeciej po południu. Alice jak zwykle
zastała na swoim biurku gąszcz samoprzylepnych karteluszek, w tym
pięć od Hacka Walkera, każda kolejna bardziej nagłaca niż poprzednia.

- Idziemy? - spytała Reachera.

- Tylko mu nie mów o brylancie - zastrzegł.

- Gra skończona, jeszcze do ciebie nie dotarło?

Miała rację. Reacher natychmiast poznał to po minie Walkera. Był wyraźnie wyluzowany, spokojny. Rozdział został zamknięty. Siedział za biurkiem, na którym leżały dwa stosiki dokumentów. Jeden nieco wyższy od drugiego.

- O co chodzi? - spytał Reacher.

Walker zlekceważył go i podał Alice jakąś kartkę.

- Oto zrzeczenie się przysługujących oskarżonej praw. Nie chce mieć adwokata i twierdzi, że odrzuciła tę propozycję na samym początku.

- Wątpiłam w przytomność jej umysłu - rzekła Alice.

- Wierzę pani na słowo, ale teraz mamy to już czarno na białym, Jesteście tu więc z czystej grzeczności, prawda? Oboje.

Następnie Walker podał im mniejszy stosik papierów. Były to dokumenty bankowe. Wyglądało na to, że istniało pięć oddzielnych kont. Dwa stałe rachunki bieżące i trzy depozyty rynku pieniężnego. Nazwano je Niezależnymi Rachunkami Powierniczymi Greerów od I do 5. Łącznie było na nich blisko dwa miliony dolarów.

- Pracownicy Ala Eugene'a przesłali mi te dokumenty - powiedział Walker. - A teraz proszę przeczytać załączniki.

Alice przerzuciła papiery. Reacher czytał jej przez ramię. Był to istny prawniczy bełkot. Dołączono tam protokół z przekazania majątku drugiej osobie w zarząd powierniczy. Była także potwierdzona notarialnie umowa. Stanowiła ona, że majątkiem Słupa Greera zarządzać będzie tylko jeden powiernik. Wyznaczoną do tego osobą była jego żona, Carmen Greer.

- A więc, miała w banku dwa miliony doków - podsumował Walker. - Przeczytajcie dokładnie ostatnią klauzulę porozumienia.

Alice przewróciła stronę. Ostatnia klauzula dotyczyła zwrotu warunkowego. Rachunki powiernicze wrócą w przyszłości pod zarząd Słupa w określonym przez niego dniu. Chyba, że zapadnie na nieuleczalną chorobę umysłową. Lub umrze. Wówczas całe saldo przechodzi na własność Carmen.

- Czy to jasne? - spytał Walker.

Reacher nie odezwał się, Alice zaś kiwnęła głową.

Walker podał im wyższy stosik.

- Teraz przeczytajcie to. Zapis jej przyznania się do winy.

- Przyznała się? - Alice była zdumiona. - Kiedy?

- Dziś w południe. Moja asystentka poszła na spotkanie z nią, gdy tylko otrzymałem dokumenty finansowe. Wyłożyła kawę na ławę. Wzięliśmy ją do nas i kazaliśmy wszystko powtórzyć przed kamerą video. Nie wygląda to zbyt ciekawie.

Reacher słuchał jednym uchem i jednocześnie czytał. Zeznanie zaczynało się od czasów Los Angeles i faktycznie nie wyglądało ciekawie. Była nieślubnym dzieckiem. Została prostytutką. Chodnicznica, jak powiedziała o sobie. Jakieś dziwne określenie kolorowych, domyślił się Reacher. Potem została striptizerką i uczepiła się Słupa. Później zaczęła się coraz bardziej niecierpliwic. Nudziła się w zaściankowym Teksasie. Chciała się stąd wyrwać, ale nie miała pieniędzy. Zatargi Słupa z urzędem skarbowym spadły jej jak z nieba. Kusily ją zasobne konta. Gdy tylko usłyszała, że mają go wypuścić na wolność, kupiła pistolet i zaczęła się rozglądać za mordercą. Postanowiła skołować kandydata opowieściami o przemocy w rodzinie. Reacher jej odmówił, więc zrobiła to sama. Ponieważ już nakłamała, że mąż ją bije, postanowiła wywinąć się opowieścią, że strzelała w samoobronie. Potem zdała sobie sprawę, że za sprawą karty choroby jej kłamstwa wyjdą na jaw, więc przyznała się do winy i zdała na łaskę prokuratora.

- A co z wyborami? - spytał Reacher. Ostatnia deska ratunku. Walker wzruszył ramionami.

- Wedle teksańskiego kodeksu grozi za to śmierć. Ponieważ jej zeznania i przyznanie się do winy oszczędzą podatnikowi kosztów rozprawy, mam pełne prawo żądać dożywocia. Jeśli nie poproszę o karę śmierci, wydam się wielkoduszny. Biali trochę się wkurzą, ale Meksykanie to łykną, więc chyba zdobędę upragniony stołek.

Nikt nie odzywał się przez kolejną minutę. Słychać było tylko wszechobecny szum klimatyzacji.

- Mam przedmioty należące do niej - powiedziała Alice. - Pasek i pierścionek.

- Proszę zaraz przekazać je do przechowalni. Będziemy ją niebawem przenosić.

- Gdzie konkretnie?

- Do więzienia. Nie możemy jej dłużej trzymać w areszcie.

- Chodzi mi o to, gdzie jest przechowalnia?

- W tym samym budynku co kostnica. Tylko proszę nie zapomnijcie o pokwitowaniu.

REACHER wybrał się z Alice do kostnicy. Mówiła coś, ale do niego nie docierały jej słowa. Słyszał tylko wewnętrzny głos, który uparcie powtarzał: „Myliłeś się na całej linii”.

- Reacher... - dobiegło do niego. - Nie słuchasz mnie?

-Co?

- Spytałam cię, czy chcesz coś zjeść?

- Nie - odparł. - Marzę o tym, żeby wyjechać daleko stąd. Im dalej, tym lepiej. Słyszałem, że na Antarktydzie jest o tej porze całkiem przyjemnie.

- Dworzec autobusowy znajduje się po drodze do mojego biura.

- To dobrze. Pojadę autobusem. Mam dość jazdy autostopem. Nigdy nie wiadomo, kto się zatrzyma.

Kostnica mieściła się w niskiej przemysłowej szopie, stojącej na wybrukowanym dziedzińcu po drugiej stronie ulicy. Alice położyła pasek ze skóry jaszczurki oraz pierścionek na blacie i powiedziała strażnikowi, że to przedmioty dotyczące sprawy Carmen Greer. Po chwili wrócił z pudełkiem zawierającym dowody.

- To jej własność prywatna - zwróciła mu uwagę Alice. - A nie dowody. Przepraszam.

Mężczyzna spojrział na nią, jakby chciał powiedzieć: „Od razu trzeba było tak gadać” i obrócił się.

- Chwileczkę - zawołał Reacher. - Chciałbym tam zajrzeć.

Facet znów się odwrócił i przesunął pudełko po blacie. Był to kartonowy pojemnik o wysokości około siedmiu centymetrów bez przykrywki. Pistolet Lorcin spoczywał w plastikowej torebce z numerem ewidencyjnym. Dwie mosiężne łuski znalazły się w oddzielnej torebce. Dwie kule kaliber 5,6 mm w oddzielnych torebkach. Jedną z nich podpisano jako: Z CZASZKI 1, a drugą: Z CZASZKI 2.

- Czy jest może patolog? - spytał Reacher.

- Jasne - odparł strażnik i wskazał na podwójne drzwi. - Tam.

Reacher wszedł do środka. Został przy biurku mężczyznę w zielonym kitlu pochylonego nad papierami. Uniósł wzrok na Reachera.

- Słucham?

- Czy dowodem w sprawie Carmen Greer są tylko dwie kule? - zapytał Reacher.

- Kim pan jest?

- Towarzyszę adwokatowi oskarżonej - wyjaśnił Reacher. - Czeka przed drzwiami.

- Rozumiem - odrzekł patolog.

- Co z tymi kulami?

- Ile ich było?

- Dwie - odparł. - Wydłubanie ich zajęło nam mnóstwo czasu.

- Czy mogę zobaczyć zwłoki? Niepokoi mnie, że mogła nastąpić pomyłka sądowa.

Słowa te zwykle działają na patologów. Jeśli sąd wzywa ich do złożenia zeznań, najbardziej boją się tego, że upokorzy ich obrońca, biorąc w krzyżowy ogień pytań.

- W porządku powiedział. - Denat jest w chłodni.

Po przeciwnej stronie gabinetu znajdowały się drzwi, które wychodziły na mroczny korytarz. Na jego końcu były stalowe drzwi z izolacją, jak do chłodni w rzeźni.

Wzdłuż ściany pomieszczenia mieściły się stalowe szuflady. Osiem było zajętych. Powietrze w pomieszczeniu było mroźne. Reacherowi leciała para z ust. Patolog wysunął szufladę.

Nagi Słup Greer leżał na wznak. Miał otwarte oczy, pusty wytrzeszczony wzrok. W czole dwie okrągłe dziury po kulach, w odległości około siedmiu centymetrów od siebie.

Na ten widok Reacher uśmiechnął się szeroko.

Ktoś zapukał do drzwi. W progu stanęła Alice.

- Co ty robisz? - zawołała do niego.

- Coś tu nie gra, Alice. Podejdz i powiedz mi, co widzisz.

Przeszła powoli po kafelkach, zmuszając się do spojrzenia w kierunku nieruchomego ciała, jakby wymagało to wysiłku fizycznego.

- Dwa strzały w głowę - powiedziała.

- Jaka jest odległość między dziurami?

- Z siedem centymetrów.

- Co jeszcze widzisz?

-Nic.

Kiwnął głową.

- No właśnie. Przyjrzyj się bliżej. Dziury są czyste, prawda? Zbliżyła się o krok do szuflady.

- Wyglądają na czyste.

- To coś znaczy - rzekł z podnieceniem. - Najpierw z lufy pistoletu wybucha gorący gaz. Gdyby wylot lufy był przyłożony do czoła, gaz wydostałby się, robiąc dziurę w kształcie gwiazdy. Potem z lufy bucha płomień, skóra by się przypaliła.

- Na brzegach - sprecyzował patolog.

- Nic takiego tu nie widać. W końcu wylatuje sadza. Gdyby strzał oddano z odległości piętnastu-dwudziestu centymetrów, ujrzelibyśmy jej smugi na czole. Widzisz coś takiego?

- Nie - odparła Alice.

- Właśnie. Widać tylko dziury po kulach. Brak dowodów na to, że strzały zostały oddane z niewielkiej odległości. Na moje oko strzela no co najmniej z metra lub metra trzydzieści.

- Odległość wynosiła dwa metry i sześćdziesiąt centymetrów - powiedział patolog - Tak ustalono na miejscu przestępstwa. Ofiarę znaleziono przy nocnym stoliku, w górnej części łóżka. Wiemy, że nie stała obok niego, bo inaczej znaleźlibyśmy wszystkie te ślady, o których pan mówił. Najbliżej mogła się znajdować po drugiej stronie łóżka i strzelać po przekątnej, jak wynika z trajektorii. Było to wielkie łóżko, więc podejrzewam, że odległość wynosiła dwa metry sześćdziesiąt.

- Czy zezna pan to samo przed sądem? - spytał Reacher.

- Oczywiście. A to rzecz jasna minimum. Mogło być znacznie dalej.

- Co to wszystko znaczy? - spytała Alice.

- To, że Carmen tego nie zrobiła - zawyrokował Reacher. - Nie ma mowy, żeby trafiła w tak niewielki cel z odległości dwóch metrów.

- Skąd możesz o tym wiedzieć?

- Bo dzień przed zabójstwem widziałem, jak strzela. Z odległości ponad dwóch metrów nie trafiłaby nawet w ścianę stajni.

- Może po prostu miała fart.

- Powiedzmy, że raz. Ale na pewno nie dwa. Skoro trafienia są dwa, musiały być precyzyjnie wycelowane. Są również na podobnej wysokości. To był wyborowy strzelec.

- Mogła cię nabrać - zasugerowała Alice. - Przecież kłamała jak z nut. Może potrafi strzelać, a udawała, że nie umie. Chciała, żebyś ją wyręczył w mokrej robocie. Może miała jeszcze inne powody.

- Nie mogła udawać - zaprzeczył Reacher. - Całe życie obserwowałem ludzi posługujących się bronią. Potrafisz strzelać albo nie. A jak umiesz, to od razu to widać. Nie da się tego ukryć.

Alice nie odezwała się.

- To nie Carmen strzelała - podkreślił stanowczo Reacher. - Nawet ja bym tak precyzyjnie nie wycelował. Ktokolwiek go zabił, jest lepszym strzelcem ode mnie.

Alice uśmiechnęła się przelotnie.

- A takich ludzi jest mało, prawda?

- Niezwykle mało - powiedział bez zażenowania.

- To po co się przyznała?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- To PUSZKA Pandory - orzekł Hack Walker. - Lepiej jej nie otwierać. Sprawy mogą się szybko wymknąć spod kontroli.

Znów siedzieli w gabinecie Walkera.

- Tak pan sądzi? - rzekła Alice.

Walker kiwnął głową.

- Powiedzmy, że Reacher ma rację, choć to trochę naciągane, bo przecież dysponuje tylko domysłami. A swoje domysły oparł na tym, że wcześniej zademonstrowała mu, iż nie potrafi strzelać. Powiedzmy, czysto teoretycznie, że ma rację. Wówczas musiałby istnieć jakiś spisek. Wiemy, że starała się w to wciągnąć Reachera. Teraz okazuje się, iż zatrudniła jeszcze kogoś, najemnego zabójcę, działającego z zimną krwią. Skoro istniał spisek, to znów grozi jej czapa.

ALICE i Reacher podążali na dworzec autobusowy. Mieścił się pięćdziesiąt metrów od sądu i tyle samo od kancelarii.

- Dokąd chcesz jechać? - spytała Alice.

- Odjadę pierwszym autobusem, jaki się pojawi - powiedział. - Taką mam zasadę.

Przeczytali rozkład jazdy. Najbliższy autobus jechał do Topeki w Kanadzie przez Abilene. Gdy Reacher sięgnął do kieszeni po

pieniądze, natrafił na osiem łusek, których się jeszcze nie pozbył. Położył je sobie na dłoni.

Abilene, pomyślał.

- Chcę ci zadać jedno pytanie jako prawnikowi - zwrócił się raptem do Alice. - Dotyczy prawa cywilnego. Jeśli jakiś facet powie swojemu adwokatowi o przestępstwie, czy gliny mogą naciskać na adwokata, żeby puścił farbę?

- Byłaby to informacja poufna - odparła Alice. - Tylko między prawnikiem i jego klientem. Gliny nic tu nie wskórają.

- Odwidziało mi się. Jednak zostaję. Czy mogę skorzystać z telefonu w twoim biurze?

Wzruszyła ramionami z wyrazem zdziwienia na twarzy.

- Jasne - odrzekła. - Chodźmy.

W kancelarii Reacher ustawił sobie krzesło za biurkiem obok jej fotela. Otworzył szufladę, wyjął z niej książkę telefoniczną i zadzwonił na komisariat policji stanowej w Abilene. Kobieta, która odebrała, spytała, w czym może pomóc.

- Mam pewną informację - powiedział - dotyczącą przestępstwa.

Kobieta kazała mu poczekać, a następnie przełączyła go, jak się domyślił z odgłosów, do pokoju operacyjnego. W tle dzwoniły telefony.

- Sierżant Rodriguez - usłyszał w słuchawce.

- Mam pewną informację dotyczącą przestępstwa - powtórzył spokojnie Reacher.

- Jak się pan nazywa?

- Chester Arthur. Jestem adwokatem w hrabstwie Pecos.

- Słucham, panie Arthur.

- W piątek na południe od Abilene znaleźliście porzuconego mercedesa należącego do adwokata Ala Eugene'a. Mój klient twierdzi, że Eugene został uprowadzony ze swojego samochodu i zabity gdzieś w pobliżu.

- Jak się nazywa pański klient?

- Nie mogę tego powiedzieć - rzekł Reacher. - Informacja poufna. Szczerze powiedziawszy, sam nie wiem, czy mam mu wierzyć. Chciałbym, żebyście ze swojej strony sprawdzili jego wersję. Jeśli okaże się prawdziwa, może uda mi się go nakłonić, by się ujawnił.

- Co panu powiedział?

- Że zatrzymano samochód Eugene'a i wsadzono go do innego wozu. Zawieziono na północ do jakiegoś zakątka ukrytego przed ludzkim wzrokiem po lewej stronie drogi. Zastrzelono go, a ciało ukryto.

Alice wybałuszyła oczy.

- Przeszukaliśmy już teren.

- W jakim promieniu? - spytał Reacher.

- Najbliższą okolicę.

- To za mało. Mój klient mówi, że dwa lub trzy kilometry na północ. Przeszukajcie raz jeszcze zarośla, szczeliny w skałach, wszelkie możliwe kryjówki.

- Mogę zapisać pański numer telefonu?

- Zadzwoń za godzinę - rzekł Reacher i odłożył słuchawkę.

Alice wciąż patrzyła na niego ze zdumieniem.

- Co jest grane?

- Już wcześniej powinniśmy się zająć sprawą Eugene'a. Powiedz mi, Alice, jaki jest jedyny pewny fakt, który mamy w swoich rękach?

- No jaki?

- Cannen nie zastrzeliła Slupa, koniec kropka.

Wzruszyła ramionami.

- No dobrze, i co z tego?

- A więc, zastrzelił go ktoś inny. I tu rodzi się pytanie, dlaczego? Wiemy, że Eugene zaginał, Slup zaś został zabity. Byli ze sobą powiązani, adwokat i jego klient. Przyjmijmy, więc teoretycznie, że Eugene też nie żyje. Pracowali wspólnie nad jakąś grubszą sprawą, dzięki której Slup wyrwał się z więzienia. Musiało to dotyczyć jakichś ważnych informacji. Załóżmy, że ktoś załatwił ich obu dla zemsty lub by zapobiec wyciekowi danych.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Zastanów się, Alice. Każdy tak dobry strzelec musi być zawodowcem. Zawodowcy planują z wyprzedzeniem, co najmniej kilkudniowym. Gdyby, więc Carmen wynajęła zawodowca przed kilku dniami, po co miałyby jeździć po Teksasie, żeby podwozić facetów, takich jak ja? Dlaczego miałyby zabijać Slupa we własnej sypialni, gdzie była podejrzaną numer jeden? Strzelałyby z własnego pistoletu?

- Więc, co według ciebie naprawdę się stało?

- Podejrzewam, że jakaś ekipa morderców kropnęła Eugene'a w piątek i tak ukryła ciało, by nie zostało znalezione, póki sprawa nie przyschnie. Załatwili w niedzielę Slupa, ale zrobili to tak, by rzucić podejrzenie na Carmen.

- Ale ona była razem z nim. Przecież sama mówiła?

- Może była w tamtym momencie z Ellie. A może brała przysznic. Kiedy ją aresztowano, miała mokre włosy.

- Przecież usłyszałyby strzały.

- Nie pod tym przysznicem. Huczy jak Niagara. A dwudziestka dwójka to cicha broń.

- Skąd wiesz, gdzie mają szukać ciała Eugene'a?

- Zastanowiłem się, jak ja bym to zrobił. Na pewno mieli własny samochód, więc może udawali, że im się popsuł. Zatrzymali go, wsadzili siłą do swojego wozu i zabrali. Ale na pewno nie zdecydowaliby się wieźć go zbyt daleko. Za duże ryzyko. Dwie, trzy minuty, nie więcej, jak sądzę, a to stanowi dwa do trzech kilometrów od miejsca porwania.

- Dlaczego na północ i po lewej stronie?

- Najpierw pojechałbym na północ, zawrócił i rozglądał się po lewej stronie. Wybrałbym miejsce i cofnął się kilka kilometrów, obrócił wóz i zastawił na niego zasadzkę.

- To ma ręce i nogi - przyznała Alice. - Ale co ze Slupem? Tu taka zasadzka nie wchodzi w grę. Więc, co? Zakradli się do domu? W Echo, na takim odludziu? Zaczaili się i wdarli do środka, kiedy ona brała przysznic?

- Mnie by się udało - zaręczył. - A podejrzewam, że są równie dobrzy jak ja. Może nawet lepsi.

- To czemu się przyznała?

- Jeszcze do tego dojdziemy Najpierw poczekajmy godzinę.

ZOSTAWIŁ Alice przy pracy i postanowił w końcu wybrać się do muzeum Dzikiego Zachodu. Kiedy dotarł na miejsce, okazało się, że jest zamknięte, dostrzegł jednak alejkę prowadzącą na placyk za budynkiem. Znalazł tam grób Claya Allisona. Był zadbane, ozdobiony ładnym nagrobkiem: ROBERT CLAY ALLISON, URODZONY w 1840, ZMARŁY W 1887. NIGDY NIE ZABIŁ CZŁOWIEKA, KTÓRY NA TO NIE ZASŁUŻYŁ.

Reacher nie miał drugiego imienia. Nazywał się po prostu Jack Reacher. Urodzony w 1960, jeszcze żyje. Zastanowił się, jak będzie wyglądał jego nagrobek. Pewnie nie będzie żadnego nagrobka. Nie byłoby komu się tym zająć.

Wrócił alejką. Zbliżał się do długiego, betonowego, piętrowego biurowca. W jednym z okien zauważył napis złożony staromodną czcionką: ALBERT EUGENE, ADWOKAT.

Zmierzając do kancelarii Alice, przystanął na skrzyżowaniu. Słońce chyliło się ku zachodowi, na horyzoncie zbierały się chmury przypominające postrzępione łaty na niebie.

Alice nadal siedziała za biurkiem. Miała przed sobą meksykańskie małżeństwo. Wskazała mu odruchowo krzesło, które nadal stało tuż obok niej. Usiadł, podniósł słuchawkę i wykręcił numer do Abilene. Przedstawił się jako Chester Arthur i poprosił do telefonu sierżanta Rodrigueza.

Czekał całą minutę. Kiedy Rodriguez podszedł w końcu do telefonu, Reacher natychmiast się zorientował, że znaleziono ciało Eugene'a. W głosie sierżanta słychać było usilne naleganie.

- Musimy poznać nazwisko pańskiego klienta, panie Arthur.

- Co znaleźli pańscy ludzie? - spytał Reacher.

- Dokładnie to, o czym pan mówił. Dwa i pół kilometra na północ, po lewej stronie, w głębokiej szczelinie wapiennej. Zabity jednym strzałem w oko.

- Mój klient tego nie zrobił - oświadczył Reacher. - Porozmawiam z nim i być może się do was odezwie.

Odłożył szybko słuchawkę, nie dopuszczając już Rodrigueza do głosu. Alice wybałuszyła oczy.

- Więc znaleźli Eugene'a. Co teraz?

- Trzeba ostrzec Hacka Walkera.

- Ostrzec go?

Reacher kiwnął głową.

- Zastanów się. Hack, Al i Słup stanowili paczkę. Carmen mówiła, że wszyscy współpracowali przy ostatniej sprawie. Hack negocjował z władzami federalnymi, więc wiedział to samo, co jego kumple. Może być następny.

Alice zwróciła się do swoich klientów.

- Przepraszam państwa bardzo, ale muszę wyjść - rzuciła.

HACK Walker właśnie zbierał się do domu. Minęła osiemnasta. Kiedy powiedzieli mu o śmierci Eugene'a, zbladł jak ściana. Obszedł biurko, chwytając się blatu i opadł na fotel. Nic nie mówił przez dłuższą chwilę, a potem powoli kiwnął głową.

- Podejrzywałem to od dawna - rzekł. - Ale wciąż żyłem nadzieją.

Alice od razu wyłożyła teorię Reachera: zginęło dwóch z trzech. Układ, niebezpieczne informacje. Walker nie odzywał się, myśląc gorączkowo. Potem potrząsnął głową.

- To ślepy zaulek - powiedział. - Ten układ to nic takiego. Słup się załamał i postanowił spłacić zaległe podatki. Dopiekło mu więzienie. Al skontaktował się z urzędem skarbowym i przedstawił im propozycję. Oskarżyciel federalny musiał wyrazić zgodę, przyznam, że trochę popchnąłem sprawę. Dzięki mnie załatwił to szybciej niż w normalnym trybie. Był to rutynowy układ z urzędem skarbowym.

Znów potrząsnął głową i zastygł nieruchomo.

- Muszę już iść - powiedział.

Alice skinęła głową.

- Bardzo nam przykro, że stracił pan przyjaciela.

Walker wyglądał na stropionego, jakby gryzło go coś innego.

- O co chodzi? - spytał Reacher.

- Uważam, że nie powinniśmy już więcej rozmawiać. Kręcimy się wokół własnego ogona i trafiamy na fałszywe tropy.

- Naprawdę?

- Pomyślcie tylko. Nikt nikogo nie morduje z powodu banalnego układu z urzędem skarbowym. Prawda? Słup i Al chcieli odebrać Carmen pieniądze z rachunków powierniczych i przekazać urzędowi. Teraz Słupa i Ala nie ma już wśród żywych. Jej motyw wygląda coraz bardziej przekonująco. Jeśli przyjmiemy, że to prawda, mamy do czynienia ze spiskiem. Są już dwie śmierci, a nie jedna.

- Nie było żadnego spisku - nie zgodził się Reacher. - Gdyby wynajęła ludzi do mokrej roboty, czemu chciałaby zatrudnić mnie?

Walker wzruszył ramionami.

- Żeby trochę zamącić? Żeby odsunąć od siebie podejrzenia?

- Czy jest aż tak bystra?

- Chyba tak.

- Proszę to udowodnić. Pokazać, że zatrudniła kogoś. Ma pan przecież jej wyciągi bankowe. Proszę pokazać jakąś dużą wypłatę.

Walker skrzywił się i otworzył szufladę w biurku. Wyjął stos dokumentów finansowych: Niezależne Rachunki Powiernicze Greerów od 1 do 5, i zaczął je przyglądać strona po stronie. Potem przesunął dokumenty na drugą stronę biurka. Z jego twarzy nie dało się nic wyczytać.

Alice przejrzała je, przyglądając się kolumnie wypłat. Wielokrotnie pobierano pieniądze, ale sumy były niewielkie i przypadkowe.

- Zsumuj zeszły miesiąc - polecił Reacher. Dodała cyfry.

- Dziewięćset, okrągła suma.

Reacher kiwnął głową.

- Za dziewięćset dolarów nie zatrudni się kogoś, kto działa tak, jak widzieliśmy. Musimy z nią porozmawiać.

- Nie da rady - powiedział Walker. - Jest już w drodze do więzienia.

- Ona tego nie zrobiła - rzekł z naciskiem Reacher. - Jest niewinna.

- To czemu się przyznała?

Reacher zamknął oczy. Siedział przez chwilę nieruchomo.

- Nie miała wyjścia - oświadczył. - Ktoś ją zmusił.

- Kto?

Reacher otworzył oczy.

- Nie wiem, ale się tego dowiemy. Niech pan poprosi strażnika z dołu o kajet. Sprawdzimy, kto ją odwiedzał.

Twarz Walkera nadal nic nie wyrażała, podniósł jednak słuchawkę i wykręcił numer wewnętrzny. Poprosił, żeby przyniesiono mu zeszyt odwiedzin. Po trzech minutach zjawił się strażnik z zeszytem.

Walker przejrzał go i podał na drugą stronę biurka. Carmen Greer została przywieziona wczesnym rankiem w poniedziałek, a wywieziona przed dwiema godzinami do więzienia Tekszańskiego Wydziału Karnego. W tym czasie poza Alice dwa razy odwiedziła ją tylko jedna osoba. O dziewiątej rano w poniedziałek i ponownie we wtorkowe południe złożyła jej wizytę zastępczyni prokuratora generalnego.

- Pierwsza wizyta to przesłuchanie wstępne, a następna zeznanie - wyjaśnił Walker.

Reacher zerknął jeszcze raz do zeszytu. Pierwsza wizyta pani prokurator trwała dwie minuty. Najwyraźniej Carmen nie chciała mówić. Druga rozmowa trwała dwanaście minut. Po niej zaprowadzono ją na górę, gdzie nagrano zeznanie.

- To wszystko? - spytał.

- Były jeszcze telefony - odparł strażnik. - Przez cały poniedziałek i wtorkowy ranek.

- Kto do niej dzwonił?

- Jej adwokat.

- Jej adwokat? - zdumiała się Alice.

Mężczyzna przytaknął.

- Straszny upierdliwiec - dodał. - Ciągłe musiałem ją prowadzić do telefonu.

- Kim był ten adwokat? - spytała Alice.

- Nie mamy prawa pytać, proszę pani. To sprawy poufne. Rozmowa z adwokatem objęta jest tajemnicą.

- Mężczyzna czy kobieta?

- Mężczyzna.

- Ten sam za każdym razem?

- Tak sędzę. Mówił trochę ścisłym głosem.

Zapadła cisza. Walker skinął nieznacznie głową, co strażnik zrozumiał jako polecenie odejścia.

- Nic nam nie mówiła, że ma swojego przedstawiciela - powiedział Walker. - Twierdziła, że w ogóle nie chce reprezentacji.

- Mnie mówiła to samo - dodała Alice.

- Musimy się dowiedzieć, kim jest ten człowiek - postanowił Reacher. - Trzeba wydebić od telekomunikacji billing.

Walker potrząsnął głową.

- Nic z tego. Rozmowy z adwokatem są poufne.

Reacher wybałuszzył oczy.

- Naprawdę pan sądzi, że to adwokat?

- A pan nie?

- No jasne, że nie. Jakiś gość ją zastraszył i zmusił do fałszywych zeznań. Niech się pan tylko zastanowi, Walker. Za pierwszym razem Carmen nie chciała gadać z pańską zastępczynią. A

dwadzieścia siedem godzin później przyznała się do winy. Między tymi spotkaniami rozmawiała tylko przez telefon z tym gościem.

- Jakie groźby mogły ją zmusić do takich zeznań?

- Niech pan dzwoni do opieki społecznej - zażądał Reacher.

Hack Walker utkwiał w nim wzrok.

- Nie domyśla się pan? Porwali dziecko.

Walker podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Kiedy ktoś odebrał po drugiej stronie, podał pełne imię i nazwisko Ellie, Mary Ellen Greer. Nastąpiła dłuższa przerwa. Potem Walker bardzo powoli odłożył słuchawkę.

- Nigdy o niej nie słyszeli.

Cisza. Walker zamknął oczy.

- No dobrze - powiedział zmęczonym głosem. - Tylko kogo powiadomić? Oczywiście policję stanową i FBI, bo chodzi o porwanie. Ale musimy działać błyskawicznie. Czas zawsze ma wielkie znaczenie w przypadku uprowadzenia. Chcę, żebyście natychmiast oboje wybrali się do hrabstwa Echo i wypyтали o wszystko Rusty Greer. Rysopsis i inne szczegóły.

- Rusty nie będzie z nami gadać - zauważył Reacher. - Jest do nas uprzedzona. Można wysłać tam szeryfa Echo.

- Żaden z niego pożytek. Na pewno o tej porze ma już nieźle w czubie. Sami musicie się tym zająć.

- Walker wyjął z pudełka dwie chromowane gwiazdy i rzucił je na biurko.

- Podnieście prawe dłonie - rzekł. - Powtarzajcie za mną.

Wymamrotał słowa jakiejś przysięgi. Reacher i Alice powtórzyli na tyle, na ile zrozumieli. Walker kiwnął głową.

- Teraz jesteście zastępcami szeryfa - oświadczył. - Rusty będzie musiała z wami gadać.

Reacher wpatrywał się w niego.

- Nadal można w ten sposób powoływać zastępców szeryfa?

- A czemu nie? - odparł Walker. - Jak to na Dzikim Zachodzie. No, to teraz w drogę. Muszę wykonać mnóstwo telefonów.

Reacher wziął swoją chromowaną odznakę i wstał. Znów po czterech i pół roku był oficjalnie stróżem prawa. Alice stanęła obok niego. Skierowali się do wyjścia.

- Wracajcie potem prosto do mnie! - zawołał jeszcze Walker. -
No, powodzenia.

Osiem minut później znów siedzieli w żółtym garbusie i drugi raz tego dnia ruszyli na południe do Czerwonego Domu.

TELEFON odebrała kobieta. Nie musiała nic mówić, tylko słuchała. Gdy rozmówca rozłączył się, odłożyła słuchawkę.

- Dziś wieczorem - powiedziała.

- Co takiego?

- Dodatkowe zlecenie. W Pecos. Sytuacja się gmatwa. Znaleźli ciało Eugene'a.

- Cholera - zaklął wysoki mężczyzna. - Kto jest naszym celem?

- Nazywa się Jack Reacher. Jakiś niebieski ptak, były wojskowy. Mam jego opis. Jest też prawniczka, którą także musimy się zająć.

- Mamy ich załatwić, jednocześnie bawiąc się w niańkę?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Tak jak było umówione, bawimy się w niańkę dopóki jest to możliwe, ale w przypadku nieprzewidzianych okoliczności, możemy z tego zrezygnować.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Ellie przyglądała im się z łóżka.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

REACHER był kiepskim kompanem podróży na południe. Przez pierwsze pół godziny nie odezwał się ani razu. Zmrok zapadł szybko, więc przy wewnętrznym świetle studiował szczegółową mapę topograficzną południowej części hrabstwa Echo. Granicę hrabstwa stanowiła idealnie prosta linia biegnąca ze wschodu na zachód, w pewnym miejscu dzieliła ją od Rio Grande niespełna osiemdziesiąt kilometrów.

- Nie rozumiem, dlaczego skłamała o brylancie - wrócił do swojej wątpliwości Reacher.

Alice wzruszyła ramionami. Pędziła pełnym gazem.

- Wszystko zmyśliła.

- Ale pierścionek to co innego - powiedział, kręcąc głową. - Wszystko układa się w logiczną całość. Prócz pierścionka. Zupełnie nie pasuje do mojej koncepcji.

- Może wyjaśnisz mi to?

- Nic z tego - odparł. - Dopiero kiedy znajdę odpowiedź.

Otworzył schowek na rękawiczki i wyjął pistolet Heckler Koch. Sprawdził magazynek. Wciąż tkwiło w nim wszystkie dziesięć naboju. Wprowadził pierwszy do komory. Odwiódł kurek, zabezpieczył broń i wsunął ją sobie do kieszeni.

- Ale wiesz w ogóle, co tu jest grane? - spytała.

- Tak, prócz tego pierścionka.

- Opowiedz mi - nalegała.

- Gdy wtedy przyrządzałaś dla mnie potrawę, odważyłaś wszystkie składniki, prawda?

- Zawsze tak robię.

- Więc masz w kuchni wagę?

- No pewnie.

- Wagę sprawiedliwości - rzekł zamyślony.

- O czym ty, do diabła, mówisz, Reacher?

Spojrzał w lewo. Czerwony parkan wyłonił się na skraju snopa światła z reflektora. Jesteśmy na miejscu - powiedział.

- Później ci to wyjaśnię.

Zwolniła i wjechała w bramę.

- Stań przodem do garażu - polecił. - Nie gaś światel. Chcę się przyjrzeć temu staremu pick-upowi.

- W porządku - odparła i podjechała tak blisko, by garaż znalazł się w kręgu światel. Oświetlone zostały połowa nowego pick-upa, połowa jeepa oraz w całości stary pick-up stojący między nimi.

Wysiedli z samochodu. Nocne powietrze wciąż było gorące i parne. Podeszli, by dokładniej się przyjrzeć zaniedbanej półciężarówce. Miała bulwiaste zderzaki i pałąk zabezpieczający wbudowany w platformę. Chyba nikt nią nie jeździł od jakichś dziesięciu lat. Resory się pozapadały, a powietrze uszło z opon.

- No i co? - spytała Alice.

- To chyba samochód ze zdjęcia - rzekł z namysłem Reacher. - Tego, które stoi w gabinecie Walkera, gdzie we trójkę ze Slupem i Eugene'em opierają się o zderzak.

- Dla mnie wszystkie pick-upy wyglądają tak samo.

Wsiadła do garbusa, by zgasić światła. Następnie Reacher zaprowadził ją do głównego wejścia. Zapukał. Otworzył zdumiony Bobby Greer, spojrzął na nich groźnie.

Reacher uniósł dłoń, by pokazać mu chromowaną gwiazdę. Machnięcie odznaką. To było przyjemne. Może nie aż tak, jak machnięcie odznaką Wojskowego Wydziału Śledczego USA, ale zrobiło odpowiednie wrażenie na Bobbym. Powstrzymało go przed zatrzęsnięciem drzwi.

- Policja - rzekł uprzejmie Reacher. - Hack Walker właśnie nas mianował. Mamy uprawnienia na terenie całego hrabstwa Echo. Gdzie jest pańska matka?

Bobby chwilę się wahał, nim powiedział:

- W domu.

Reacher wprowadził Alice do salonu. Rusty Greer siedziała przy stole.

- Jesteśmy tu służbowo, pani Greer - oznajmił Reacher. Pokazał jej odznakę. - Musimy pani zadać kilka pytań.

- Nie zrobiłam nic złego - zastrzegła Rusty.

- Szczerze mówiąc, wszystko zrobiła pani źle.

- Niby co?

- Moja babka za nic w świecie nie oddałaby własnych wnucząt. Powiedziałyby, że po jej trupie, bronilaby dzieci jak lwica.

- Ale to dla dobra dziecka - tłumaczyła się Rusty. - Zresztą nie miałam wyjścia. Przedstawili odpowiednie dokumenty.

- Skąd pani wie, że dokumenty były odpowiednie?

Rusty wzruszyła ramionami.

- Wyglądały przekonująco. Mnóstwo w nich było urzędowych sformułowań typu: wyżej wymieniony, od niniejszego miejsca, stan Teksas.

- Były podrobione - skwitował krótko Reacher. - To było porwanie, pani Greer. Zniewolenie. Zabrali pani wnuczkę, żeby szantażować synową.

Starał się dostrzec u niej jakiś przeblysłk poczucia winy, wstydu, strachu lub wyrzutów sumienia. Jej twarz coś wyrażała, ale nie miał pewności, co dokładnie.

- Potrzebny nam jest rysopis tych ludzi - powiedział Jack. - Ilu ich było?

- Dwójka. Mężczyzna i kobieta.

- Jak wyglądali?

Rusty wzruszyła ramionami.

- Zwyczajnie.

- Włosy? Oczy? Ubranie?

- Jasne włosy, jak sądzę. Oboje. Tani garnitur i garsonka. Chyba niebieskie oczy. Mężczyzna był wysoki.

- Czym przyjechali?

- Dużym fordem. Szarym, a może niebieskim.

- Mam nadzieję, że mówi pani prawdę.

- Czemu miałabym kłamać?

- Jeśli pani kłamie, nie ujdzie to pani na sucho. Ci sami ludzie zabili Ala Eugene'a.

- Zabili? Al nie żyje?

- Zginął dwie minuty po uprowadzeniu go z samochodu.

Zbladła i zaczęła poruszać wargami.

- A co z... - wymamrotała, nie przeszło jej przez gardło imię Ellie.

- Na razie nic - powiedział cicho Reacher. - Jak sądzę. Mam taką nadzieję. I pani powinna ją mieć, bo jeśli dziecku włos z głowy spadnie, wróć tu i przetrąć pani kark.

KAZALI jej się wykąpać. Było to bardzo krepujące, bo jeden z mężczyzn stał w drzwiach i obserwował ją. Wytarła się niewielkim białym ręcznikiem. Nie miała ze sobą piżamy. Musiała precyzyjnie przycisnąć się obok niego, żeby wyjść z łazienki. Potem pozostała dwójka przyglądała się jej, kiedy szła do łóżka. Ten drugi mężczyzna i kobieta. Wszyscy byli wstrętni. Położyła się do łóżka, naciągnęła kołdrę na głowę i z trudem powstrzymywała łzy.

- Co TERAZ? - spytała Alice.

- Wracamy do Pecos - odparł Reacher. - Muszę pomyśleć.

Minęła bramę i skierowała się w mroku na północ.

- Dlaczego sądzisz, że ci sami ludzie zabili Eugene'a?

- To kwestia strategii - wyjaśnił. - Nie sędzę, by ktoś wynajął dwa zespoły, jeden do morderstwa, a drugi do porwania. Na pewno nie tu na tym pustkowiu. Sędzę, że to zespół od mokrej roboty dodatkowo zaaranżował porwanie.

- Będą wyglądali na przeciętną rodzinę - zauważyła Alice. - Mężczyzna, kobieta i dziewczynka.

- Raczej nie. Sędzę, że będzie ich więcej niż dwoje. W wojsku zwykle działaliśmy trójkami. Musi być przynajmniej kierowca, strzelec i ktoś obserwujący tyły.

- Strzelałeś do ludzi w żandarmerii wojskowej?

Wzruszył ramionami.

- Czasami.

Zamilkła. Obserwował, jak bije się z myślami, czy dopytywać o dalsze szczegóły. W końcu zorientował się, że postanowiła jednak nie drążyć tematu.

- Czemu trzymają Ellie? - spytała.

- To znaczy, czemu ją wciąż trzymają? Przecież już zmusili Carmen do przyznania się. Co jeszcze mogą przez to zyskać?

- Jesteś prawnikiem - odparł. - Sama musisz do tego dojść. Kiedy zeznania stają się nieodwracalne?

- Kiedy oskarżony przyzna wobec wielkiej ławy przysięgłych, że nie ma zastrzeżeń wobec spisane go zeznania, następuje przełom.

- Jak szybko może się to zdarzyć?

- Już jutro. Zajmie to najwyżej dziesięć minut, góra kwadrans. Więc może już jutro wypuszczą Ellie.

- A może nie. Będą się bali, że ich rozpozna. To bystra dziewczynka. Potrafi siedzieć cicho, obserwować i myśleć.

- Więc, co robimy?

- Przede wszystkim musimy ustalić, gdzie teraz przebywa.

- Niby jak? - spytała Alice. - Od czego zaczniemy?

- Zajmowałem się już podobnymi sprawami - rzekł z namysłem Reacher. - Przez całe lata ścigałem dezertków i żołnierzy bez przepustek. Trzeba myśleć, jak oni, i zwykle odnosi to skutek.

- Ale oni mogą być gdziekolwiek. Takich kryjówek jest mnóstwo. Opuszczone farmy, stare rudery.

- Nie. Sędzę, że raczej korzystają z moteli. Wygląd ma dla nich kluczowe znaczenie. To element ich strategii. Nabrali Ala Eugene'a,

wydali się przekonujący Rusty Greer. Muszą korzystać z bieżącej wody i pryszniców.

- W tej okolicy są setki moteli.

Kiwnął głową.

- A oni prawie na pewno będą się przenosić z jednego do drugiego. Codziennie zmiana miejsca. To podstawowa zasada bezpieczeństwa.

- Więc niby jak mamy dziś wieczorem znaleźć ten właściwy?

- Pomyślimy, co byśmy zrobili na ich miejscu, a dowiemy się, co zrobili. Najpierw musimy jednak wrócić do twojego biura.

- Po co?

- Bo nie przepadam za atakami frontalnymi. Zwłaszcza na takich zawodowców, tym bardziej gdy jest z nimi dziecko.

- Więc co robimy?

- Wprowadzamy w czyn zasadę „dziel i rządź”. Musimy zastawić zasadzkę na dwoje z nich i wywabić ich. Ci ludzie zdają sobie sprawę, że o nich wiemy. Sami po nas przyjdą, żeby zminimalizować ryzyko własne.

- Wiedzą, że my wiemy? Jakim cudem?

- Właśnie ktoś im doniósł.

- Kto?

Reacher milczał wpatrzony w ciemność.

ALICE postawiła samochód na parkingu za kancelariami adwokackimi. Miała klucz do drzwi od tyłu. Było tu mnóstwo mrocznych zakątków, więc kiedy szli, Reacher rozglądał się na wszystkie strony. Do stali się do środka bez przeszkód.

- Zadzwoń do Walkera i powiedz mu, na jakim jesteśmy etapie - polecił Reacher. - Powiedz mu, że tu jesteśmy.

Kazał jej usiąść plecami do siebie, żeby miała na oku wejście od tyłu, podczas gdy on będzie obserwował drzwi frontowe. Położył pistolet na kolanach. Następnie z innego telefonu wykręcił numer sierżanta Rodrigueza w Abilene. Rodriguez nadal był na posterunku i zmęczenie wyraźnie dawało mu się we znaki.

- Sprawdziliśmy w związku adwokatów - powiedział. - Chester Arthur nie figuruje w rejestrze adwokackim w Teksasie.

- Bo jestem z Vermont - odparł Reacher. - Pracuję tu charytatywnie dla dobra sprawy.

- Akurat.

- No dobrze, proponuję układ - powiedział Reacher. - Nazwiska za rozmowę. Co pan wie o patrolach granicznych?

- Chyba wystarczająco dużo.

- Czy przypomina pan sobie śledztwo w sprawie patrolu granicznego sprzed dwunastu laty?

- Może.

- Czy chodziło o zatuszowanie sprawy?

Rodriguez zamilkł na chwilę, a następnie odpowiedział jednym słowem.

- Zadzwońię jeszcze do pana - rzekł Reacher, odłożył słuchawkę, odwrócił się i powiedział do Alice przez ramię. - Masz na linii Walkera?

- Wszystko mu powiedziałam - odparła. - Prosił, żebyśmy tu na nie go zaczekali.

Reacher pokręcił głową.

- Nie możemy czekać. To oczywiste. Pojedziemy do niego, a potem wracamy w trasę.

- Dlaczego kłamstwo na temat pierścionka nie pasuje do całości? - wróciła do swojego starego pytania.

- Cała reszta to tylko jej słowa, natomiast sam się przekonałem, że pierścionek jest jak najbardziej prawdziwy. Sam to odkryłem. To zupełnie co innego.

- Czemu ma to takie znaczenie?

- Bo sporządziłem już własną wersję wydarzeń, a kłamstwo o pierścionku zupełnie do niej nie pasuje.

- Co to za wersja?

- To coś, co napisał kiedyś Ben Franklin - powiedział Reacher.

- Jesteś chodzącą encyklopedią?

- Pamiętam to, co czytam. I pamiętam coś, co Bobby Greer powiedział mi na temat pancerników. Spojrzała na niego.

- Chyba oszalałeś.

Kiwnął głową.

- Na razie to tylko domysły. Muszę znaleźć dowody.

-Jak?

- Zaczekamy i przekonamy się, kto po nas przyjedzie.

PRZESZLI do budynku sądowego, gdzie zastali Walkera w jego gabinecie, wyglądał na przemęczonego.

- No to zaczęło się - powiedział. - FBI i policja stanowa, wszędzie blokady dróg, helikoptery, ponad sto pięćdziesiąt osób na ładzie. A przy tym wszystkim nadciąga burza, co utrudni akcję.

- Czy jesteśmy jeszcze panu potrzebni? - spytał Reacher.

Walker potrząsnął głową.

- Niech się tym teraz zajmą zawodowcy. Jadę do domu, muszę złapać kilka godzin snu.

- My też musimy się przespać - przyznał Reacher. - Jedziemy do domu Alice. Proszę dzwonić, gdyby nas pan potrzebował. Albo gdyby dowiedział się pan czegoś nowego, dobrze?

Walker kiwnął głową.

- Będę dzwonił - powiedział. - Obiecuję.

- ZNÓW przebieramy się za agentów FBI - powiedziała kobieta.

- To półgłówek.

- Czy wszyscy jedziemy? - spytał kierowca. - A co z tym cholernym dzieciakiem?

Kobieta zastanowiła się. Ona musi jechać, bo będzie strzelała, chciała zabrać ze sobą wysokiego faceta. Kierowca nie był jej potrzebny.

- Ty zostaniesz z dzieciakiem - zdecydowała.

- Jak długo mam czekać? - spytał kierowca.

Zawsze, gdy zespół się rozdzielał, kobieta ustalała granicę czasową. Jeśli minęła określona godzina, a zespół się nie zebrał, każdy uciekał na własną rękę.

- Niech będzie cztery godziny - odparta kobieta. - Masz posprzątać i pozamiatać.

Przygotowali się tak samo jak do zabójstwa A1a Eugene'a, tym razem jednak poszło szybciej, bo crown victoria stała zaparkowana przed motelem, a nie ukryta na zakurzonej rozjeździe. Przymocowali do klapy wszystkie anteny. Nałożyli granatowe bluzy na koszule. Włożyli czapki ze sklepu z pamiątkami. Sprawdzili, czy pistolety

kaliber 9 mm są nabite, i schowali broń do kieszeni. Wysoki blondyn siadł za kierownicą. Kobieta przystanąła przed drzwiami pokoju.

- Cztery godziny - powtórzyła.

- Posprzątaj i pozamiataj.

Kierowca spojrział na dziewczynkę w łóżku. Posprzątaj i pozamiataj znaczyło: Nie zostaw po sobie żadnego śladu, a zwłaszcza żywych świadków.

REACHER wziął z samochodu pistolet Alice oraz przesyłkę FedExu i zaniósł do części kuchennej w domu prawniczki.

- Gdzie masz wagę? - spytał.

Otworzyła szafkę i wystawiła wagę kuchenną na blat.

- W porządku, idziemy - powiedział. - Masz śrubokręt?

- Pod zlewem.

Znalazł skrzynkę z narzędziami i wybrał odpowiedni śrubokręt.

- Wracamy do sądu. Muszę coś stamtąd wziąć.

Zamknęła dom i wsiadła za nim do garbusa. Skierowali się na wschód, Alice zaparkowała na tyłach gmachu sądowego. Obeszli budynek i spróbowali wejścia od ulicy. Było dobrze zamknięte.

- Wyważę drzwi - powiedział. - Wiem, że włączy się alarm.

- Gliny tu przyjadą.

- Ale nie od razu. Będziemy mieli jakieś trzy minuty.

Odsunął się dwa kroki, rozpedził i uderzył podeszwą powyżej klamki. Drewno popękało i drzwi odskoczyły. Rozdzwonił się natarczywy alarm.

- Włącz silnik w samochodzie i czekaj na mnie w alejce - rzucił.

Wbiegł po schodach i wyważył kopniakiem drzwi gabinetu Walkera. Z miejsca podszedł do szafek na akta. Znalazł szafkę oznaczoną literą G i wepchnął śrubokręt w dziurkę od klucza. Złamał zamek i wyciągnął szufladę.

Słyszał już w oddali syreny. Przejrzał pośpiesznie daty na zakładkach akt i znalazł to, czego szukał, prawie na końcu szuflady. Była to teczka o grubości pięciu centymetrów. Wyjął ją i włożył pod ramię. Przebiegł przez pomieszczenie sekretarek i zbiegł po schodach. Wyskoczył w alejkę, prosto do garbusa.

- Ruszaj! Na południe, do Czerwonego Domu.

- Co? Co tam jest?

- Wszystko - odparł.

Odjechała prędko, a po jakichś pięćdziesięciu metrach Reacher zauważył czerwone światła pulsujące za nimi w oddali. Wydział Policji w Pecos zjawił się w budynku sądu zaledwie minutę za późno. Uśmiechnął się do siebie i odwrócił głowę, dostrzegając w ułamku sekundy dużego forda, który dwieście metrów przed nimi skręcił do domu Alice. Wyglądał jak policyjna crown victoria. Reacher wpatrywał się uważnie w ciemność, w której znikł samochód, a kiedy minęli to miejsce, odwrócił głowę.

- Jedź pełnym gazem - polecił Alice.

Położył ukradzione dokumenty na kolanach i zapalił światelko.

„G” oznaczało patrol graniczny, akta zawierały materiały dotyczące zbrodni popełnionych przez jego członków przed dwunastu laty oraz kroków podjętych w związku z tym. Była to ponura lektura.

Granica między Meksykiem a Teksasem jest bardzo długa, w wielu miejscach całymi kilometrami ciągnie się tylko wysuszona na wiór pustynia. W tamtych latach za dnia lub w nocy jeździły po niej samochody patrolowe, które wyłapywały emigrantów podczas ich beznadziejnej, wyczerpującej wędrówki przez pustkowia, która trwała trzy, cztery dni. Metoda była skuteczna. Często emigranci poddawali się bez oporu. Czasem załoga samochodu udzielała chorym i padającym z pragnienia piechurom pierwszej pomocy

Któregoś dnia coś się jednak zmieniło.

W ciągu pewnego roku wozy patrolowe mogły przynieść zarówno pomoc, jak i aresztowanie lub gwałtowną śmierć. Nieregularnie, ale zawsze nocą, strzelano z karabinów, wóz patrolowy pędził z rykiem i tak długo kluczył, aż jakiś uciekinier oderwał się od swojej grupy. Potem jeszcze prowadzono przez ponad kilometr pościg za samotnym zbiegiem, w końcu do niego strzelano i półciężarówka zniknęła.

Żadna z rodzin, które dotknęła taka tragedia, nie złożyła skargi, ale pogłoski zaczęły krążyć. W końcu zajęto się oficjalnie tą sprawą i okazało się, że dokonano w sumie siedemnastu możliwych do udowodnienia morderstw. Na liście zabitych znalazł się między innymi młody Raoul Garcia.

Akta zawierały mapę. Większość zasadzek miała miejsce na obszarze w kształcie gruszki, liczącym około dwustu pięćdziesięciu

kilometrów kwadratowych. Z reguły nie wykraczały jednak poza granice hrabstwa Echo.

Śledztwo na szeroką skalę w sprawie patroli granicznych zaczęło się w sierpniu, jedenaście miesięcy po tym, gdy pojawiły się pierwsze pogłoski. Pod koniec miesiąca zginęła jeszcze jedna osoba, ale potem zapanował spokój. Oficerowie przykładali się do retrospektywnego śledztwa, jednak sprawa była beznadziejna, bo jedyni świadkowie zająć zaprzeczali, jakoby kiedykolwiek znaleźli się w pobliżu granicy. Morderstwa ustały, ci, którzy przeżyli, zaczęli nowe życie. Dochodzenie utknęło w miejscu. Zamknięto je cztery lata później.

- I co? - spytała Alice.

Reacher zamknął akta i odłożył je na tylne siedzenie.

- Teraz już wiem, dlaczego skłamała na temat pierścionka.

- Dlaczego?

- Nie kłamała. Mówiła prawdę.

- Powiedziała, że to podróbka warta trzydzieści dolców.

- I święcie w to wierzyła. Pewnie jakiś jubiler z Pecos zaśmiał jej się w nos i powiedział, że to nic nie warte szkiełko, a ona mu uwierzyła. Chciał zbić kokosy na jej naiwności, kupić za trzy dychy klejnot wart sześćdziesiąt tysięcy. Pospolite oszustwo. Dokładnie to samo spotkało tych emigrantów z akt. Ich pierwsze doświadczenie w Stanach.

- Więc to jubiler kłamał?

Kiwnął głową.

- Już wcześniej powinienem na to wpaść, przecież to oczywiste. Pewnie to ten sam facet, u którego byliśmy. Od razu widać, że daleko mu do samarytanina.

- Ale nas nie usiłował oszukać.

- To przecież oczywiste. Ty jesteś bystrą białą prawniczką, a ja zwalistym białym twardzielem. Ona zaś była drobnutką Meksykanką, samotną, zdesperowaną i przerażoną. Uznał, że może ją łatwo wyrolować, a nas nie.

Alice nie odzywała się przez moment.

- Co to wszystko znaczy?

Reacher zgasił światło na suficie, uśmiechnął się w mroku i przeciągnął swe potężne ramiona.

- Powinnaś dodać gazu, bo wyprzedzamy może o dwadzieścia minut tych najemnych zbirów, a chcę, żeby jak najdłużej pozostał między nami taki dystans.

Nawet nie zwolniła na skrzyżowaniu w pogrążonej we śnie mieścinie. a pozostałe sto kilometrów pokonała w czterdzieści trzy minuty. Wjechała przez bramę i zatrzymała się przed schodami na ganek. Dochodziła druga w nocy.

- Nie gaś silnika - polecił jej Reacher. Podeszli oboje do drzwi. Nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Otworzył je na oścież i wszedł do holu.

- Wystaw ręce - powiedział.

Zdjął ze stojaka przy ścianie wszystkie sześć sztucerów myśliwskich kaliber 5,6 mm i położył jej na przedramionach. Ugięła się pod tym ciężarem.

- Zanieś je do samochodu - polecił.

Na schodach rozległy się kroki, pojawił się Bobby Greer, przecierając zaspane oczy.

- Co wy tu, do cholery, robicie?

- Oddaj całą broń - rzekł twardo Reacher. - Requiruję wszystko. Jestem zastępcą szeryfa, pamiętasz?

- Nie mam więcej broni.

- Kłamiesz. Żadnemu szanującemu się wsiokowi z Południa nie wystarczą te liche pukawki. Gdzie masz prawdziwą broń? Bobby zawahał się. Potem wzruszył ramionami.

- No dobra - powiedział w końcu.

Przemierzył hol i otworzył drzwi do ciemnej klitki, która mogła być gabinetem. Zapalił światło i Reacher zobaczył cały stojak dobrze utrzymanych winchesterów. To się rozumie.

- Amunicja? - rzucił Reacher.

Bobby otworzył szufladę na dole stojaka. Wyjął z niej kartonowe pudełko z nabojami do winchestera.

- Mam też inne naboje - pochwalił się, wyjmując drugie pudełko. - Sam je zrobiłem. Są specjalnie wzmocnione.

Reacher kiwnął głową.

- Zanieś całą amunicję do samochodu.

Wziął cztery karabiny ze stojaka i wyszedł z domu za Bobbym. Alice siedziała w samochodzie. Sześć sztucerów piętrzyło się na tylnym

siedzeniu. Bobby położył obok pudełka z amunicją. Reacher postawił winchestery na sztorc za siedzeniem pasażera. Potem zwrócił się do Bobby'ego:

- Pożyczę od ciebie jeepa.

Bobby wzruszył ramionami.

- Kluczyki są w stacyjce.

- Nie wychodźcie teraz z matką z domu.

Bobby kiwnął głową i wszedł do środka. Reacher nachylił się, że by zamienić kilka słów z Alice.

- Po co nam dziesięć karabinów? - spytała.

- Nie potrzebujemy aż tyle. Wystarczy jeden. Ale nie chcę, żeby pozostałe dziewięć wpadło w łapska tych zbirów.

- Jadą tutaj?

- Są jakieś dziesięć minut za nami.

- Co zrobimy?

- Pojedziemy na pustynię.

- Będzie strzelanina?

- Pewnie tak.

- Czy to rozsądne? Sam mówiłeś, że to dobrzy strzelcy.

- Kiedy strzelają z pistoletów. A najlepszą obroną przed pistoletami jest ukryć się jak najdalej i walić do przeciwników z jak największego karabinu.

Potrząsnęła głową.

- Nie chcę brać w tym udziału, Reacher. To bezprawie, poza tym nigdy nie miałam broni w ręku.

- Nie będziesz strzelała - odparł. - Ale musisz być świadkiem, żeby zidentyfikować tych, którzy po nas przyjadą. To bardzo ważne.

- Przecież nic nie zobaczę. Jest ciemno.

- Jakoś to załatwimy.

- To bezprawie - powtórzyła.

- Powinna się tym zająć policja. Albo FBI. Nie wolno tak sobie strzelać do ludzi.

Powietrze było ciężkie przed burzą. Znów wiat wiatr, Reacher niemal czuł, jak ładunki elektryczne gromadzą się w napęczniałych od deszczu chmurach.

- Obrona własna, Alice - powiedział z naciskiem. - Nie kiwnę palcem, póki mnie nie zaatakują. Tak jak w wojsku, rozumiesz?

- Jesteś wariat.

- Mamy siedem minut - powiedział.

Spojrzała za siebie na drogę biegnącą z północy. Potrząsnęła głową i wrzuciła pierwszy bieg. Nachylił się i chwycił ją mocno za ramię.

- Trzymaj się blisko mnie.

Pobiegł do garażu, wsiadł do jeepa cherokee Greerów, uruchomił silnik, włączył światła i ruszył drogą gruntową na otwartą przestrzeń. Zerknął w lusterko, garbus jechał tuż za nim. Spojrzał przed siebie i wtedy pierwsza kropla spadła na przednią szybę. Była duża jak srebrna dolarówka.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

JECHALI jedno za drugim w ciemności prawie osiem kilometrów. Nie było śladu księżycy. Ani też gwiazd. Z nisko wiszącego grubego kożucha chmur tylko sporadycznie padały krople deszczu. Rozpryskiwały się na przedniej szybie w plamy wielkości spodka. Jeep podskakiwał i trząsał się, kiedy Reacher jechał sześćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę wyboistą drogą wśród zarośli, a biedny garbus z trudem za nim nadążał.

Osiem kilometrów od domu krajobraz się zmienił, powoli wznosił się, tworząc płaskowyż. Skaliste odkryvky pojawiły się w świetle reflektorów, droga prowadziła wśród nich na południowy wschód. Wybujale kępy jadłoszynu rosły przy coraz węższym trakcie. Wkrótce zamiast drogi zostały tylko dwie koleiny wyłobione w twardym gruncie. Występy skalne, rozpadliny oraz gęste kępy rosochatych krzewów po zwały im podążać tylko i wyłącznie tymi koleinami.

Następnie droga zaczęła piąć się pod górę, przecinając wapienny płaskowyż w miniaturze. Była to wyniesiona w górę skalista płyta wielkości boiska piłkarskiego, o długości ponad sto metrów i szerokości siedemdziesiąt, z grubsza owalna. Nie rosły na niej żadne rośliny. Reacher zakreślił jeepem szerokie koło i omiótł okolicę reflektorami. Na wszystkich krawędziach następował spadek terenu o jakieś pół metra, a dalej była już skalista gleba. Spodobało mu się to, co zobaczył.

Przejechał na drugi kraniec kamiennej płyty i stanął tam, gdzie kończyła się droga. Alice zatrzymała garbusa obok. Wskoczył z jeepa i nachylił się nad jej oknem.

- Obróć wóz i podjedź tyłem aż do krawędzi - powiedział. - Ile się da. Zablokuj wyłot drogi.

Tak manewrowała, aż samochód znalazł się w środku traktu, wówczas ustawiła go maską skierowaną na północ, skąd przyjechali. Reacher stanął maską jeepa w kierunku jej wozu i otworzył tylną klapę.

- Wyłącz silnik i światła - rzucił krótko. - Daj mi karabiny.

Podawała mu kolejno cztery wielkie winchestery. Otworzył pudełka z amunicją i wyjął specjalny nabój Bobby'ego. Bobby niewątpliwie zaopatrzył go w mnóstwo dodatkowej mocy, dzięki czemu pocisk powinien zyskać ze sto dziesiąt energii początkowej i może ze sto pięćdziesiąt kilometrów prędkości. Liczył właśnie na to, że z lufy buchnie jasny płomień. Reacher uśmiechnął się i wyjął jeszcze dziesięć naboju z pudełka. Potrzebował jak najjaśniejszego rozbłysku przy strzale.

Naładował pierwszego winchestera samymi nabojami roboty Bobby'ego. Do drugiego załadował ich siedem. Trzeci ładował na przemian: weszły trzy zwykłe i trzy specjalne. Czwartego wyłącznie amunicją fabryczną. Położył strzelby kolejno od lewej do prawej w bagażniku jeepa i zamknął klapę. Siadł za kierownicą i dał Alice znak, żeby usiadła obok.

- Gdzie teraz jedziemy? - spytała.

Uruchomił silnik i odjechał od garbusa.

- Wyobraź sobie, że ta płyta jest tarczą zegara - wyjaśnił. - Przyjechaliśmy na szóstej. Twój samochód zaparkowany jest tyłem do dwunastej. Będziesz się chowała za krawędzią na ósmej. Twoim zadaniem będzie oddanie jednego strzału, a następnie masz uciec na siódmą.

- Nie potrafię strzelać.

- Pociągniesz tylko za spust. Chodzi mi o huk wystrzału i błysk. Skinęła głową.

- Świetnie.

Podjechał jeepem blisko krawędzi kamiennej płyty i zatrzymał się.

Otworzył klapę, wyjął pierwszy karabin i pobiegł do szczeliny na brzegu skały, położył winchestera na ziemi, wycelowując w pustkę pięć metrów przed garbusem w oddali. Przeładował.

- Jest gotów do strzału - powiedział. - To pozycja na ósmej. Schowaj się za krawędzią, strzel, a następnie przesun się na siódmą. Czołgaj się przez całą drogę.

- A skąd będę wiedziała, kiedy strzelić?

- Będiesz wiedziała.

- Świetnie - powtórzyła.

Wsiadł znów do jeepa i popędził na czwartą. Nawrócił i zjechał tyłem ze skały. Pokonał niecały metr, gdy gwałtownie zatrzymały go zarośla. Wyłączył silnik i światła. Wziął czwarty karabin i oparł go o drzwi pasażera. Zabrał ze sobą drugi oraz trzeci i pobiegł z nimi na godzinę drugą. Położył trzeci na krawędzi skały i podbiegł do garbusa. Uchylił drzwi kierowcy na dziesięć centymetrów. Odmierzył pięć metrów zgodnie z ruchem wskazówek zegara i położył drugi karabin na ziemi między dwunastą a pierwszą. Około dwunastej trzydzieści. A mówiąc dokładnie, na dwunastej siedemnaście, pomyślał. Następnie wrócił i położył się na brzuchu na ziemi, tuż obok garbusa. Czekał. Osem minut, myślał, może dziewięć.

W RZECZYWISTOŚCI trwało to jedenaście minut. Ujrzał błysk na północy, w pierwszej chwili myślał, że to błyskawica, potem jednak dostrzegł światła reflektorów sunące po wertepach. Pół minuty później usłyszał warkot silnika. Dźwięk wznosił się i opadał, zgodnie z rytmem, w jakim koła łapały przyczepność i podskakiwały na wybojach. Mocne zawieszenie, pomyślał. To chyba pick-up Bobby'ego. Ten, z które go polował na pancerniki.

W końcu zobaczył półciągarówkę wjeżdżającą na płytę płaskowyżu. Wóz przyspieszył na płaskim terenie, pędząc wprost na niego. Reflektory omiotły garbusa. Żółta farba dała jaskrawy odbłask nad ramieniem Reachera. Pick-up gwałtownie zahamował i przystanął przodem do jedenastej, niecałe trzydzieści metrów przed nim.

Przez sekundę zupełnie nic się nie działo. Następnie kierowca pick-upa zgasił światła, zapadła całkowita ciemność. Nie było słychać nic prócz silnika pracującego na jałowym biegu. Reacher zastanawiał się, czy go widzieli.

Nic się nie działo.

Teraz, Alice, pomyślał.

Nic.

Strzelaj, Alice, rozkazał jej w myślach. Strzelaj teraz, na miłość boską, strzelaj.

Zacisnął oczy i czekał jeszcze trwającą wieczność sekundę.

W końcu Alice strzeliła. Po jego prawej stronie pojawił się wielki rozbłysk i echem rozszedł się potężny huk. Wyczołgał się spod garbusa i sięgając przez drzwi kierowcy, zapalił przednie światła. Odskoczył i przeturlał się dwa metry, by ujrzeć pick-upa skapanego w świetle. Było ich troje: kierowca w kabinie, dwie osoby przycupnięte na platformie trzymające się pałąka zabezpieczającego. Wszyscy znieruchomieli, wpatrzeni w punkt, skąd wystrzeliła Alice.

Po chwili zareagowali. Kierowca znów włączył światła. Reacher zauważył, że osoby z tyłu miały czapeczki i granatowe kurtki. Jedna z nich była wyraźnie niższa. Kobieta, pomyślał. Nagle zdał sobie sprawę, że to ona musiała być strzelcem. Drobne dłonie, zręczne palce. Lorcin Carmen był jak dla niej stworzony. Przykucnęła nisko po lewej stronie swego partnera. Oboje mieli pistolety i zaczęli strzelać w światła garbusa. Na czapeczkach widniał napis FBI. oblał go zimny pot. Co jest, do diabła? Po chwili rozluźnił się. Przebranie, podrobione dokumenty tożsamości, podszykowana crown victoria. Pojechali nią do mieszkania Alice. Właśnie w ten sposób zatrzymali Ala Eugene'a w piątek. Słyszał głuchoe odgłosy szybkich strzałów z pistoletów kaliber 9 mm. Zobaczył, jak rozpryskuje się przednia szyba garbusa, a po chwili nie było też światła. Widział nagle rozbłyski na końcach luf i pociski śmigające w kierunku Alice.

Podczołgał się do krawędzi płyty, gdzie znalazł karabin ustawiony na dwunastej siedemnaście. Winchester numer dwa, załadowany na bojami podrasowanymi przez Bobby'ego Greera. Strzelił, nie celując, siła odrzutu mało go nie powaliła na kolana. Z lufy buchnął wielki pióropusz ognia. Zupełnie jak flesz w aparacie. Nie miał pojęcia, dokąd powędrowała kula. Zarepetował i pognął na prawo w kierunku garbusa. Znowu strzelił. Dwa wielkie rozbłyski, odległe od siebie w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, sprawiają wrażenie, że człowiek porusza się z prawej na lewą. Wytrawny strzelec będzie celował trochę przed ostatnim rozbłyskiem, z nadzieją, że trafi w

ruchomy cel. Strzelanie z wyprzedzeniem. Łyknęli to. Usłyszał świst poci sków uderzających w skałę obok samochodu.

Ale już wtedy poruszał się w przeciwnym kierunku, znów zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Rzucił broń i podbiegł do trzeciego winchestera na godzinie drugiej, tego załadowanego nabojami na przemian. Pierwszy wystrzelił nabój fabryczny. Na pewno niebezpieczny. Wycelował w mrok dwa i pół metra za światłami pick-upa i ponad metr nad ziemią. Strzelił raz. Teraz będą myśleli, że strzelców jest trzech: jeden po lewej stronie i dwóch po prawej. Nie widział, gdzie trafił, ale zgasty światła pick-upa. Strzelił w to samo miejsce kolejnym nabojem ręcznej roboty. Wydobywający się z lufy pióropusz światła oświetlił całą płytę. Reacher zapamiętał, gdzie jest obiekt, i wystrzelił drugi fabryczny nabój, celując teraz precyzyjnie. Usłyszał przenikliwy krzyk. Strzelił jeszcze raz i ujrzał w rozbłysku ciało mężczyzny spadające z platformy wozu głową w dół.

Potem wydarzyły się dwie rzeczy. po pierwsze, pick-up wyrwał zniemacka do przodu i ruszył na północ, skąd przybył. A następnie strzały z pistoletu zaczęły trafiać obok garbusa. Kobieta szła w ciemności i strzelała raz za razem. Grad kul minął go o niecały metr. Półciężarówka odjechała szybko, jej warkot rozmył się w oddali. Raptem Reacher spostrzegł, że deszcz pada już inaczej. Zamiast sporadycznych wielkich kropli zaczęło kropić z coraz większą intensywnością. Po chwili deszcz syczał i huczał, bębniąc w krzewy jodłoszynu wokół niego.

Na szczęście mógł teraz hałasować do woli. Nie potrafiłby się wycofać tak bezszelestnie jak kobieta. Owszem, nieźle jest mieć metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i ważyć sto dziesięć kilogramów, ale na pewno nie wtedy, gdy trzeba się przedzierać nocą przez pustynne zarośla. Co innego w tym deszczu. Mniej pocieszające było to, że za moment widoczność spadnie do zera. Mogą wpaść na siebie z kobietą, nieświadomi, że znaleźli się w tym samym punkcie.

Wycofał się do jeepa na czwartą. Znalazł czwarty karabin oparty o drzwi, załadowany fabrycznymi nabojami. Broń była mokra. Otrząsnął ją i wycelował na jedenastą. Strzelił cztery razy - na dwunastą, pierwszą, drugą i trzecią. Ostrzeliwanie. Hazard. Zaleta jest taka, że jeśli mu dopisze szczęście, trafi w kobietę. A wada taka, że zdradza kobiecie, iż jest sam. Jeden facet, chociaż więcej niż jeden

karabin. Teraz łatwo się tego domyślić. Strzały zdradzą też jego pozycję.

Wsunął karabin pod jeepa i pomknął na zachód przez krzaki, aż znalazł się dwanaście metrów od krawędzi skały. Wyjął z kieszeni hecklera & kocha Alice, odbezpieczył go i ruszył na południe, oddalając się od jeepa, ale zbliżając do garbusa, trzymając się dziesięć metrów od zarośli. Deszcz walił coraz mocniej. Huk był nieprawdopodobny. Trudno było sobie wyobrazić coś głośniejszego.

Znajdował się naprzeciwko pozycji na drugiej, kiedy z nieba błysnęło. Szybko przykucnął i spojrzał przed siebie. Niczego nie dostrzegł. Gdzie ona jest? Przywarła gdzieś do krawędzi płyty, przerażona jak jeszcze nigdy w życiu.

Drugi piorun błysnął trzy minuty później. Reacher uniósł się nieco i zerknął na lewo. Zauważył kobietę dwadzieścia metrów od siebie, schowaną przed deszczem na półce skalnej. Dostrzegł litery na jej czapce: FBI. Patrzyła wprost na niego, trzymając pewnie broń. Nagle lufa rozbłysła, strzeliła do niego. Odgłos był ledwie słyszalny, gdyż zagłuszyła go burza.

Chybiła. Błyskawica przygasła i znów wszystko pograżyło się w całkowitym mroku. Reacher strzelił w jej kierunku i nastawił uszu. Nic. Pewnie chybiłem. Potem rozległ się grzmot. Ogłuszający grzechot rozszedł się echem po ziemi. Zostało mu jeszcze dziewięć naboii. Postanowił zastosować podwójny blef. Będzie myślała, że zmienię pozycję, a ja tego nie zrobię. Nie ruszył się z miejsca. Czekał na kolejną błyskawicę. Dzięki niej przekona się o jej umiejętnościach. Amatorka oddaliłaby się od niego. Prawdziwa profesjonalistka również zastosowałaby podwójny blef i nie ruszała się z miejsca.

Kolejny piorun trafił bliżej. Kobieta przysunęła się, wciąż przykra wędzi płyty. Dobrze, ale nie wzorowo. Strzeliła do niego i chybiła o metr. Teraz on strzelił do niej. Nie był pewny, czy trafił.

I znów kalkulacje. Co ona robi? Jak sądzi, co ja zrobię? Ostatnim razem się pomyliła. Więc tym razem pomyśli, że się przybliżę. Zatem i ona się zbliży.

Pozostał przykucnięty dokładnie w tym samym miejscu. Potrójny blef. Przesunął pistoletem wzdłuż hipotetycznej drogi jej przemieszczania się. Oczekiwał na błyskawicę. Błysnęło szybciej, niż się spodziewał. Wyteżył wzrok. Kobieta znikła. Gwałtownie obrócił się

w lewo i dostrzegł wyraźną granatową smugę oddalającą się w przeciwnym kierunku. Instynktownie wystrzelił przed nią i błyskawica zgasła.

Skoczył na równe nogi i puścił się pędem w tył na lewo, łamiąc po drodze krzewy i rozpryskując kałuże. Było mu wszystko jedno, ile hałasu przy tym czynił. I tak niczego nie było słychać z odległości jednego metra. Musiał uzyskać nad nią przewagę przed kolejnym piorunem.

Biegł wielkim łukiem, potem zwolnił i przystanął przy wapiennej krawędzi około pięciu metrów na północ od miejsca, gdzie zauważył ją pierwszy raz. Przemieściła się na południe, a potem z powrotem, więc teraz powinna znów iść na południe. Powinna być jakieś dziesięć metrów z przodu. Wprost przed nim. Podążał w ślad za nią, starając się wczuć w rytm błyskawic, gotów w każdej chwili paść na mokrą ziemię.

Kolejny błysk pioruna rozświetlił całą okolicę. Reacher gwałtownie przykucnął i wyteżył wzrok. Nie ma jej tam. Padł na brzuch w błoto i leżał nieruchomo. Może poszła w stronę jeepa.

Przy kolejnym rozbłysku zrobiło się jasno jak w dzień, grzmot był potężny, a błyskawica podświetliła spód chmur, jak flara oświetlająca pole walki. Jeep był daleko. Zdecydowanie za daleko. Obrócił się, więc i poczołgał na południe. Poruszał się powoli na czworaka. Trzy metry, sześć, osiem. Nagle poczuł woń perfum.

Była intensywniejsza od zapachu deszczu. Czy to aby na pewno perfumy? A może zapach natury, na przykład jakiś nocny kwiat, który gwałtownie zakwita w czasie burzy? Nie, to perfumy. Leżał bez ruchu.

W którą stronę jest zwrócona? Jeśli spogląda na północ, to patrzy prosto na mnie, tyle, że mnie nie widzi. Zbyt ciemno. Uniósł się na lewym przedramieniu i wycelował pistolet. Wstrzymał oddech.

Na ułamek sekundy niebo się rozdarło i wielka błyskawica oświetliła pustynię jaśniej niż słońce. Kobieta znajdowała się metr od niego. Leżała twarzą do ziemi, nogi miała ugięte w kolanach, pistolet upadł obok ramienia, zanurzony do połowy w błocie. W ostatniej chwili, nim zapadła ciemność, wymacał jej szyję. Nie wyczuł pulsu. Ciało zdążyło już trochę ostygnąć. Strzelanie z wyprzedzeniem. To musiał być trzeci pocisk, który instynktownie wycelował tuż przed nią, kiedy kobieta się przemieszczała. Wyskoczyła kuli naprzeciw.

Następny piorun błysnął światłem mniej wyraźnym, rozproszonym w przestrzeni. Reacher przewrócił kobietę na plecy, rozerwał kurtkę i koszulę. Tak, trafił ją w lewą pachę. Kula przeszła na wylot drugim bokiem tułowia. Prawdopodobnie przestrzelił jej serce, płuca oraz kręgosłup.

Była średniej postury. Włosy blond, nasiąknięte wodą i utyłane błotem, tam gdzie wymykały się spod czapki FBI. Twarz wydała mu się skądś znajoma. Bar. Mrożona cola. Wziął ich wtedy za zespół handlowców. Kolejny błąd.

Włożył do kieszeni pistolet Alice i wrócił do jeepa. Było tak ciemno, a dodatkowo deszcz zalewał mu oczy, że dosłownie wpadł na samochód. Macając ręką po masce, dotarł do drzwi kierowcy i wszedł do środka.

Włączył długie światła, uruchomił napęd czterołożowy i buksował, póki przednie opony nie odzyskały przyczepności, po czym wjechał pod górkę. Potem szerokim łukiem podjechał do stanowiska na siódmej. Zatrąbił dwa razy, na co Alice wynurzyła się niepewnie zza krzaka jadłoszywny i podbiegła do drzwi pasażera.

- Nic ci nie jest? - spytał.

- Co się stało?

Ruszył bez słowa, jechał zygzakiem, by przeczesać reflektorami całą płytę. Dziesięć metrów przed zniszczonym garbusem znalazł ciało mężczyzny. Był wysoki i potężny, dostał kulą z winchestera w brzuch. Reacher przypomniał sobie scenę w barze. Kobieta i dwóch mężczyzn.

- Dwa trupy - powiedział. - To się stało. Ale kierowca uciekł. Rozpoznałaś go? Potrząsnęła głową.

- Nie, przykro mi. Biegłam, a światła paliły się raptem sekundę czy dwie.

- Widziałem już tych ludzi. - Zastanowił się chwilę. - W piątek na skrzyżowaniu. Pewnie wkrótce po zabójstwie Eugene'a. Była ich trójka. Kobieta, zwalisty facet i drobny brunet. Mogę odfajkować kobietę i tego wielkoluda. Ale czy drobny brunet był dziś ich kierowcą?

- Niewiele widziałam. A ty?

- Patrzył się w przeciwnym kierunku, tam skąd ty strzeliłaś. Rozbłysk był potężny. Potem ja strzelałem, a po chwili uciekł. Ale chyba nie był mały.

Kiwnęła głową.

- Też mam przeczucie, że nie był mikrusem. Ani brunetem. Mignął mi tylko, ale sędzę, że był dość duży. Miał chyba jasne włosy.

- To by się zgadzało - rzekł Reacher. - Zostawili tego bruneta, że by pilnował Ellie.

- Więc kto siedział za kółkiem?

- Ich klient. Facet, który ich wynajął. Tak przypuszczam.

- Uciekł.

Reacher uśmiechnął się.

- Może sobie uciekać, ale się nie ukryje.

PRZYJRZELI się garbusowi. Nie nadawał się już do niczego. Alice wzruszyła tylko ramionami i obróciła się na pięcie. Reacher wyjął ze schowka mapy, nawrócił jeepem i ruszył z powrotem do Czerwonego Domu. Deszcz przeszedł teraz w mżawkę.

Reacher gwałtownie wyminął garaż i dostrzegł nagle światelka pełgające w oknach domu.

- Pałą świeczki - powiedział.

- Pewnie wysiadł prąd - zauważyła Alice.

Tak ustawił jeepa, że wewnątrz garażu znalazło się w świetle jego reflektorów.

- Rozpoznajesz? - spytał.

Pick-up Bobby'ego znów stał na swoim miejscu, ale był mokry i umazany błotem. Z tyłu skapywała woda. Reacher obrócił głowę i obserwował drogę na północy.

- Ktoś się zbliża - zauważył.

Gdzieś w oddali widać było nagle światła samochodu.

- Przywitajmy się z Greerami - zaproponował.

Weszli po schodkach na ganek, pchnął drzwi i wprowadził Alice do salonu. Lampa naftowa stała na komódce, syczała, płonąć jasno.

Choć była trzecia w nocy, Bobby siedział z matką przy stole. Rusty była ubrana w dżinsy i koszulę. Bobby zajmował miejsce obok niej ze wzrokiem utkwionym w pustkę.

- Czyż to nie romantyczna sceneria? - odezwał się Reacher.

Rusty poruszyła się zakłopotana.

- Boję się ciemności - wyjaśniła - to silniejsze ode mnie. Zawsze tak było.

- W ciemności mogą się też zdarzyć różne nieszczęścia - przyznał Reacher.

Nic nie odpowiedziała.

- Twoja półciężarówka jeździła dzisiejszej nocy - zwrócił się Reacher do mężczyzny.

- Ale to nie my - zastrzegł się Bobby - Nie ruszaliśmy się z miejsca, tak jak nam kazałeś. Oboje.

Reacher uśmiechnął się.

- Stanowicie dla siebie nawzajem alibi - powiedział. - Koń by się uśmieł.

Teraz usłyszał, jak pod ganek podjeżdża samochód. Kroki na schodach. Skrzypią drzwi frontowe, kroki w przedpokoju. Drzwi do salonu się otwierają i do pokoju wchodzi Hack Walker.

- Świetnie - powiedział Reacher. - Nie mamy wiele czasu.

- To ty się włamałeś do mojego gabinetu? - odezwał się Walker.

Reacher kiwnął głową.

- Byłem ciekaw.

- Czego?

- Szczegółów - odparł. - Interesują mnie szczegóły.

- Wpadłeś po uszy.

Reacher uśmiechnął się.

- Siadaj, Hack - zaproponował.

Walker zawahał się.

W końcu usiadł obok Rusty Greer. Reacher zajął miejsce naprzeciwko. Położył dłonie na drewnianym blacie.

- Byłem niezłym gliną przez trzynaście lat - zaczął. - Wiele się nauczyłem. Na przykład tego, że kłamstwa są niechlujne. Wymykają się spod kontroli. Ale prawda też bywa niechlujna. A więc w każdym wypadku będą jakieś zadziory. Zawsze nabieram podejrzeń, gdy wszystko jest gładziutkie, jak pupcia niemowlaka. Sytuacja Carmen była wystarczająco pogmatwana, by być prawdziwa.

- Ale?

- Niektóre zadziory były zbyt ostre. Carmen nie miała przy sobie pieniędzy. Wiem to na pewno. Choć ma dwa miliony na koncie, podróżuje pięćset kilometrów z jednym dolarem w portmonetce? Śpi w samochodzie? Jeździ od jednej stacji Mobila do drugiej?

- Udawała. Jest niezłą komediantką.

- Słyszałeś o Mikołaju Koperniku?

- To przedpotopowy astronom - odparł Walker. - Udowodnił, że Ziemia krąży wokół Słońca.

Reacher kiwnął głową.

- Zadał nam pytanie, jakie jest prawdopodobieństwo tego, że możemy być pepkiem całego wszechświata? Jakie szanse, że to, co widzimy, jest absolutnie wyjątkowe?

- Co z tego wynika?

- Jeśli Carmen miała na koncie dwa miliony dolarów, ale podróżowała z jednym dolarem, na wszelki wypadek, że a nuż spotka tak podejrzliwego gościa jak ja, to jest najbardziej przewidującą i najlepszą aktorką wszech czasów. Pocziwy staruszek Kopernik pyta mnie, na ile jest to prawdopodobne? Otóż prawdopodobieństwo jest bliskie zeru.

- Do czego zmierzasz?

- Zmierzam do tego, że nie kupiłem tej wersji. Zacząłem rozmyślać o pieniądzach w banku. I tu znów coś mi się nie zgadzało.

- Co takiego?

- Ludzie Ala Eugene'a przesłali kurierem dokumenty dotyczące finansów Słupa, prawda?

- Dziś rano, a wydaje się, że minęły wieki.

- Kiedy jednak szedłem do muzeum, zobaczyłem przypadkiem biuro Ala. Jest tuż obok sądu, zaledwie minuta marszu. Dlaczego więc osobiście nie przynieśli tych dokumentów? Przecież to była bardzo pilna sprawa. Samo zamówienie kuriera trwało na pewno dziesięć razy dłużej.

- Tu często przesyła się różne rzeczy kurierem - powiedział Walker. - To normalka. Zresztą było zbyt gorąco na chodzenie.

- Może. To nie miało wtedy jeszcze wielkiego znaczenia. Ale potem nie zgodziło mi się jeszcze coś. Obojczyk.

- Co z nim nie tak?

- Mam na myśli otarcie skóry. Jechałem z Carmen w sobotę. Wtedy pierwszy raz. Przede wszystkim pamiętam, jak wysoko siedzi się w siodle. To przerażające. Jeśli więc Carmen spadła z takiej wysokości na kamienie, tak silnie, by złamać sobie obojczyk, to dlaczego nie obtarła sobie skóry na dłoniach?

- Może obtarła.

- W szpitalu nie napisali o tym ani słowa.

- Może zapomnieli.

- To był niezwykle szczegółowy opis badania. Pracujący rzetelnie nowy personel. Zauważyłem to, podobnie zresztą jak Cowan Black. Zwrócił uwagę, że byli niezwykle skrupulatni. Na pewno odnotowaliby skaleczenia dłoni.

- Pewnie miała rękawice do jazdy konnej.

Reacher pokręcił głową.

- Powiedziała mi, że w tych stronach nikt nie nosi rękawic. Zbyt gorąco. Zacząłem się zastanawiać, że może jednak obojczyk złamał jej Ślup, kiedy ją bił. Utrzymywała także, że złamał jej rękę oraz szczękę i wybił kilka zębów, w aktach choroby nie było nic na ten temat, więc przestałem się nad tym głowić. Zwłaszcza, gdy przekonałem się, że pierścionek jest prawdziwy.

Świeca na lewym krańcu stołu zgasła. Wypaliła się, przez sekundę prosty jak struna, cieniutki wężyk dymu unosił się nad knotem, a potem zaczął spiralnie wirować.

- Ona kłamie i tyle - rzekł lekceważąco Walker.

- Mój syn nie podniósłby ręki na kobietę - wtrąciła Rusty.

Reacher zwrócił się do niej.

- Wkrótce zajmiemy się tym, co Ślup zrobił, a czego nie. Teraz jednak mamy kilka spraw do omówienia z Hackiem.

- Jakich spraw? - zdziwił się Walker.

- Takich spraw - powiedział Reacher, opierając pistolet Alice o stół i celując w pierś Walkera.

- Co ty, do diabła, wyczyniasz? - zawołał prawnik.

- Kiedy zrozumiałem, o co chodzi z tym brylantem, elementy układanki zaczęły do siebie pasować. Stało się dla mnie jasne, po co dałeś nam odznaki i wysłałeś na rozmowę z Rusty Greer w Czerwonym Domu.

- O czym ty gadasz?

- Znasz dobrze Carmen, więc wiedziałeś, co musiała mi powiedzieć. A nigdy nie kłamała. Mówiła prawdę o sobie i o tym, jak traktował ją Ślup. Więc ty odwróciłeś kota ogonem. To proste. Sprytna i przekonująca sztuczka. Powiedziała mi, że pochodzi z Napa, więc ty powiedziałeś: „Na pewno mówiła, że pochodzi z Napa, ale to nieprawda”. Powiedziała mi też, że dzwoniła do urzędu skarbowego z

donosem, a ty na to: „Na pewno mówiła ci, że dzwoniła do urzędu skarbowego, ale to nieprawda”. Bardzo skutecznie kłamałeś. A wszystko to robiłeś, udając, że chcesz ją uratować.

- Naprawdę chciałem ją ocalić i nadal chcę.

- Nie, Hack. Zależało ci tylko na tym, żeby przyznała się do czegoś, czego nie zrobiła. Plan był prosty. Wynajęci przez ciebie ludzie uprowadzili Ellie, żeby zmusić Carmen do przyznania się do winy. Wszystko poszłoby gładko, gdyby nie ja. Mieszałem się w nie swoje sprawy i zatrudniłem Alice. Psuliśmy ci szyki od poniedziałku rano, więc wodziłeś nas za nos przez bite dwadzieścia siedem godzin. Powoli i precyzyjnie robiłeś nas w balona. Zegarmistrzowska robota. Ale nie obyło się bez potknięć. Żeby wszystko poszło jak po maśle, musiałbyś być najlepszym kłamcą na świecie. A co starszek Kopernik mówi o możliwości, że najlepszy kłamczuch na świecie trafi się akurat w Pecos?

- Rozum ci odjęło - wycodził przez zęby Walker.

- Wręcz przeciwnie. Byłeś na tyle przebiegły, by podsunąć nam cyniczny powód, dla którego chcesz ją ocalić. Walka o stołek sędziego. Cwany ruch, Hack. Ale ciągle rozmawiałeś z Carmen przez telefon, przedstawiając się strażnikowi jako jej adwokat, a jej groziłeś, że skrzywdzisz Ellie, jeśli zgodzi się na rozmowę z prawdziwym adwokatem. Dlatego nie chciała gadać z Alice. Potem napisałeś na swoim komputerze fałszywe sprawozdania finansowe, sporządziłeś fałszywe dokumenty rodzinnych rachunków powierniczych. Kiedy tylko otrzymałeś wiadomość od swoich zbirów, że porwali dziewczynkę, zadzwoniłeś do Carmen kolejny raz i powiedziałeś jej dokładnie, co ma zeznać, przekazując te same kłamstwa, które wcisnąłeś mnie.

- Nonsens.

Reacher wzruszył ramionami.

- To udowodnij, że było inaczej.

Wciąż trzymał pistolet wycelowany w pierś Walkera, ale odwrócił się do Rusty.

- Proszę mi powiedzieć, o co pytali panią agenci FBI, kiedy zaczęli szukać Ellie - poprosił.

Rusty spojrzała ze zdumieniem.

- Jacy znowu agenci?

- Nie było u pani agentów FBI tej nocy?

Potrząsnęła rudą czupryną.

Reacher pokiwał głową.

- Odgrywałeś przed nami komedię, Hack. To twoje słowa, że zawiadomiłeś FBI i policję stanową, że zablokowano drogi, wysłano helikoptery, a teren przeczesuje ponad stu pięćdziesięciu funkcjonariuszy. Jednak do nikogo nie zadzwoniłeś. Nie zrobiłeś tego, bo w pierwszej kolejności przyjechaliby tu. Wiele godzin rozmawialiby z Rusty. Przystaliby specjalistów od portretów pamięciowych oraz techników kryminalistyki. Przecież to miejsce przestępstwa. A Rusty jest jedynym świadkiem.

- Widziałem na podwórku funkcjonariuszy FBI - wtrącił Bobby.

Reacher potrząsnął głową.

- To tylko dwie osoby, które miały na głowie czapki z napisem FBI - wyjaśnił. - Ale już ich nie noszą.

Walker nie odezwał się.

- Zrobiłeś poważny błąd, Hack - ciągnął Reacher. - Że dałeś nam odznaki i posłałeś tutaj. Wiedziałeś, że Rusty to koronny świadek. Wiedziałeś też, że nie będzie chciała z nami współpracować. A więc decyzja o wysłaniu nas tutaj wydawała się niezrozumiała. Byłem zdumiony. Ale potem przejrzałem na oczy. Chciałeś tu przysłać swoich ludzi w ślad za nami.

- Jakich ludzi?

- Najemnych morderców, Hack. Ludzi w czapkach FBI. Tych samych, których posłałeś, by zabili Ala Eugene'a. Tych, którym zleciłeś zabójstwo Slupa. To nieźli zawodowcy. Ale kłopot z zawodowcami polega na tym, że oni chcą nadal pracować w przyszłości. Sprzątnięcie Ala Eugene'a poszło jak z płatka. Każdy dokonałby tego na tym pustkowiu. Trudniej było ze Slupem. Wrócił właśnie z więzienia do domu i nigdzie się nie wybierał w najbliższej przyszłości. Trzeba to było załatwić na miejscu, co rodziło duże ryzyko. Zgodziłeś się kryć ich, wrabiając Carmen. Potem ich nakłoniłeś, żeby ci pomogli w tym, porywając dziecko.

- To niedorzeczne - rzucił z gniewem Walker.

- Wiedziałeś, że Carmen kupiła pistolet - kontynuował Reacher.

- I nie miałaś wątpliwości, po co go kupiła. Wiedziałeś wszystko o Slupie i o tym, jak ją traktuje. Zdawałeś sobie sprawę, że ich sypialnia

przypomina celę tortur, więc że na pewno tam schowa pistolet. Twoi ludzie pewnie obserwowali ją przez okno do momentu, gdy poszła pod prysznic. Natychmiast wpadli do pokoju, wycelowali w Slupa swoje pistolety, nim znaleźli broń Carmen, z której go zastrzelili. Pół minuty i już ich nie było.

Walker zamknął oczy. Był blady i wyglądał staro.

- Popelniałeś jednak błędy, Hack - powtórzył Reacher. - Nie przyłożyłeś się do sfalszowania sprawozdań finansowych. Taka kupa kasy i żadnych wydatków? Czy to możliwe? Potem wpadka z kurierem. Gdyby dokumenty faktycznie przyniósł kurier, zatrzymałbyś je w oryginalnej kopercie.

Walker otworzył oczy i spojrzał arogancko.

- Zapominasz o dokumentacji choroby, Reacher - powiedział. - Sam ją widziałeś. Najlepiej dowodzi, że ona kłamie.

Reacher kiwnął głową.

- Rozważne było zostawienie diagnoz w oryginalnej paczce FedExu, ale zapomniałeś zedrzeć naklejkę z przodu. Cennik FedExu zależy od wagi przesyłki, więc zważyłem paczkę na kuchennej wadze Alice. Czteryście osiemdziesiąt gramów. A na nalepce widniało: tysiąc siedemdziesiąt gramów. Zatem wyjąłeś i wyrzuciłeś około sześćdziesięciu procent zawartości. Zostawiłeś tylko faktyczne wypadki. Ale przeoczyłeś kwestię otartego naskórka na dłoni, więc omyłkowo zostawiłeś także złamanie obojczyka. A może wydawało ci się, że musisz zostawić tę diagnozę, ponieważ tamta kontuzja pozostawiła widoczne zgrubienie, które mogłem zauważyć.

Walker nie odzywał się. Reacher uśmiechnął się.

- Przeważnie nieźle sobie radziłeś - przyznał. - Kiedy zwróciłem uwagę na powiązanie z Eugene'em, w dziesięć sekund wymyśliłeś motyw z urzędem skarbowym. Byłeś jednak tak skoncentrowany na główkowaniu, że zapomniałeś dostatecznie okazać strach z powodu tego, że dwóch z waszej trójki już wacha kwiatki. Przecież zagrożenie było całkiem realne. Powinieneś był się bardziej przejąć.

Walker nic nie mówił. Bobby trwał pochylony, utkwivszy w nim wzrok i powoli wszystko do niego docierało.

- Nasłateś ludzi, żeby zabili mojego brata? - wyszeptał.

- Nie. Reacher się myli - powiedział szybko Walker. - Czemu miałbym to robić? Jaki mógłbym mieć motyw?

- Chciałeś zostać sędzią - rzekł dobitnie Reacher. - Wcale nie dla tego, by czynić dobro. Zależało ci na władzy, bo jesteś żądny pieniędzy i wpływów. Ale najpierw musiałeś zostać wybrany. Co może za szkodzić w wyborach?

Walker wzruszył ramionami.

- Skandal - dopowiedział Reacher. - Dawne grzeszki z czasów, kiedy tworzyliście jeszcze paczkę ze Slupem i Alem. Byliście wówczas prawie nierozłączni. Slup znalazł się w ciupie za oszukiwanie fiskusa. Bardzo się tam męczył. Zastanawiał się, jak się wydostać, i przypomniał sobie, że jego dawny kumpel Hack ubiega się w tym roku o urząd sędziego. Co jest gotów zrobić, by otrzymać to upragnione stanowisko? Slup zadzwonił do ciebie i zagroził, że zacznie rozpuszczać na twój temat nieprzyjemne pogłoski, jeśli go nie wydobędziesz z więzienia. Spłaciłeś więc fiskusowi jego dług z pieniędzy przeznaczonych na kampanię wyborczą. Slup dostał to, czego chciał, ale ciebie wciąż coś gnębiło. Slup zaszantażował cię raz. A jeśli zrobi to znowu? Al też był w to zamieszany jako adwokat Slupa. Twoje szanse na stołek sędziego zaczęły się kurczyć.

Walker nadal milczał.

- Wiesz, co napisał kiedyś Benjamin Franklin? - spytał Reacher. - „Trzy osoby potrafią dotrzymać tajemnicy pod warunkiem, że dwie z nich nie żyją”.

W pokoju zapadła cisza. Nikt się nie poruszał, nikt nawet nie od dychał. Tylko delikatny syk lampki i pełgające maleńkie płomyki świec.

- Co to za tajemnica? - wyszeptała Alice.

- Trzech chłopaków z teksańskiej wsi - powiedział Reacher. - Dorastali razem, grali w piłkę, wygłupiali się. Z wiekiem zaczęli interesować się bronią i polowaniami. Pewnie zaczęli od pancerników. Nie powinni byli do nich strzelać, bo to chroniony gatunek. Ale każdy z nich myślał sobie: skoro są na mojej ziemi, to mogę je zabijać. Bobby sam mi to mówił. Jednak pancerniki są niemrawe. Gdzie tu emocje? Chłopcy byli coraz starsi. Chodzili do ostatniej klasy liceum. Pragnęli silniejszych wrażeń. Trudniejszych przeciwników. Polowali nocą. W pick-upie. Jeździli daleko. Wkrótce znaleźli większe ofiary. Ten sport bardzo im przypadł do gustu.

- Jaki znowu sport?

- Meksykanie - rzekł dobitnie Reacher. - Brali tego starego pick-upa, jeden prowadził, a dwóch stało na platformie. Bobby powie dział, że to pomysł Slupa. Mówił, że Slup był dobry w te klocki. Pewnie wszyscy byli. Ćwiczenie czyni mistrza. Zrobili to dwadzieścia pięć razy w ciągu roku.

- To była sprawka granicznego patrolu - zaprotestował Bobby.

- Wcale nie. W raporcie nie chodziło o zatuszowanie sprawy. Napisano w nim samą prawdę. Powiedział mi to sierżant Rodriguez. Śledztwo utknęło w ślepych zaułku, ponieważ szukano nie tam, gdzie trzeba. Wcale nie chodziło o żadnych zwyrodniałych oficerów. Zabójcami byli trzej miejscowi: Slup Greer, Al Eugene oraz Hack Walker. Chłopcy zawsze będą chłopcami, no nie?

W pokoju panowała cisza.

- Ataki skończyły się pod koniec sierpnia - ciągnął Rsacher. - Dlaczego? Wcale nie dlatego, że przestraszyli się śledztwa, bo nic o nim nie wiedzieli. Po prostu rok akademicki zaczyna się na początku września. Poszli na pierwszy rok studiów. Kolejnego lata było to zbyt niebezpieczne, a może już z tego wyrosli. Cała historia poszła w zapomnienie. Dopiero po dwunastu latach odgrzebał ją Slup, kiedy szukał sposobu na wydostanie się z więzienia. - ciągnął Rsacher.

Wszyscy utkwili wzrok w Walkerze. Był biały jak ściana.

- Nie - odezwał się schrypniętym głosem. - To nie tak. Chciałem porwać Ellie tylko na jakiś czas. Wynająłem do tego miejscowych ludzi. Miałem mnóstwo pieniędzy na kampanię. Obserwowali ją przez tydzień. Odwiedziłem w więzieniu Slupa i powiedziałem mu o swoich zamiarach, ale on zupełnie się tym nie przejął. Odparł: „Chcesz, to zabieraj Ellie”. Nie zależało mu na niej. Był wewnętrznie skłócony. Ożenił się z Carmen, żeby siebie ukarać za nasze uczynki, jak sądzę. Dlatego ciągle ją bił. Wciąż mu przypominała o dawnych grzechach, więc nie przejął się groźbą porwania dziecka.

- Wtedy nająłeś innych ludzi.

Walker kiwnął głową.

- Przejęli całą sprawę i na moją prośbę sprzątnęli obserwatorów.

- Potem sprzątnęli Ala i Slupa.

- To była stara zamknięta sprawa, Reacher. Slup nie powinien był jej wywlekać. Byliśmy wtedy dziećmi. Obiecaliśmy sobie, że nigdy o tym nie wspomnimy. Przyrzekliśmy to sobie. Nigdy, przenigdy. Nie

wracaliśmy już do tego, jakby to w ogóle nie miało miejsca. Jakby to był trwający przez rok koszmary sen.

Panowało milczenie.

- Dzisiejszej nocy ty prowadziłeś pick-upa - stwierdził Reacher.

Walker znów powoli kiwnął głową.

- Jeszcze wy dwoje i miało być po wszystkim. - Z trudem przełknął ślinę i zacisnął powieki. - Ale strach mnie obleciał. To mnie przerosło.

Cisza.

- Masz przy sobie broń? - spytał Reacher.

Walker kiwnął głową.

- Rewolwer w kieszeni.

- Czy może mi go pani podać, pani Greer? - poprosił Reacher.

Rusty sięgnęła do kieszeni Walkera. Wyjęła rewolwer Colt Detective Special i przymierzyła go do swojej dłoni.

- Gdzie jest Ellie, Hack? - spytał Reacher.

- Nie wiem - odparł Walker. - Zatrzymują się w motelach. Nie mówili dokładnie gdzie.

- Jak się z nimi kontaktujesz?

- Przez specjalny numer pośrednika w Dallas. Pewnie rozmowy są przekierowywane.

- Mamy zerwaną linię - powiedział Bobby.

Reacher uniósł pistolet Alice. Przystawił go na pół metra od twarzy Walkera. Zaczął naciskać spust, w świetle świecy widać było, jak zbieła mu skóra na palcu.

- Chcesz umrzeć, Hack?

Walker skinął głową.

- Tak - wyszeptał.

- Ale najpierw powiedz. Tylko nie kłam. Gdzie ona jest?

- Nie wiem.

Reacher westchnął i opuścił pistolet na blat stołu. Nikt się nie odzywał. Nikt się nie ruszał. Nagle Rusty podniosła niepewnie broń Walkera, zatoczyła lufą półokrąg i wycelowała w czoło prawnika.

- Zabiłeś mi syna - wyszeptała.

Walker nawet się nie poruszył.

- Przykro mi.

Rewolwer Colt Detective Special to broń z mechanizmem spustowym podwójnego działania, co oznacza, że przesunięcie spustu o połowę powoduje odciągnięcie kurka i obrócenie bębena, jeśli naciskamy dalej, kurek opada i następuje strzał.

- Rusty, nie! - ostrzegł Reacher.

- Mamo! - zawołał Bobby.

Kurek cołta szczęknął.

- Nie! - krzyknęła Alice.

Kurek opadł. Rewolwer wypalił. Huk i płomień były ogromne. Rusty strzeliła ponownie. Drugi pocisk w ślad za pierwszym przeszył głowę Walkera. Rusty uniosła broń i wystrzeliła w powietrze. Trzeci strzał zrobił dziurę w ścianie, a czwarty trafił w zbiorniczek z naftą w lampie.

Ściana zajęła się błyskawicznie. Płomienie wystrzeliły gwałtownie w górę i na boki, paliła się ściana od podłogi aż po sufit. Ogień rozprzestrzenił się na boki, po chwili wszystkich otoczyły płomienie.

- Uciekamy! - krzyknął Reacher.

Pociągnął Rusty w stronę wyjścia. Alice już była w holu i otworzyła drzwi frontowe. Reacher czuł, jak do środka wdzierają się wilgotne powietrze, które podsyci ogień.

Alice zbiegła po schodkach na podwórko, Reacher pchnął Rusty w ślad za nią. Sam wpadł ponownie do holu, w którym kłębił się dym. Bobby krztusił się przy drzwiach do salonu. Reacher chwycił go za nadgarstek, wykręcił mu rękę i wyciągnął w mrok na środek podwórka.

- Wszystko spłonie! - wrzeszczał Bobby. - Na popiół!

Z okien padało migoczące żółte światło. Płomienie tańczyły za szybami. Ze środka dochodziły potężne trzaski trawionego przez ogień drewna. Mokry dach lekko parował. Reacher chwycił dłoń Alice i puścił się biegiem do jeepa.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

KIEDY burza przesunęła się na północ, kierowca domyślił się, że jego partnerzy już nie wrócą. Przekonanie było tak silne, iż przerodziło się w pewność. Wyszedł z motelu w mrok. Bulgotały

studzienki, krople skapywały z drzew. Nikt nie nadchodził. Nikt już nie miał nadejść. Wrócił do pokoju i spojrzał na pogrążone we śnie dziecko.

Wykona swoje zadanie, choć nie sprawi mu to przyjemności. Otworzył znowu drzwi i powiesił na klamce od zewnątrz tabliczkę: NIE PRZESZKADZAĆ. Zamknął drzwi i przekręcił zamek od środka. Założył łańcuch i ruszył w głąb pokoju.

- TY PROWADZISZ! - zawołał Reacher. - Na północ, okay?

Pchnął Alice w kierunku drzwi kierowcy, a sam obiegł samochód. Przysunęła sobie fotel, on zaś odsunął swój i rozłożył mapy na kolanach. Po lewej stronie Czerwony Dom gwałtownie płonął. Zajęło się już piętro.

Alice przekręciła kluczyk w stacyjce i jeep ruszył z miejsca. Przejechała przez bramę, nie zwalniając i wdusiła gaz. Reacher zapalił światelko na suficie i przeglądał mapy, póki nie znalazł płachty z hrabstwem Pecos.

- Szybciej! - naglił. - Mam złe przeczucia.

Alice jechała najszybciej jak mogła. Reacher wpatrywał się w mapę i mierzył odległości, rozchylając palec wskazujący i kciuk.

- Zwiedzałaś tutejszą okolicę? - spytał.

- Trochę. Byłam w Obserwatorium McDonalda.

Zerknął na mapę.

- To sto trzydzieści kilometrów - powiedział.

- Nie pojechali tam dzisiaj, za daleko. Podejrzewam, że są od Pecos najwyżej pół godziny drogi. Czterdzieści, góra pięćdziesiąt kilometrów.

-Niby czemu?

- Żeby być blisko Walkera.

Może planował przywieźć Ellie na spotkanie z Carmen, by udowodnić jej, że groźba jest prawdziwa. Myślę, więc, że zadekowali się gdzieś w pobliżu.

- I niedaleko jakiejś atrakcji turystycznej?

- Na pewno - odparł. - To klucz.

- Czy potrafisz wydedukować, gdzie się kryją?

- Do tej pory jakoś się udawało.

Chwyciła mocniej kierownicę i spojrzała na szybkościomierz.

- O Boże - jęknęła. - Skończyło się nam paliwo. Bak jest pusty. Nie odzywał się przez chwilę.

- Jedź dalej. Nie przejmuj się.

Jechała dalej. Silnik zaczął się krztusić.

- Reacher, nie mamy benzyny - powiedziała Alice.

- Nie martw się tym.

- Mam się nie martwić?

- Sama zobaczysz. Jeszcze półtora kilometra. - Popatrzył tylko - odezwał się nagle.

W snopie reflektorów pojawiła się na poboczu stalowoniebieska crown victoria. Zaopatrzona z tyłu w cztery anteny. Stała sobie jak gdyby nigdy nic, obojętna i porzucona.

- Skorzystamy z niej - powiedział.

Zatrzymała się za fordem.

- To ich wóz? Czemu tu stoi?

- Walker go tu zostawił.

- Skąd wiedziałeś?

- To nic trudnego. Przyjechali z Pecos dwoma samochodami, tym i lincolnem Walkera. Zostawili lincolna tutaj i pokonali resztę drogi na rancho fordem. Wzięli pick-upa, którym potem Walker uciekł z płyty płaskowyżu, odstawił go do garażu i przyjechał tu fordem, przesiadł się do lincolna i wrócił nim. Chciał udać, że przyjeżdża na rancho pierwszy raz, tak na wszelki wypadek, gdybyśmy jeszcze żyli i zobaczyli go.

- Skąd weźmiesz kluczyki?

- Na pewno są w stacyjce.

Walker miał w nosie, że ktoś może ukraść samochód Hertzowi.

Alice wyskoczyła i sprawdziła. Uniosła kciuk. Kluczyki rzeczywiście tkwiły w stacyjce. Reacher przesiadł się z mapami i już po minucie jechali dalej.

- Co znajduje się na Stanowym Terenie Rekreacyjnym Balmorhea? - spytał.

Było to czterdzieści osiem kilometrów na południe od Pecos. Odpowiednia odległość.

- To oaza na pustyni - wyjaśniła. - Wielkie jezioro z krystalicznie czystą wodą. Można w nim pływać i nurkować. Ale nieodpowiednie miejsce.

- Raczej nie - powiedział.

- A Fort Stockton?

- To zwykłe miasto - powiedziała. - Właściwie takie jak Pecos. Ale warto odwiedzić Stary Fort Stockton.

Spojrzał na mapę. Stary Fort Stockton zaznaczono tam jako zabytkowe ruiny, na północ od samego miasta. Niedaleko Pecos. Zmierzył odległość. Jakieś siedemdziesiąt kilometrów. Niewykluczone.

- Co to dokładnie jest?

- Dawny fort wojskowy - odparła. - Stacjonowała tam kiedyś Czarna Kawaleria.

Sprawdził jeszcze raz. Ruiny mieściły się na południowy wschód od Pecos, można tam dojechać trasą numer 285, droga wydawała się porządna. Przymknął oczy. Alice pędziła przed siebie.

- Podoba mi się ten Stary Fort Stockton - powiedział.

- Myślisz, że tam właśnie są?

Nie odzywał się przez kolejne półtora kilometra.

- Nie tam - odezwał się. - Ale w pobliżu. Spójrz na to z ich punktu widzenia. To zawodowcy. Cisi i dyskretni. Przemykają, nie rzucając się nikomu w oczy. Postaw się na ich miejscu, Alice. Kim są? Mnie się zdawało, że to zespół handlowców. Rusty Greer wzięła ich za pracowników opieki społecznej, a Al Eugene najwyraźniej za agentów FBI. Więc jeśli myślisz tak jak oni, to waszą bronią jest to, że wyglądacie przeciętnie. W takim razie jesteście białymi przedstawicielami klasy średniej, jeździcie crown victoria, która bez tych wszystkich gadżetów wygląda na przeciętny rodzinny wóz.

- W porządku.

- Ale teraz macie dzieciaka. Tworzycie rodzinę.

- Przecież było ich troje.

Nie otwierał oczu.

- Jeden z mężczyzn to wujek - powiedział. - Jesteście rodziną klasy średniej na wakacjach. Wyglądacie na spokojnych ludzi, może lekko sztywnych intelektualistów. Przyjechaliście z innego stanu. Co za interesowałoby sztywnawą rodzinę klasy średniej z małą córeczką?

- Stary Fort Stockton - wyrecytowała Alice.

- Właśnie. Jedziecie fordem, a nie bmw. Liczycie się z kosztami. Nie lubicie trwonić pieniędzy na motele, podobnie jak na samochody.

Nadjeżdżacie więc z północy i zatrzymujecie się w rozsądnie odległym miejscu, na obrzeżach turystycznego rejonu Fort Stockton.

Otworzył oczy.

- Właśnie tam byście się zatrzymali, Alice.

- Naprawdę?

Kiwnął głową.

- W miejscu, gdzie pełno jest sztywnawych, niezbyt majątnych rodzin klasy średniej na wakacjach. Tam, gdzie nie będziecie się niczym wyróżniać. Skąd jest pół godziny drogi do Pecos.

- To chyba przekonująca teoria - zgodziła się.

- Logiczna. Poza staje tylko kwestia, czy kierowali się tymi samymi przesłankami?

- Mam taką nadzieję, bo zostało nam mało czasu na poszukiwania. Podejrzewam, że Ellie grozi wielkie niebezpieczeństwo.

POSTANOWIŁ najpierw wziąć prysznic. Nie musi się spieszyć. Ma czas. Pokój jest zamknięty. Dziecko śpi głęboko. Zdjął ubranie i złożył je równiutko na krześle. Wszedł do łazienki i odkręcił wodę.

Stanął pod natryskiem i pozwolił, by ciało obmywał mu ciepły strumień wody. Potem dokładnie umył sobie dłonie i przedramiona, jak chirurg szykujący się do operacji.

- ILE nam jeszcze zostało? - spytała Alice.

- Czterdzieści kilometrów - odparł Reacher. - Musimy ułożyć plan.

- Żeby schwytać tego gościa? - spytała. - Nie mam pojęcia.

- Nie, na później. Jak wyciągnąć Carmen z ciupy.

- Wykorzystamy habeas corpus, czyli zakaz więzienia obywatela bez wyroku sądowego - powiedziała. - Zgłosimy się do sędziego federalnego i poprosimy o tryb nadzwyczajny, ale potrzebne nam będzie zeznanie świadka, więc jeśli nie proszę o zbyt wiele, zachowaj tego ostatniego przy życiu.

OBUDZIŁ ją szum wody.

Mężczyzna brał prysznic. W pokoju nie paliła się żadna lampa, ale kotary nie były do końca zasłonięte, więc z zewnątrz sączyło się żółtawe światło.

Jej ubranko było złożone na stole. Wygramoliła się z łóżka, włożyła koszulkę i szorty. Usiadła, żeby zapiąć sandaalki.

Bardzo cicho wstała i podkraśniała się powoli do drzwi. Stała na palcach i przesunęła ostrożnie łańcuch. Szarpnęła go i łańcuch puścił. Spadł w dół, uderzając głośno o framugę. Wstrzymała oddech i przerażona nasłuchiwała.

Woda pod prysznicem nadal leciała.

Spróbowała otworzyć zasuwkę. Ani drgnęła. Chwyliła oburącz i na parła mocniej. Nagle zasuwka puściła.

Znieruchomiała, nasłuchując. Mężczyzna zakręcił prysznic.

Zamarła. Stała nieruchomo, biała ze strachu jak ściana.

ALICE nie spuszczała nogi z gazu, pędząc przez teren zabudowany Fort Stockton z szybkością stu czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę. Reacher pochylony do przodu rozglądał się we wszystkie strony. Mijali niskie budynki. Niektóre z nich to motele.

- Może szukamy w złym miejscu - zaniepokoiła się Alice.

- Niebawem się przekonamy.

ZAKRĘCIŁ wodę, odstłonił zasłonkę i wyszedł z brodzika. Owinął sobie ręcznik na biodrach i wszedł do pokoju. Do środka wpadło światło z łazienki. Szerokim żółtym snopem legło na podłodze. Stał jak wryty i wbił wzrok w puste łóżko. Podbiegł do drzwi i ujrzał wiszący luźno łańcuch.

Otworzył drzwi. Tabliczka: NIE PRZESZKADZAĆ leżała na betonowym chodniku, trzydzieści centymetrów od progu. Uciekła.

Zabezpieczył drzwi, żeby się nie zatrzasnęły, i wybiegł na zewnątrz boso, owinięty tytko ręcznikiem. Gdzie ona, do diabła, się podziała? Pewnie pobiegła ile sił w nogach. Prawdopodobnie w stronę drogi. Za wrócił do pokoju. Musiał się ubrać. Nie może gonić za nią w samym ręczniku.

KOŃCZYŁ się teren zabudowany i zaczynała pustynia.

- Zawróć - powiedział teraz Reacher.

Zahamowała i gwałtownie skręciła w drugą stronę.

- Zwolnij trochę - polecił. - Musimy patrzeć ich oczami.

Pierwszy motel, który znów mijali, miał dwa piętrowe skrzydła, w każdym po sześć pokoi. W recepcji było ciemno.

- Nie - zawyrokował Reacher. - Nie zatrzymamy się w pierwszym napotkanym miejscu. Raczej spróbujemy w drugim.

Kolejny motel znajdował się czterysta metrów na południe. Recepcja stała przodem do drogi, natomiast dwa pawilony ustawione prostopadle do ulicy były ukryte przed wzrokiem przechodniów. Teren obsadzono drzewami, kapały z nich krople deszczu.

- Wjedź na teren motelu.

Alice przejechała obok pierwszego rzędu pokoi. Było ich osiem. Na parkingu stały trzy samochody. Objechała pawilony od tyłu i wyjechała z drugiej strony. Kolejne osiem pokoi. Dalsze trzy samochody.

- No i co? - spytała.

Pokręcił głową.

- Nie - odparł. - Za mało gości. Szesnaście pokoi i tylko sześć samochodów. Musi być co najmniej osiem.

- Czemu?

- Nie zatrzymają się tam, gdzie motel świeci pustkami. Większe prawdopodobieństwo, że wpadną komuś w oko. Pewnie szukali miejsca zapelnionego w dwóch trzecich, gdzie na szesnaście pokoi przy padnie dziesięć, jedenaście samochodów. Wynajęli dwa pokoje, ale w tej chwili nie mają żadnego samochodu, więc powinno być osiem, dziewięć samochodów na szesnaście pokoi. Interesuje nas tylko taka proporcja.

Spojrzała na niego i wzruszyła ramionami. Wjechała z powrotem na drogę i ruszyła dalej na południe.

MEŻCZYŻNA zatrzymał się, nim doszedł do drzwi. Światło padające z parkingu oświetlało wilgotny beton, na którym widniały ślady jego stóp. Nie widział jednak jej śladów.

Były tylko jedne odciski, należące do niego. Nie wyszła na zewnątrz. Uśmiechnął się. Schowała się w środku.

Przebiegł ostatnie osiem kroków i znów znalazł się w pokoju. Po cichu zamknął drzwi, założył łańcuch i przekręcił zasuwkę.

- Zaraz cię dorwę - wyszeptał.

Zaczął od okna, przy którym stało krzesło obite tapicerką, ale nie było jej tam. Zajrzał pod łóżka. Tam też nie. Wiedział, że nie ma jej w łazience. Więc gdzie się schowała? Rozejrzał się po pokoju. Szafa. No jasne.

- Już idę, maleńka! - zawołał.

Otworzył drzwi i zajrzał do środka. Nie znalazł jej tam.

PRZED trzecim motelem zamiast neonu wisiał zwykły szyld. Kawał dechy na łańcuchach. Litery były tak wymyślne, że Reacher nie był pewny, co tam napisano. Coś tam, coś tam Canyon. Literki pocieniowano na złoto.

- Podoba mi się tu - powiedział. - Niezły gust.

- Wchodzimy? - spytała Alice.

- No jasne.

Przez ogród prowadziła długa dwudziestometrowa droga wjazdowa. Rośliny przywiędły i trochę wyschły, ale ktoś najwyraźniej stale je pielęgnował.

- Podoba mi się tu - powtórzył.

Motel przypominał poprzedni. Z przodu recepcja, parking w kształcie podkowy okalający dwa pawilony skierowane do siebie plecami, stojące prostopadle do ulicy. Alice objechała motel wokół. Dziesięć pokoi w jednym rzędzie, w sumie dwadzieścia, dwanaście samochodów zaparkowanych równiutko przed dwunastoma drzwiami. Dwa chevrolety, trzy hondy, dwie toyoty, dwa buicki, stary saab, stare audi i gdzieś pięcioletni ford explorer.

- Dwie trzecie minus dwa - podliczył Reacher.

- To tu? - spytała Alice, zatrzymując wóz przed recepcją.

Nie odezwał się, tylko otworzył drzwi i wysiadł.

Recepcja była zamknięta, w środku ciemno, ale na drzwiach zobaczył mosiężny przycisk dzwonka. Wduśił go kciukiem.

Na tyłach recepcji zapaliło się światło i pojawił się mężczyzna. Reacher wyjął z kieszeni odznakę zastępcy szeryfa hrabstwa Echo i przyłożył ją do szyby. Mężczyzna otworzył zamek. Reacher wszedł do po mieszczenia. Ulotki na półce zachęcały do odwiedzenia wszelkich atrakcji turystycznych w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów. Wśród nich wybijał się Stary Fort Stockton. Skinął na Alice, żeby też weszła do środka.

- To właśnie tu - powiedział.

- Naprawdę?

Kiwnął głową.

- Pasuje mi.

- Jesteście z policji? - spytał recepcjonista.

- Niech mi pan pokaże księgę gości - polecił Reacher. - Tych, którzy zameldowali się dziś wieczorem.

To ABSOLUTNIE niemożliwe. Dziewczynki nie było na zewnątrz, nie było jej też w środku. Jeszcze raz rozejrzał się po pokoju. Łóżka, meble, szafa. I nic. Nie było jej też w łazience, bo przecież on wyszedł z łazienki.

Chyba...

Chyba że schowała się pod łóżkiem albo w szafie, a potem kiedy wyszedł na zewnątrz, ukryła się w łazience. Otworzył drzwi łazienki i odsunął zasłonę w kabinie prysznicowej.

- Tu cię mam - powiedział z ulgą.

Siedziała skulona w kącie brodzika, ubrana w koszulkę, szorty i sandaalki. Wierch dłoni wcisnęła sobie do buzi. Jej ciemne oczy były szeroko rozwarte.

- KSIĄŻKA gości, szybko - powtórzył Reacher i wyjął z kieszeni swojego hecklera kocha.

- Nie mamy czasu na żarty.

Facet wszedł za kontuar i obrócił w ich stronę księgę.

- Jakie nazwiska? - Alice spytała Reachera.

- Nie mam pojęcia. Patrz po samochodach. Na stronie było pięć kolumn. Data, nazwisko, adres domowy, marka wozu oraz data odjazdu. Dwadzieścia wierszy na dwadzieścia pokoi. Zajętych było szesnaście. Do jedenastu pokoi przypisano samochody. Cztery pokoje odnotowano jako dwie pary, do których przypisane było po jednym samochodzie.

- Rodziny - wyjaśnił recepcjonista - lub większe grupy.

- Czy pan ich meldował? - spytał Reacher.

Facet potrząsnął głową.

- Ja tu pracuję na nocnej zmianie - rzekł. - Przychodzę do pracy dopiero o północy.

Reacher wpatrywał się w kartkę.

- To nie tu. Schrzaniłem wszystko.

- Czemu? - spytała Alice.

- Spójrz na samochody.

Przejechał lułą pistoletu po czwartej kolumnie. Trzy chevrolety, trzy hondy, dwie toyoty, dwa buicki, jeden saab, jedno audi. I jeden ford.

- Powinny być dwa ford - powiedział. - Ich crown victoria i explorer, którego widziałem na parkingu.

- Cholera.

Reacher zbladł. Skoro to nie tu, nie miał zielonego pojęcia, gdzie dalej szukać. Postawił wszystko na jedną kartę. Nie miał żadnego planu awaryjnego. Spojrzał na księgę meldunkową. Wszystko zapisano tym samym charakterem.

- Kto to wypełnia? - spytał.

- Właścicielka - odparł recepcjonista. - Robi to w swoim staroświeckim stylu.

Pomyślał o wszystkich starych motelach, w jakich przyszło mu się wielokrotnie zatrzymywać.

- Dobrze - powiedział. - Gość mówi jej nazwisko i adres, ona to zapisuje. A potem może tylko wygląda przez okno i odnotowuje na oko markę wozu.

- Może. Ja pracuję na nocnej zmianie. Nie ma mnie, kiedy ona to wszystko pisze.

- Słabo się zna na samochodach, prawda?

- Skąd mam wiedzieć. A co?

- Ponieważ w rejestrze są trzy chevrolety, a na parkingu stoją tylko dwa. Chyba zapisała tego explorera jako chevroleta. Może pomyliła go z blazerem albo jakimś innym modelem.

Dotknął lułą słowa ford.

- To jest nasza crown victoria - powiedział. - To oni. Czuję to przez skórę.

Wynajęli dwa pokoje nie sąsiadujące ze sobą, ale w tym samym pawilonie. Numer pięć i osiem.

- W porządku - powiedział Reacher. - Pójdę to sprawdzić.

Wskazał palcem na recepcjonistę.

- Pan tu zostaje. Proszę być cicho.

Następnie zwrócił się do Alice.

- Zadzwoń do policji stanowej i zacznij załatwiać sprawy z sędzią federalnym.

- Dać klucze? - zaproponował recepcjonista.

- Nie - odparł Reacher. - Nie potrzebuję kluczy I wyszedł na dwór.

SZEREG pokoi po prawej stronie zaczynał się od numeru pierwszego. Przy drzwiach biegł betonowy chodnik. Szybko przemierzał go, starając się iść jak najciszej. Między drzwiami były równe odstępki. Nie było okien. Pewnie są z tyłu.

Przy pokoju numer pięć leżała na chodniku tabliczka: NIE PRZESZKADZAC, jakieś trzydzieści centymetrów od drzwi. Minął ją. Porwane dziecko trzyma się jak najdalej od recepcji. Ruszył znowu i zatrzymał się przy pokoju numer osiem. Przyłożył ucho do szpary przy drzwiach. Nic nie było słycać. Dotarł do końca budynku. Dwa pawilony stały równolegle naprzeciw siebie, przedzielał je prostokąt ogrodu szeroki na dziesięć metrów. Rosły tu rośliny pustynne, jakieś niskie, kolczaste sukulentki w zagrabionym żwirze.

Przeszedł pod oknami dziesiątki i dziewiątki, schylił się i podkraść do przodu, znalazł się dokładnie pod oknem ósemki. Powolutku uniół głowę. Zajrzał do środka.

Pokój był opustoszały. Może nikt w nim nie mieszkał. Wstał i poczuł, jak ogarnia go panika. Biegiem znalazł się przy oknie piątki. Zajrzał.

Ujrzał niewielkiego bruneta z biodrami owiniętymi ręcznikiem, który wywleka Ellie z łazienki. Jedną ręką trzymał ją za oba nadgarstki nad jej głową. Kopała i gwałtownie się wyrwała. Reacher przyglądał się tej scenie przez ułamek sekundy i tyle wystarczyło, by dostrzegł czarny pistolet na półce. Schylił się po kamień z ogródka i wrzucił go przez okno. Szybko się rozprysła, a on dał nura do pokoju.

Drobny mężczyzna zamarł na ułamek sekundy, puścił Ellie i sięgnął w stronę półki. Reacher go jednak wyprzedził, przydusił do ściany, wałnął z lewej w brzuch, aż tamten się osunął, i jeszcze doprawił kopniakiem w głowę. Widział, jak facet przewraca oczami.

Potem zwrócił się do Ellie.

- Nic ci nie jest? - zapytał bez tchu.

Pokręciła głową.

- To bardzo zły człowiek - powiedziała cicho. - Chciał mnie chyba zastrzelić.

Reacher z trudem łapał oddech.

- Teraz już nic ci nie zrobi.

Była bardzo opanowana. Nie płakała, nie krzyczała. W pokoju zapanowała absolutna cisza. Cała akcja od początku do końca zajęła raptem trzy sekundy. Właściwie, jakby nic się nie stało.

- Naprawdę nic ci nie jest? - spytał ponownie.

Ellie znów pokręciła głową. Uśmiechnął się, podniósł słuchawkę i wykręcił zero. Odezwał się recepcjonista. Reacher poprosił, żeby przysłał Alice do piątki.

Po minucie Alice weszła do środka. Ellie spojrzała na nią.

- To jest Alice - powiedział Reacher. - Pomaga twojej mamusi.

- Gdzie jest mama?

- Wkrótce znów będziecie razem - odparta Alice.

Spojrzała na drobnego bruneta, który leżał bezwładnie na podłodze.

- Żyje? - szepnęła.

Reacher kiwnął głową.

- Tylko film mu się urwał. Mam nadzieję.

- Policja stanowa zabrała się już do działania - relacjonowała cicho. - Dzwoniłam też do mojego szefa do domu. Wyciągnęłam go z łóżka. Szykuje już spotkanie w kancelarii z sędzią. Mówi, że ten facet musi jak najszybciej zeznawać, jeśli zależy nam na czasie.

Reacher kiwnął głową.

- Już my mu pomożemy.

Schylił się, zawiązał brunetowi ręcznik na szyi i pociągnął go energicznie do łazienki.

DWADZIEŚCIA minut później wyszedł i zastał w pokoju dwóch stanowych policjantów: sierżanta i szeregowca. Skinął im głową i zabrał ubranie kierowcy. Wrzucił ciuchy do łazienki.

- No i co? - spytał sierżant.

- Powiedział, że wszystko dobrowolnie wam wyśpiewa - oświadczył Reacher.

Policjanci spojrzeli po sobie i weszli do łazienki. Reacher słyszał szuranie i brzęk zatrzaskiwanych kajdanek.

- Muszę wracać - powiedziała Alice. - Trzeba przygotować pismo. Jest dużo roboty przy habeas corpus.

- Weź crown victory - zaproponował Reacher. - Ja zaczekam tu z Ellie.

Policjanci wyprowadzili kierowcę z łazienki. Był już ubrany, ręce miał skute za plecami. Zgięty wpół z bólu, już gadał jak najęty. Gliniarze powiedli go prosto do radiowozu, drzwi pokoju zamknęły się za nimi.

Reacher poprosił Alice, żeby zawołała recepcjonistę z zapasowym kluczem. Kiedy poszła do recepcji, zwrócił się do Ellie:

- Jesteś zmęczona? - spytał.

- Tak.

- Mama wkrótce przyjedzie - obiecał. - Zaczekamy tu na nią, ale przeniesiemy się do innego pokoju, dobrze? Tu jest wybita szyba w oknie.

Zachichotała.

- Sam ją zbiłeś. Kamieniem.

- Przenieśmy się do pokoju numer osiem - zaproponował. - Tam jest czysto i przyjemnie.

Wzięta go za rękę i poszli do ósemki, dla niego było to dziesięć kroków, dla niej zaś trzydzieści. Spotkali recepcjonistę, który im wręczył klucz. Ellie z miejsca poszła do łóżka przy oknie. Reacher położył się na drugim łóżku i czuwał, póki nie zasnęła. Potem podłożył sobie rękę pod głowę i starał się zdrzemnąć.

NIECAŁE dwie godziny później wstał nowy dzień. Reacher otworzył oczy po krótkim, niespokojnym śnie. Ellie stała przy jego łóżku i potrzasała go za ramię.

- Jestem głodna - powiedziała.

- Ja też - odparł. - Co byś zjadła?

- Lody.

- Dobrze - zgodził się. - Ale najpierw jajka. Może boczek. Dzieci powinny się zdrowo odżywiać.

Znalazł w książce telefonicznej pobliski bar. Zadzwoił i obiecał dwadzieścia dolarów napiwku, jeżeli dostarczą śniadanie do

motelu. Wysłał Ellie do łazienki, żeby się umyła. Nim wyszła, przywieźli już jedzenie. Jajecznica, boczek, tosty, dżem, cola dla niej i kawa dla niego. A dodatkowo wielki plastikowy talerz lodów śmietankowych polanych sosem czekoladowym.

Po śniadaniu świat wygląda zupełnie inaczej. Zjadł, popijając kawą, i poczuł, jak powoli wraca mu energia. Ellie też nabrała wigoru. Otworzyli drzwi na oścież, żeby rozkoszować się rześkim porannym powietrzem podczas posiłku. Potem na betonowym chodniku ustawili obok siebie dwa krzesła i czekali.

Trwało to ponad cztery godziny.

Kilka minut po jedenastej Reacher dostrzegł w oddali nadjeżdżającą z południa crown victorie.

- Ellie! - zawołał. - Spójrz tylko.

Stała obok niego i przysłoniła oczy dłonią. Wielki samochód skręcił i podjechał do nich. Za kierownicą siedziała Alice, a obok niej Carmen. Była blada i zmizerowana, uśmiechała się jednak radośnie. Otworzyła drzwi, nim samochód stanął. Ellie podbiegła i rzuciła się matce w ramiona. Tuliły się do siebie w promieniach słońca. Jednocześnie piszczaly, plakaty i śmiały się. Obserwował je przez chwilę, a potem odszedł i przykucnął obok samochodu. Nie chciał im przeszkadzać. Uważał, że w takich chwilach każdy powinien mieć odrobinę prywatności. Alice, odgadując jego myśli, opuściła szybę i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Wszystko załatwione? - spytał.

- Przynajmniej z naszego punktu widzenia - odparła. - Gliny mają jeszcze stopy papierkowej roboty.

- A co ze mną?

- Pytali mnie, co zaszło ostatniej nocy.

Powiedziałam, że wszystko to moja sprawa.

- Czemu?

Uśmiechnęła się.

- Bo jestem prawniczką. Oświadczyłam, że działałam w obronie własnej i już o nic więcej nie pytali. Na miejscu zdarzenia był mój samochód i mój pistolet. Po co niepotrzebnie komplikować sprawy.

- Więc możemy wracać do domu?

- Zwłaszcza Carmen.

Zerknął w górę. Carmen trzymała Ellie na biodrze jak małą, twarz wtuliła jej w szyję. Chodziła z nią dookoła. Potem uniosła głowę i uśmiechnęła się tak promiennie, że także Reacher nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

- Ma jakieś plany? - spytał.

- Przenosi się do Pecos - powiedziała Alice. - Zajmiemy się interesami Slupa. Chyba wykroiliśmy jeszcze jakieś pieniądze. Chce się przeprowadzić do takiego domu jak mój. Może zacznie pracować na pół etatu. Może pójdzie do szkoły prawa.

Teraz Ellie prowadziła ją za rękę po parkingu. Wyglądały na uszczęśliwione swoim towarzystwem. Ellie rozsadzała energią, trajkotała jak katarynka. Carmen była wyciszona, rozjaśniona i niezwykle piękna. Reacher wstał i oparł się o samochód.

- Masz ochotę na lunch? - zapytał Alice.

- Tutaj?

- Zawarłem pewien układ z tutejszym barem. Na pewno mają w karcie jakieś warzywa.

- Chętnie zjem sałatkę z tuńczyka.

Wszedł do pokoju, żeby zadzwonić. Zamówił trzy kanapki. Kiedy wyszedł, Ellie i Carmen właśnie go szukały.

- Wkrótce zmieniam szkołę - oznajmiła Ellie. - Tak samo jak ty, pamiętasz?

- Na pewno świetnie dasz sobie radę. Bystra z ciebie dziewczuszka.

Carmen puściła rękę córki i podeszła do niego, lekko onieśmielona i milcząca, przez moment czuła się niezręcznie. Ale już po chwili uśmiechnęła się szeroko i mocno go objęła.

- Dzięki za wszystko - powiedziała.

Odwzajemnił uścisk.

- Przykro mi, że zajęło to tyle czasu.

- Czy moja wskazówka ci pomogła?

- Jaka wskazówka?

- Na nagrany zeznaniu.

Nic nie odpowiedział. Wyzwolila się z jego objęć i zaprowadziła za rękę z dala od uszu Ellie.

- Kazał mi powiedzieć, że jestem dziwką. Ale ja udawałam, że jestem zdenerwowana, i się przejęczyłam. Powiedziałam, że jestem chodnicznica.

Kiwnął głową.

- Pamiętam.

- A przecież poprawnie mówi się ulicznica. To była moja wskazówka. Miałaś sobie pomyśleć „chodnicznica”? A ten, kto chodzi, to po angielsku walker. Rozumiesz. Walker. Chciałam ci powiedzieć, że to wszystko sprawka Hacka Walkera.

Znów się zamyślił.

- Przeoczyłem to - przyznał.

- No, więc, jak się zorientowałaś?

- Doszedłem do tego okrężną drogą.

Znów się uśmiechnęła. Wzięła go pod ramię i podeszli do samochodu, gdzie Ellie śmiała się razem z Alice.

- Dasz sobie radę? - spytał ją.

Kiwnęła głową.

- Ale czuję się winna. Tyle osób zginęło.

Wzruszył ramionami.

- Pamiętasz, co mówił Clay Allison?

- Dzięki za wszystko - powtórzyła.

- *No hay de qué, señora.*

- *Señorita* - poprawiła.

CARMEN, Ellie i Alice weszły do pokoju umyć ręce przed lunchem. Popatrzył, jak drzwi się za nimi zamykają, i odszedł. Czuł, że tak będzie najlepiej. Nie chciał, żeby go ktoś zatrzymywał. Ruszył biegiem do drogi i skierował się na południe. Przemierzył w skwarze prawie dwa kilometry, nim zatrzymała się wiejska ciężarówka z bezzębnym milczkiem za kierownicą. Wysiadł na najbliższym skrzyżowaniu i czekał w słońcu na zachodnim poboczu półtorej godziny, zanim przystanął obok niego osiemnastokołowy tir. Obszedł potężną maskę i zajrzał przez okno. Szyba opuściła się. Muzyka zagłuszała warkot dieslowskiego silnika. Chyba śpiewał Buddy Holly. Kierowca wychylił się. Zażywny pięćdziesięciolatek z czterodniowym zarostem, ubrany w koszulkę Dodgersów.

- Do Los Angeles? - zawołał.

- Dokądkolwiek - odkrzyknął Reacher.